



ALEX KAVA

ŠCIŠLE TAJNE

Alex Kava

Ściśle tajne

Tłumaczenie:
Andrzej Goździkowski

Dzień 1.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Daniel Tate nie przepadał za zastrzykami. Kiedy igła strzykawki zatopiła się w żyłę na ramieniu, odruchowo zacisnął zęby i uciekł wzrokiem w bok. Nie był mięczakiem - odsłużył przecież dwie misje w Iraku i jedną w Afganistanie. W tym czasie nierzadko znajdował się na celowniku wroga, kilka razy uniknął śmierci od eksplodujących min, a raz od nieprzyjacielskiego granatu. Jeśli jednak chodziło o igły, był zupełnie bezbronny. Nie cierpiał zastrzyków.

- Dzięki temu łatwiej będzie się panu odprężyć - zapewniła doktor Shaw.

Kiedy zjawiła się w gabinecie, Tate odetchnął z ulgą, widząc kobietę. Lekarka nie wdawała się w zbytnie poufałości. Po lakonicznym powitaniu wprowadziła do sali wózek z tacą ze stali nierdzewnej. Znajdowały się na niej fiolki, narzędzia chirurgiczne i nieszczęsne strzykawki. Ciemne włosy miała zaczesane i upięte z tyłu głowy, z przodu zostawiła tylko grzywkę, która opadała jej na czoło. Nosiła okulary w grubych oprawkach. Była młodsza, niż się spodziewał, nie zdążyła się nabawić zmarszczek w kącikach ust i oczu, skóra zachowała jeszcze nieskazitelną gładkość. Niewątpliwie doktor Shaw mogła się podobać, jednak strzykawka w dłoni sprawiała, że Tate wolał w tej chwili skupić uwagę na wnętrzu, w którym się znajdowali.

Sala była dziwna. Jedyne meble stanowił stół operacyjny. Tynk na ścianach miał porowatą fakturę przywodzącą na myśl materace, które mocuje się na ścianach za tablicami w sali do koszykówki, by nazbyt energiczni zawodnicy mogli się od nich bezpiecznie odbić po ataku na kosz. Tyle że tutaj owe materace wcale nie były przymocowane do ścian, lecz były ścianami - nieskazitelnie białymi i pozbawionymi widocznych łączeń. Pomieszczenie przywodziło na myśl pokój bez klamek w szpitalu psychiatrycznym.

Tate spojrzął na zupełnie gołe ściany. Czy przypadkiem w gabinetach zazwyczaj nie wieszano dyplomów lekarskich? W sumie i tak nie miało to wielkiego znaczenia. Było już za późno, by się wycofać. Gdy zjawił się tu po raz pierwszy, wręczono mu kontrakt na cholernie długi czas. Podpisał na stronie siódmej i od tamtego momentu wiedział, że ma ograniczone pole manewru.

Nie wiedział, gdzie właściwie znajduje się ten gabinet. Przez całą drogę

z lotniska lał deszcz i na półtorej godziny świat skrył się za zasłoną ulewy. Przyjechał tu wczoraj, a przynajmniej tak mu się wydawało. Przy wejściu musiał oddać zegarek i komórkę. Nie zrobiło mu to specjalnej różnicy, wolałby jednak wiedzieć, jaka jest pora dnia. Nie bardzo rozumiał, czemu nie mógł zachować butów i bielizny. Szpitalna piżama w kolorze niebieskim była wprawdzie wygodna, ale foliowe kapcie działały mu na nerwy. Przy każdym kroku szeleściły, co kojarzyło mu się z powłóceniem nogami. Takie dźwięki wydawali pacjenci domu spokojnej starości, w którym pracowała jego żona.

- Po podaniu leku zadam panu kilka pytań - poinformowała doktor Shaw.

Obrzucił niechętnym spojrzeniem lekarkę, która przygotowywała następny zastrzyk. Trzymała strzykawkę w długich, smukłych palcach o krwistoczerwonych paznokciach. Ze zdziwieniem zauważył, że na kciuku nosi pierścionek, ale po chwili się zreflektował, że taka przecież teraz panuje moda wśród młodych kobiet. Pierścionek wysadzany małymi brylancikami wyglądał na drogi. Tate'owi przyszło do głowy, że dobrze zrobił, gdy zrezygnował ze studiowania wszystkich siedmiu stron kontraktu. Interesowała go tylko kwota, jaką miał otrzymać. Sprawdził dwa razy, czy na pewno wpisano sumę trzech tysięcy dolarów.

Dobijała go myśl, że żona musi raz w tygodniu brać nadgodziny, żeby w ogóle dopiął się domowy budżet. Najstarsza córka zaczęła pracować jako kelnerka w kawiarni. Pracował nawet Danny Junior, który od niedawna roznosił gazety. Za to ich ojciec nie mógł znaleźć żadnej roboty.

Inaczej - nie miał problemów ze znalezieniem zatrudnienia. Problem polegał na tym, że odkąd wrócił z misji, nie zdołał zachować żadnej posady dłużej.

Lekarze mieli na to nawet nazwę - zespół stresu pourazowego. Kiedy jednak Tate spoglądał w lustro, widział faceta o końskim zdrowiu. Tyle że umysł płatał mu figle - przekręcał niektóre fakty, a bezsenność kazała włóczyć się nocami po ulicach rodzinnego miasteczka. Mijał czas, a on musiał zacząć zarabiać i utrzymywać rodzinę. Jeśli oznaczało to parę nakłuc igłą strzykawki, to trudno.

Przy następnym zastrzyku niewiele pomogło odwracanie wzroku. Gdy tylko igła wbiła się w żyłę, poczuł, jak płyn wsącza się do ciała. Fala gorąca wspięła się po ramieniu, rozlała po barku i wkrótce ogarnęła pierś. Nagle

zabrakło mu tchu, a ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Przez chwilę może panu doskwierać wrażenie ucisku w piersi. - Słowa doktor Shaw docierały przytłumione, jakby znajdowała się w innym pomieszczeniu.

Obrócił ku niej głowę i ten nieznaczny ruch wystarczył, by poczuł przyływ mdłości. Spowijała go mgła, w której starał się odnaleźć twarz lekarki. W pewnym momencie przed oczami stanął mu niewielki tatuaż w kształcie róży, który już wcześniej dostrzegł na jej szyi. Ale teraz miał wrażenie, że z kwiatu wysunęły się odnóża i pełzły po skórze kobiety niczym jakiś dziwny owad. Zamrugał szybko, próbując się skupić. Na czoło wystąpił mu pot, który zbierał się też powoli nad górną wargą.

- Po iniekcji w licznych przypadkach występuje krwawienie z nosa - mówiła doktor Shaw. - Danielu, zadam ci teraz parę pytań.

Chciał powiedzieć, że wszyscy zwracali się do niego per Tate, ale umysł zajęty był czym innym - całą uwagę poświęcał dziwnemu robakowi, który najwyraźniej wgryzał się w szyję lekarki. Serce tłukło mu się w piersi, brakowało tchu.

- Danielu, czy mógłbyś policzyć od stu do zera?

W ustach czuł metaliczny posmak. Musiał zrobić spory wysiłek, by wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Miał wrażenie, że im bardziej stara się przemówić, tym większy opór stawiają zęby i język.

- Danielu, zacznij odliczać od stu do zera - powtórzyła lekarka.

Nagle usłyszał własny głos:

- Może być z tym problem, bo nie przepadam za ryżem.

Gdy wypowiadał te słowa, wiedział, że nie jest to właściwa odpowiedź, ale nie pamiętał już, jak brzmiało pytanie. Wszystko straciło znaczenie, liczył się tylko czarny owad atakujący szyję kobiety. Jak to możliwe, że ona nie czuje bólu?

Nagle rozległ się męski głos. Dochodził od strony drzwi.

- Witam, doktor Shaw.

Pojawienie się intruza było tak wielkim szokiem, że Tate szarpnął się odruchowo na dźwięk powitania. Skóra na ogolonej głowie mężczyzny lśniła równie oślepiającym blaskiem jak jego biały kitel. Tate nie mógł tego znieść, musiał odwrócić wzrok. Gdy po chwili ponownie spróbował przyjrzeć się przybyszowi, światłość skrzyła się i siała iskrami niczym wyładowanie

elektryczne. Miał przecucie, że nie powinien ufać temu człowiekowi.

- Przeprowadzam test - odezwała się doktor Shaw.

- Jego stan się pogarsza.

- Richard, daj mi jeszcze kilka minut, proszę. Dopiero zaczęłam.

- Na litość boską, chyba nie podałaś mu serum prawdy? Jego organizm będzie potrzebował siedemdziesięciu dwóch godzin, żeby się oczyścić. A my musimy stąd za chwilę zniknąć.

- Proszę, uspokój się.

Mówiąc to, kobieta spoglądała prosto na Tate'a, dlatego nie wiedział, czy zwraca się do niego, czy do mężczyzny.

- W wiadomościach podają, że na skutek ulewnych opadów rozmokła ziemia zaczyna się obsuwać. Musimy się ewakuować.

- Richard, przeżyłam niejednego huragan. To, co widać za oknem, nie robi na mnie wrażenia. To tylko deszcz.

Lekarka zostawiła Tate'a i podeszła do drzwi, przy których zatrzymał się mężczyzna. Rozmawiali swobodnie, nie ściszyli nawet głosów, jakby zapomnieli, że nie są sami. Stan Tate'a najwyraźniej przestał ich obchodzić. Nie zauważyli, że zaczął ciężko dyszeć i co chwila tarł oczy, a twarz miał całą mokrą od potu.

- Woda przelewa się prawie przez most. - W głosie Richarda pobrzmiwała panika. Zachowywał się głośno, gestykułował. - Jeśli teraz nie wyjedziemy, zostaniemy odcięci od świata.

Doktor Shaw stała odwrócona plecami do Tate'a, dlatego nie mógł sprawdzić, co dzieje się z owadem na jej szyi. Zamiast tego skupił uwagę na swych dłoniach i ramionach.

- Nie możemy tak po prostu wyjechać i porzucić całego materiału badawczego. Nic nam tu nie grozi - zapewniała. - Ten budynek jest niczym twierdza, jesteśmy tu bezpieczni.

Tate wycężył wzrok i wpatrzył się w Richarda. Czy to możliwe, żeby po skórze tamtego również biegały jakieś insekty? Kiedy oczy odnalazły odpowiednią ostrość, nagle coś przemknęło korytarzem pod nogami lekarzy. Przez moment dojrzał czarno-zielone futro. Miał wrażenie, że była to niewielka małpa. Pojawiła się na sekundę i pomknęła dalej korytarzem.

- Ja się stąd zabieram. Możesz do mnie dołączyć albo tu zostać.

- Uważam, że popełniasz błąd. Porozmawiajmy o tym. - Po tych słowach

obejrzała się przez ramię i zwróciła do Tate'a, a jej głos zabrzmiał niczym ogłuszający ryk zwielokrotniony echem w tej niewielkiej przestrzeni. - Danielu, za chwilę do ciebie wrócę. Nigdzie się nie ruszaj.

Dołączyła do Richarda, który czekał już w korytarzu. Wychodząc, spróbowała zamknąć za sobą drzwi, ale bez skutku. Wyglądało to tak, jakby przestały pasować do framugi. Zostawiła je szeroko otwarte.

- Widzisz, co się dzieje? - odezwał się Richard. - To zły znak. Wcześniej nie było żadnych problemów z drzwiami i oknami. Mówię ci, sytuacja pogarsza się z minuty na minutę. Musimy natychmiast wyjechać.

Doktor Shaw trzasnęła drzwiami z tak wielką siłą, że wskoczyły na swoje miejsce.

Tate usiadł i zaczął wsłuchiwać się w miarowy łomot serca. Miał wrażenie, jakby biło mu w głowie. Odruchowo przyłożył dłoń do piersi, żeby sprawdzić, czy na pewno jest na swoim miejscu. Nie orientował się, ile czasu upłynęło, odkąd lekarze wyszli z pokoju. Kilka minut, ale równie dobrze mogła to być godzina. Wtem rozległ się ogłuszający trzask, który poderwał go ze stołu operacyjnego.

Brzmiało to tak, jakby rozerwał się nad nim pocisk artyleryjski. Czy to możliwe?

Wczołgał się pod stół, a jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze i skurcze. W przerażeniu nasłuchiwał, czy nadlatują kolejne pociski. W pewnym momencie wszystko zafalowało, a pokój zatańczył przed oczami. Czy tak działają prochy, które mu podano? Czy to one spieprzyły mu błędnik? Nagle odetkały mu się uszy - łomot serca oddalił się, zamiast niego słyszał teraz wokół siebie narastające dudnienie.

Czuł, jak drżą posadzka i ściany. Narzędzia chirurgiczne szczękały na metalowym wózku, w końcu z trzaskiem wylądowały na posadzce. Płytki podłogowe uniosły się i wygięły. Tate kurczowo uchwycił się nóg stołu operacyjnego.

Wtem na śnieżnobiałych ścianach pojawiły się odkształcenia i pierwsze rysy. Ściany ugiwały się do środka, jakby pod wpływem napierających od zewnątrz buldożerów. Tate poczuł, jak coś sypie się na niego z sufitu, i szybko schował głowę pod stół. Wyteżał wzrok, nie dowierzając temu, co widzi. Z góry leciały ziemia i żwir. W powietrzu dało się wyczuć zapach wilgotnej gleby.

Dudnienie przeszło w ogłuszający ryk. Nie brzmiało to już jak silniki buldożerów. Przywodziło raczej na myśl rozpędzony pociąg towarowy, który nadciągał z góry. Tate nakrył głowę rękami i zwinął się w kłębek.

Rozległy się kolejne trzaski pękających murów. Wizg metalu. Wybuchła instalacja oświetleniowa.

Nic nie widział w ciemności, która spowiła salę. Posadzka zamieniła się w ruchome piaski. Kulił się w swym prowizorycznym schronie, kurczowo ściskając nogi stołu, a cały świat wokół niego burzył się, ryczał, aż w końcu runął i pogrzebał go pod tonami ziemi.

2.

Floryda

To była wyjątkowo krótka noc dla Rydera Creeda. Kiedy jego pracownik raczył wreszcie wyleźć z przyczepy kempingowej, w której urządził sobie mieszkanie, Creed nie spał już od dwóch godzin. Świt zastał go w pomieszczeniu dla psów. Leżał na posadzce pośród uspiomych zwierzaków, z głową opartą na brzuchu najstarszego, Rufusa.

W pomieszczeniach dla psów mieścił się wcześniej magazyn. Nad nimi znajdowało się luksusowe mieszkanie Creeda - zaadaptowany loft. Wyposażone było we wszelkie wygody, których człowiek mógłby oczekiwać od ekskluzywnego hotelu. Na etapie projektowania domu przekonał swą partnerkę w interesach, Hannę Washington, aby mieszkanie mieściło się bezpośrednio nad pomieszczeniami dla zwierząt. W ten sposób mógłby stale doglądać najbardziej wartościowych podopiecznych prowadzonej przez nich firmy, K9 CrimeScents.

Chodziło też o to, że Creed po prostu lubił przebywać blisko psów. Niekiedy w środku nocy, gdy koszmarne sny nie dawały mu spać, szedł do nich, by zaznać chwili wytchnienia. Uspokajał się w ich towarzystwie. Każdy psiak w ich hodowli żył wcześniej na ulicy i zawdzięczał życie jemu lub Hannie. Creed wiedział jednak, że działało to też w drugą stronę - psy ocaliły również jego, choć nie umiałyby nikomu wyjaśnić, jak to możliwe. Nikomu, nawet Hannie.

Przyglądał się teraz Jasonowi Seaverowi, który przecierał zaspaną twarz. Mijały lata, ale on nadal wyglądał młodo. Właściwie, zauważył Creed, gdy pracownik skierował się do pomieszczeń dla zwierząt, wciąż z wyglądu przypominał młodziutkiego chłopaka. Był dziesięć lat młodszy od szefa. Jason miał niespełna dwadzieścia lat, gdy jego świat legł w gruzach. Był jedną z osób uratowanych przez Hannę. Twierdziła, że przypomina jej młodego Creeda. Między innymi dlatego postanowiła nająć go do pomocy przy psach.

Jason niósł czarnego szczeniaka o zaspanych oczkach. Labrador, któremu nadał imię Scout, rósł jak na drożdżach i ważył już dwa razy więcej niż miesiąc wcześniej. W czasie pracy zanosił szczeniaka do jego psiej mamy i rodzeństwa. Tego ranka jednak, zanim dotarł do wybiegu dla psów,

postawił Scouta na ziemi i zwrócił się do szefa:

- Niech pan popatrzy, co już umie. - Cofnął się trzy kroki i uklęknął na ziemi twarzą do szczeniaka. - No chodź, Scout. Daj mi buziaka.

Psiak zareagował eksplozją radości. Zaczął tak energicznie merdać ogonem, że niemal stracił równowagę. W końcu radośnie skoczył w stronę swego pana, wspiął się na tylne łapy i sięgnął pyskiem do twarzy Jasona, śliniąc mu usta.

- Ta umiejętność na pewno mu się przyda, gdy będzie szukał zwłok - zauważył z ironią Creed, ale i tak nie mógł opanować uśmiechu.

- Myślałem raczej o podrywaniu na niego dziewczyn.

Podniósł Scouta i zaniósł na wybieg, a inne psiaki natychmiast przybiegły, żeby przywitać się z kolegą. Przepychając się i szturchając, starały się znaleźć jak najbliżej Jasona i wywalczyć chwilę uwagi. Żadne ze zwierząt nie zważało na to, że jeden z rękawów jego koszuli od wysokości łokcia zwisał pusty. Kiedy Creed poznał młodego weterana, chłopak był markotny i agresywny. Dało się zauważyć, że wstydzi się amputowanego ramienia, choć okazywał to w przewrotny sposób, celowo afiszując się z kikutem. To, że Jason myślał teraz o podrywaniu dziewczyn, dobrze rokowało. Nie szkodzi, że zamierzał do tego wykorzystać labradora.

Creed marzył, by uczynić z Jasona dobrego przewodnika psów tropiących.

- Dzisiaj możemy popracować na prawdziwych zapachach - zwrócił się do podopiecznego, pokazując mu słój ze szczelnie zakręconą pokrywką.

- Co jest w środku?

- Trochę brudu i kawałek koca wydobyte spod ciała nieboszczyka.

- Super. Skąd to wytrzasnąłeś?

- Razem z Grace braliśmy udział w akcji poszukiwawczej. Nie doszło do zabójstwa, dlatego prowadzący dochodzenie detektywi ostatecznie pozwolili mi wziąć kilka rzeczy do celów szkoleniowych.

- Andy twierdzi, że masz już mnóstwo takich drobiazgów.

Andy była jednym z pierwszych przewodników, których Creed wyszkolił. Wcześniej przez wiele lat pracowała jako technik weterynarii, dlatego w momencie podjęcia nauki wiedziała więcej o czworonogach niż jej nowy nauczyciel. Rola przewodnika miała być dla niej nowym zawodem. Creed nie chciał dopytywać kobiety o wiek. Domyślał się, że stuknęła jej czterdziestka.

- Może nie powinieneś wierzyć we wszystko, co mówi ci Andy - stwierdził Creed, a po chwili rzucił w jego stronę słoje. - Łap!

W tym samym momencie uświadomił sobie, że nie był to najlepszy pomysł. Łapanie nadlatujących słoje jedną ręką wcale nie musiało być łatwe dla Jasona. Chłopak schwycił go jednak w powietrzu bez problemu.

- Schowaj to dobrze - poradził Creed, wskazując ścieżkę wiodącą do lasu. - Zanim schowasz, odkręć pokrywkę. Na wierzchu ułożona jest gaza. Nie zdejmuj jej.

- Mam go zakopać?

- Zrobisz, co będziesz chciał: możesz go zakopać, umieścić na drzewie, wrzucić do strumienia. Nie przejmuj się tym za bardzo. Kiedy skończysz, wróć do mnie.

Posiadłość, leżąca w północnej części Florydy, zajmowała około pięćdziesięciu akrów i z trzech stron graniczyła z lasem. Miejsce było ustronne i zaciszne i właśnie dlatego przykuło uwagę Creeda. Mogło służyć jako doskonały poligon.

Odprowadzał wzrokiem Jasona kierującego się ku laskowi, gdy nagle jego komórka wibrowaniem dała znać o nadchodzącym połączeniu. Dzwoniła Hanna. Niespełna godzinę wcześniej siedzieli razem w kuchni nad kawą i świeżo upieczonymi przez nią bułeczkami z cynamonem.

- Już się za mną stęskniłaś?

- Powinnaś częściej serwować ci łakocie na śniadanie, skoro robisz się po nich taki słodki - zauważyła z przekąsem, po czym płynnie przeszła do interesów. - W Karolinie Północnej doszło do obsunięcia terenu pod wpływem ulewnych deszczy. Dzwonił ktoś z Departamentu Obrony. Chcą, żebyś to ty zajął się tą sprawą.

- Ja czy Grace?

Ostatniego lata media oszalały na punkcie Grace, ich niesamowitego psiaka rasy Jack Russell terrier. Energiczny piesek stał się bohaterem narodowym, gdy pomógł w ujęciu kilku handlarzy narkotyków oraz umożliwił rozbięcie szajki handlarzy ludźmi, ratując piątkę dzieci.

- Chodzi im o ciebie. Nie zażądali konkretnego psa.

- Kiedy doszło do wypadku? To ma być akcja ratownicza czy wydobycie ciała z gruzów?

- Ziemia zaczęła się obsuwać ostatniej nocy nad ranem. Nadal pada tam

deszcz i chyba istnieje ryzyko powstania kolejnych osuwisk. Być może uda się kogoś uratować, ale na pewno nie obędzie się bez wydobywania ciał.

- W takim razie muszę wyjechać natychmiast. Ile zabierze mi jazda? Chyba jakieś pięć godzin, co? Dokończysz trening z Jasonem?

- Wkładam już drelichy.

Creed uśmiechnął się na dźwięk tego określenia. Nie znał nikogo innego, kto dzinsy nazywałby drelichami. Hanna obraziłaby się, gdyby nazwał ją typową twardą babką z Południa, ale jej maniery czasami zdradzały więcej niż słowa. Mówiła o sobie, że przywykła do prostej południowej kuchni. Wychowała się na chlebie kukurydzianym i potrawach z fasoli. Zdecydowanie nie była typem damulki chadzającej na lunch.

- Nie musisz tłuc się samochodem - wyjaśniła. - Przyślą po ciebie samolot, Gulfstream 550.

- Co takiego?

- Wiem, jak to brzmi - przyznała. - Specjalnie sobie zapisałam: wysyłają Gulfstream 550. To chyba jeden z tych ładniutkich, co?

- Chwileczkę. Wspomniałaś chyba, że zgłoszenie nadeszło z Departamentu Obrony.

- Owszem.

- A co właściwie obchodzą ich obsunięcia terenu w Karolinie Północnej? - dopytywał Creed. Coś mu tu nie grało.

- Wybacz, ale takich pytań z zasady nie zadaję dzwoniącym do nas zleceniodawcom. Może na miejscu mieli jakichś szkoleniowców, którzy znaleźli się w tarapatkach? Facet, który dzwonił, twierdził, że się znać. Podobno wiele lat temu pracowaliście razem przy jakiejś sprawie.

- Nie znam nikogo w Departamencie Obrony. I od dawna nie pracowałem z psem szkolonym dla potrzeb wojska.

Creed usłyszał szelest przewracanych kartek. Hanna prowadziła niezwykle skrupulatną kartotekę i zanim przyjęła jakieś zlecenie, zawsze uprzednio przeprowadzała obszerną kwerendę.

- Jest! - odezwała się po chwili triumfalnym tonem. - Logan. Podpułkownik Peter Logan.

Afganistan. Creed poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Minęło już przecież siedem lat. Wystarczyło jednak, że usłyszał to nazwisko, a natychmiast z zakamarków pamięci powróciły obrazy

i wspomnienia, których miał nadzieję nigdy więcej nie oglądać.

3.

Pensacola, Floryda

Smycz działa niczym drut telefoniczny. Była to jedna z pierwszych zasad, jakie Creed starał się zaszcześcić w umysłach młodych adeptów pracy z psami tropiącymi. Sam zresztą też nieustannie sobie to powtarzał. Jako przewodnik psa tropiącego musisz trzymać emocje na wodzy, ponieważ czworonóg momentalnie je wyczuje.

Kiedy Creed przemierzał przejście między fotelami w samolocie, obejrzał się w pewnym momencie, żeby sprawdzić, jak radzi sobie zabrany psiak, Bolo. Na naciągniętej smyczy pies postępował za swym panem ostrożnym krokiem, niemal na palcach. Dokładnie tak czuł się Creed - luksusowe wnętrze samolotu onieśmiało go; miał wrażenie, jakby jego obecność tutaj była pomyłką. A psiak najwyraźniej imitował zachowanie pana.

Poklepał zwierzaka po łbie, a potem przesunął dłoń po jego grzbiecie. Pod palcami wyczuwał cienkie pasmo szorstkiej sierści, która sterczała dumnie i rosła w przeciwną stronę niż reszta owłosienia. To pasemko było cechą charakterystyczną psów rasy rhodesian ridgeback. Z jakiegoś powodu zawsze gdy Creed dotykał go tam, Bolo się uspokajał.

- Dzień dobry - przywitała się z nim kobieta stojąca w tylnej części maszyny. Podniosła na niego wzrok, jednak nie przerwała pracy.

Błysnęły szkła okularów. W powietrzu wokół niej unosił się aromat świeżo parzonej kawy. Kobieta ubrana była w granatowy żakiet i dopasowaną kolorystycznie spódnicę. Na nogach miała czarne buty na obcasie. Wyglądała na stewardesę.

- Podróżuje pan z panem Creedem?

- To ja nazywam się Creed.

Stewardesa drgnęła zaskoczona, po czym cofnęła się o krok, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Ponieważ zakładał, że zaraz po lądowaniu wezmą się do pracy, włożył zwyczajowe ubranie robocze: niebieskie dżinsy, ciężkie buty do trekkingu, T-shirt, a na niego narzucił rozpiętą koszulę. Rozczochrane włosy opadały mu na kark i sięgały za kołnierzyk. Na twarzy miał zarost, jednak przystrzyżony na tyle starannie, że nie sprawiał wrażenia, jakby dopiero wstał z łóżka. Coś mu jednak mówiło, że zdziwienie stewardesy spowodowało coś innego.

- Przepraszam, spodziewałam się kogoś...

- Starszego? - odpowiedział.

Zanim przyznała mu rację, oblała się rumieńcem.

- Tak, chyba ma pan rację.

I dopiero wtedy zrozumiał, że stojąca przed nim kobieta była młodsza, niż z początku sądził. Mogła być w podobnym wieku co on - dawał jej teraz dwadzieścia osiem, maksymalnie trzydzieści lat. Może należała do kobiet, które sądzą, że mundur dodaje im powagi. Wielu ludzi wpadało w tę pułapkę. Creed miał okazję pracować z wieloma mundurowymi, zarówno tymi afiszującymi się ze swą pozycją, jak i tymi działającymi pod przykryciem, jak również funkcjonariuszami różnej rangi. Ludzie z organów ścigania i agencji rządowych przywiązywali wielką wagę do tytułów, odznak i hierarchii. Creeda niezbyt interesowały ich ambicjonalne gierki, a już zupełnie nie obchodziło go, co inni myślą na jego temat.

Kiedy w końcu dotarło do stewardesy, że rozmawia z pasażerem, na którego czekała, a nie jakimś niezbyt elegancko ubranym przydupasem, momentalnie zostawiła swoją pracę i przystąpiła do oficjalnej prezentacji.

- Nazywam się Isabel Klein. Jestem asystentką pana Logana - przedstawiła się, podając Creedowi dłoń.

Po krótkim uściśnięciu ręki wyciągnęła dłoń do psa i pozwoliła mu ją obwąchać. Udobruchany tym drobnym gestem Creed uznał, że da jej jednak szansę po początkowej niezręczności. Obrzucił kobietę baczniejszym spojrzeniem.

Natychmiast wyczuła na sobie jego zaciekawiony wzrok. Creed mógłby przysiąc, że nieco się zarumieniała, choć trwało to tylko chwilę. Zaraz wzięta od niego worek marynarski i sprawnie umieściła go w luku bagażowym. Pozostał jeszcze plecak, ale nie zamierzał się z nim rozstawać. Odpiął klamry i zsunął go z ramion.

- Proszę usiąść, gdzie panu będzie najwygodniej - powiedziała, po czym spojrzała w kierunku psiaka. - Jak się wabi?

- Bolo.

- Tak jak w tym skrócie?

- Właśnie.

Mówiła o skrócie od wyrażenia *be on the look out*, co dosłownie znaczy „wypatrywać czegoś”, a w policyjnym slangu oznacza „być na czatach”. Miała

rację, to właśnie stąd wzięło się imię dla psa. Pasowało do niego doskonale. Na jego dźwięk zwierzak zastrzygł uszami. Creed gestem kazał mu usiąść, a sam umieścił resztę sprzętu w luku nad wybranym fotelem. Bolo potrafił być nadopiekuńczy w stosunku do swojego pana. Posuwał się w tym niekiedy tak daleko, że Creed musiał pod tym kątem oceniać, czy dana misja jest odpowiednia dla psa.

Bolo był mocno zbudowany i niesamowicie wytrzymały. Idealnie się nadawał do wielogodzinnych poszukiwań w trudnym terenie, jaki zapewne zastaną na miejscu. Należał do grupy wytrenowanych przez Creeda psów wielozadaniowych. Umiał odnaleźć ocalonych oraz tych, którzy nie mieli tyle szczęścia.

Rasa ridgeback pochodziła z Zimbabwe, gdzie całe stada wykorzystywano do polowania na wielkie koty. Stąd przydomek - „afrykański pies na lwy”. Zwierzęta te bez większego wysiłku polowały w wielogodzinnym upale, a potem znosiły wilgotne i chłodne noce. Bolo powinien poradzić sobie z tym zadaniem, pod warunkiem że Creed będzie na niego uważał. Wystarczyło, że ktoś krzyknął na psa, by ten rzucił się i przygwoździł nieostrożną osobę do ziemi.

- Ktoś przyprowadzi pozostałe psy? - zainteresowała się Isabel, zerkając ku drzwiom.

- Nie będzie żadnych więcej psów. Lecimy ja i Bolo.

- Zabiera pan tylko jednego psa?

- Tak jest - odparł spokojnie. - Jeden przewodnik, jeden pies.

- Pan Logan dał mi do zrozumienia, że będzie z panem kilka zwierząt.

Ludziom zawsze było mało. Rozumowali prosto: więcej psów, więcej magii.

Creed wyciągnął z aktówki tablet i książkę w miękkiej oprawie, po czym wszystkie trzy przedmioty ułożył na fotelu obok tego, na którym zamierzał usiąść. Następnie przywołał Bola do siebie i kazał mu usiąść pod skórzanym fotelem w takim miejscu, by pies znalazł się bezpośrednio przy jego stopach i mógł oprzeć się o nogi pana. Chciał, aby zwierzę na czas startu samolotu było jak najbliżej człowieka.

Po chwili wydobyl z torby uprząż i założył ją psu. Uprząż pozwalała łatwiej schwycić i przytrzymać zwierzaka, na wypadek gdyby podczas lotu zaczął się denerwować. Bolo nigdy wcześniej nie siedział w samolocie. Miesiąc temu

inny pies Creeda, suczka Grace, zaliczył swój pierwszy lot na pokładzie helikoptera Straży Wybrzeża. Była zachwycona. Dla niej luksusowe wnętrze samolotu, w którym Creed siedział w tej chwili, byłoby zbyt nudne. Nakierował nawiew świeżego powietrza na kark Bola, a wtedy pies ułożył się przed fotelem.

Isabel nie odstępowała Creeda na krok. Nadal stała tuż przy fotelu, jakby wciąż na kogoś albo na coś czekała. Creed, nim usiadł, spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Może życzą sobie panowie czegoś do picia? Kieliszek wina? Szklaneczkę whisky? Mamy tu świetnie zaopatrzone barek.

- Urządziłoby nas kilka butelek wody.

- Ależ oczywiście.

Dopiero wtedy Isabel odwróciła się na pięcie i skierowała do części kuchennej na tyłach samolotu. Widać było, że wyszkolono ją do usługiwania. Zapewne Loganowi bardzo to odpowiadało.

Creed usiadł na niezwykle miękkim, skórzanym fotelu i rozejrzał się po obitej boazerią kabinie. Cały ten przepych niezbyt pasował do kogoś, kto w Afganistanie służył zaledwie w randze dowódcy plutonu. Prawdopodobnie Logan próbował zrobić wrażenie na gościu, jednak Creed nie mógł opędzić się od myśli, ile ten lot musiał kosztować podatników.

Hanna wspominała, że Logan dosłużył się podpułkownika. Jednak ponieważ na Creedzie nie zrobiło to żadnego wrażenia, zapomniał dopytać, jaką pozycję w departamencie Logan zajmuje obecnie i kim próbuje tym razem dowodzić. Domyślał się, że znajdzie te informacje w materiałach, które Hanna zdążyła zgromadzić. Czekają na niego w aktówce, ale nie zamierzał do nich zaglądać. Jakiś czas temu odkrył, że najlepiej mu się pracuje, gdy zna tylko podstawowe dane.

Istniało ryzyko, że przewodnik, który pogubi się w nadmiarze szczegółów, wyprowadzi w pole psa tropiącego albo będzie poszukiwał sygnałów lub celów, które tak naprawdę wcale nie są istotne. Nierzadko przewodnicy prowadzili psy w taki sposób, by koniec końców odnalazły to, czego zażyczyły sobie organy ścigania albo urzędnicy. Przy obecnym zleceniu Creed nie spytał nawet, ilu jest zaginionych. Nie chciał, by jego umysł skupiał się na statystycznych szansach na przeżycie poszukiwanych albo obliczeniach, ile godzin człowiek może przeżyć, gdy spoczywa na nim

warstwa błota i gruzu.

Nie ignorował faktów. Po prostu w swoich założeniach lubił uwzględniać przypadki, które przeczyły rozumowi czy wyłamywały się normalnemu biegowi rzeczy. Być może podejściu takiemu można by zarzucić niepraktyczność – niektórzy uznaliby je pewnie wręcz za wyraz głupoty – jednak Creed wiedział, że bez wiary w cuda nie przetrwałby ostatnich siedmiu lat w tej branży.

Kiedy Isabel wróciła z wodą, postanowił jednak zasięgnąć języka.

- Jakie właściwie stanowisko piastuje Logan w Departamencie Obrony? - spytał, siłąc się na niezobowiązujący ton, który miał sugerować, że są po prostu kumplami z dawnych lat, którzy stracili jakiś czas temu kontakt.

Pytanie wyraźnie zaskoczyło asystentkę – zdziwiona uniosła brwi, jednak nie kazała mu długo czekać na odpowiedź.

- Jest zastępcą szefa Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych w Dziedzinie Obronności^[1].

Skinął głową i podziękował za wodę, udając, że jej słowa nie zrobiły na nim wrażenia. Odczekał, aż kobieta zajmie się czymś innym i zostawi go samego. Równocześnie jednak jego umysł pracował na pełnych obrotach – co, u licha, zastępca szefa DARPA miał wspólnego z obsunięciami terenu w Karolinie Północnej?

Isabel zjawiała się znowu dziesięć minut po starcie. Nie czekając na zaproszenie, zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko Creeda. Zrobiła to ostrożnie, by nie zaniepokoić Bola przycupniętego u stóp pana.

- Polecono mi, bym służyła panu swą wiedzą, gdy wzbijemy się już w powietrze. Chętnie odpowiem na wszelkie pana pytania.

- Oczywiście chodzi o to, bym nie mógł się wycofać, gdy coś mi się nie spodoba, czyż nie?

Kobieta przywołała na usta uśmiech, usiadła wygodniej w fotelu i skrzyżowała nogi. Wyglądało na to, że nie zamierza odejść, nawet jeśli pasażer nie miałby do niej żadnych pytań.

- Nie wiem, jak poważne są zniszczenia – odezwała się, najwyraźniej gotowa podzielić się informacjami niezależnie od tego, czy mu na nich zależy. - Do największego obsunięcia doszło wczoraj około godziny dwudziestej drugiej trzydzieści. Jeśli dobrze zrozumiałam, od tego czasu utworzyły się dwa kolejne, choć mniejsze, osuwiska. Tym razem zagarnęły

ze sobą też masy gruzu. Zna się pan na obsunięciach terenu?

- Odrobinę.

Kobieta wyraźnie czekała, aż jakoś to rozwinię. Domyślał się, że zleceniodawcy chcieli poznać jego doświadczenie zawodowe. Jeśli Isabel faktycznie nie знаła tych faktów, znaczyło to, że nie odrobiła pracy domowej.

Nie doczekawszy się żadnego dalszego ciągu, podjęła monolog:

- Niepokoi nas, co stało się z pewną placówką badawczą. Zajmuje teren ponad dwóch hektarów. Zawęża to znacznie obszar poszukiwań. Na terenie ośrodka stał dwukondygnacyjny ceglany budynek.

- Gdy masy ziemne ruszyły, posesja znalazła się na szczycie czy na dnie?

- Powiedziano mi, że mniej więcej w połowie wysokości.

- Ile przebywało tam osób?

- Nie jestem pewna. Do wypadku doszło po godzinach pracy. Nadal próbujemy skontaktować się z dyrektorką placówki. Obawiamy się, że w momencie zdarzenia zarówno ona, jak i ktoś z jej podwładnych mogli znajdować się w środku.

- Czy ktoś widział, w jakim stanie jest teraz budynek?

Isabel uciekła wzrokiem w bok, zerknęła na Bola, potem przez okno. Dopiero po chwili skierowała spojrzenie z powrotem na rozmówcę.

- Jeden z naszych ludzi, który był na miejscu zdarzenia, nie zdołał go odnaleźć.

- Nie mógł dostać się w pobliże?

- Nie, nie umiał zlokalizować tego miejsca. Budynek znikł z powierzchni ziemi. Zalało go błoto.

4.

Waszyngton

Senator Ellie Delanor wraz ze swą asystentką przepychały się przez tłum protestujących, kierując się ku schodom Kapitolu. W pewnym momencie przez głowę przeleciała jej myśl, że następnym razem, gdy będzie dobierała sobie najbliższego współpracownika, za kryterium powinna przyjąć rozmiar bicepsa, a nie liczbę szarych komórek. Amelia Gonzalez była co prawda bystra i kompetentna, ale drobniutka; mierzyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt, a ważyła pewnie jakieś czterdzieści pięć kilogramów. W sytuacjach kryzysowych pani senator nie mogła liczyć, że asystentka obroni ją przed gniewem tłumu.

Protestujący, którzy przybyli dziś pod Kapitol, zachowywali się w miarę przyzwoicie. Gdy nakazano im rozstąpienie się, nie cisnęli się po chwili z powrotem, ale też sami z siebie nie ustępowali z drogi. Ellie z dezaprobatą przypatrywała się, jak Amelia parła przez ocean ludzi, nie troszcząc się o to, że drogę za nią zastępowali natychmiast kolejni protestujący, zostawiając panią senator zdaną na własne siły. To miasto nie umiało uszanować żadnych świętości. A gdy ludzie widzieli w niej senatora, ich lekceważenie stawało się jeszcze lepiej widoczne.

Lecz w gruncie rzeczy Ellie widziała przecież, że w porównaniu z tym, do czego ostatnio przywykła, dzisiejsi demonstranci zachowywali się w sposób cywilizowany. Wielu miało na sobie ubrania z patriotycznymi wizerunkami, na wietrze powiewały ściskane w dłoniach miniaturowe flagi. Gdy omiotła wzrokiem twarze zebranych, zrozumiała, że są starsi niż przeciętni bywalcy politycznych wieców czy aktywiści. Pozwoliła sobie nawet na nawiązanie kontaktu wzrokowego z kilkoma osobami. Gdy jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem tego czy innego protestanta, kiwała lekko głową, jakby się na coś zgadzała. W pewnym momencie uderzyło ją, jak bardzo ludzie ci przypominają jej wyborców z rodzimej Florydy. Wystarczyłoby zaprosić ich do sali konferencyjnej w najbliższym hotelu i mogliby śmiało uchodzić za ludzi zaangażowanych w jej kampanię przed reelekcją.

Przecież to byli jej wyborcy - weterani wojenni w lichych T-shirtach

i czapeczkach bejsbolowych, matki i babki, drobni przedsiębiorcy i liderzy różnych ugrupowań obywatelskich. Przybyli na schody Kapitolu nie po to, by bronić jej wstępu, lecz by przypomnieć o obowiązkach, jakie na siebie wzięła.

Powinno dodać jej to otuchy i dodatkowo pobudzić przed przesłuchaniami w Kongresie, które miały rozpocząć się jutro. Ellie Delanor stoczyła prawdziwy bój, by również zasiąść w komisji, jednak wcale nie chodziło tu o obronę interesów tych ludzi ani nawet przemawianie w ich imieniu. Jej motywacja była znacznie bardziej przyziemna - chciała przy okazji przesłuchań podbudować swoją pozycję polityczną i wypowiedzieć parę banałów, które dobrze zabrzmiały w doniesieniach medialnych. Wszystko po to, by wygrać w kampanii przed reelekcją, która bardzo szybko obróciła się w zażarty bój.

Był taki czas, gdy jej pochodzący z Kolumbii mąż... Nie. Jej pochodzący z Kolumbii eksmąż. Musi wreszcie to zapamiętać. Nie może sobie pozwolić na takie pomyłki. No więc był taki czas, gdy zabójczo przystojny George Ramos, prezentujący się raczej jak gwiazda filmowa, samym swym urokiem zjednywał jej wyborców. Za to teraz...

Ich małżeństwo trwało trzynaście lat. Jakim cudem przez cały ten czas nie domyśliła się, że małżonek para się handlem narkotykami? Handlem? Na miłość boską, George kontrolował cały południowo-wschodni obszar USA, na którym interesy robił kolumbijski kartel. Jego proces zbliżał się wielkimi krokami, zagrażając, że definitywnie pogrzebie karierę polityczną Ellie, o ile wcześniej nie zdoła przedstawić opinii publicznej jakiejś przekonującej historii.

Choć wymagało to od niej wielkiego hartu ducha, dołożyła wszelkich starań, by mąż - cholera jasna, eksmąż! By eksmąż - ojciec dwójki jej dzieci - zasiadł na ławie oskarżonych. Niejednokrotnie dawała do zrozumienia opinii publicznej, że George Ramos nie może liczyć na ulgowe traktowanie z jej strony podczas procesu. Zamierzała wręcz dopilnować, by wydano najsroższy z możliwych wyroków. Jako amerykańska senator wciąż miała na tyle rozległe wpływy w rodzimym stanie, by sprawić, że George słono zapłaci za wszystkie swe zbrodnie.

Aby jednak to się powiodło, wcześniej musiała znaleźć sposób na zwycięstwo w nadchodzących wyborach. I właśnie temu miało służyć

przesłuchanie w Kongresie, do którego się przygotowywała.

Pomagając sobie łokciami, sforsowała ostatnie stopnie schodów i zniknęła za drzwiami. Po drodze nikt nie kazał jej przemawiać do kamery. A co ważniejsze, nie usłyszała też żadnego uwłaczającego komentarza. Był to, można powiedzieć, dobry początek dnia. Tak jest, wystarczyło, że nikt nie nazwał jej dziwką sprzedającą się za prochy ani nie rzucił w twarz innej obelgi, a ona czuła się dobrze.

Gdy tylko przedostały się z asystentką do środka, dołączył do nich szef sztabu Ellie. Zawsze zjawiał się u jej boku, i tak było tym razem. Cała trójka ruszyła korytarzem. Po zdawkowym powitaniu mężczyzna wręczył jej złożoną kartkę papieru. Wprawdzie liczyła raczej na zwyczajową filiżankę kawy, ale wyczuła, że to coś ważnego. Wokół nich tłoczyło się zbyt wiele osób, by mogła go teraz spytać, o co chodzi. Zwłaszcza że szef sztabu postarał się doręczyć tę wiadomość jak najszybciej, nie zwracając uwagi na postronne osoby. Ellie wiedziała, że musi zaczekać, aż znajdą się w gabinecie – nie dowierzała swym umiejętnościom maskowania uczuć. Zaczynała się już jednak domyślać, że dzień, który się właśnie zaczynał, wcale nie będzie udany.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Kiedy Creed wsiadał na pokład samolotu, dzień był słoneczny i ciepły. Teraz jednak dostali się w strefę opadów, a zaciągnięte burzowymi chmurami niebo przybrało siną barwę. Było popołudnie, jednak ziemię spowijały gęste ciemności. Pilot zdążył sprowadzić maszynę na ziemię, a chwilę potem na nowo rozpętała się burza. Na pytanie Creeda, jak długo trwają opady, Isabel Klein odparła:

- Leje bez przerwy.

Dotychczas Creed brał udział w trzech akcjach poszukiwawczych na terenach dotkniętych huraganem, pomagając odnaleźć ocalonych oraz zabitych. Podczas takich operacji zazwyczaj największe utrudnienie stanowiły warunki pogodowe. Opady i wiatr rozpraszały zapach, a dodatkową przeszkodą była temperatura powietrza. Upał wprawdzie przyspieszał rozkład ciał, wzmagając rozchodzący się od nich zapach, ale równocześnie duża wilgotność i upalne temperatury były trudne do zniesienia dla psa i przewodnika. Creed liczył, że wrześnieowa aura w Karolinie Północnej nie przysporzy im większych problemów. Przed odlotem sprawdził prognozę - zapowiadano dwadzieścia kilka stopni w ciągu dnia i kilkanaście nocą, jednak deszcze mogły całkowicie zmienić panującą na miejscu temperaturę.

Praca przy obsunięciach terenu wiązała się też z innymi utrudnieniami. Wydawać by się mogło, że ustanie opadów i niechybne pojawienie się mgły stanowiłoby lepszy scenariusz niż nieprzerwane ulewy, jednak wynikało z tego pewne ryzyko. Wystarczyło bowiem, by przestało padać, a zasychające błoto uwięziłoby wszelkie zapachy. Z równym powodzeniem można by wtedy poszukiwać jakiejś woni przez betonową ścianę. W zeszłym roku po obsunięciach terenu w Oso, w stanie Waszyngton, przez sześć dni Creed przeszukiwał teren, na którym ziemia pogrzebała czterdzieści trzy osoby.

Drogę z lotniska do miejsca zdarzenia Creed i Bolo spędzili na tylnych siedzeniach samochodu. Zapinając pas bezpieczeństwa, Creed przewlekł go przez uprząż psa, jednak przez cały czas trzymał dłoń na jego grzbiecie. Nie przestawało lać, przez co Creed nie mógł się zorientować, jak wygląda teren, po którym się poruszają. Kiedy zerknął na Bola, zobaczył, że pies

przytknął nos do szyby po swojej stronie, jakby dręczyły go te same wątpliwości.

Obaj mieli już za sobą pracę przy podobnej pogodzie. Dzięki temu dudnienie odległego gromu ani rozlegające się od czasu do czasu uderzenia piorunów nie robiły wrażenia na zwierzęciu. Podobnie jak większość zwierząt w psiarni Creeda i Hanny, Bolo trafił do nich z ulicy. Miał wtedy niespełna rok i wciąż jeszcze szczenięce zęby. Nowi właściciele nie byli pewni, jakiej właściwie jest rasy. Hanna twierdziła, że jednym z przodków Bola musiał być labrador retriever. Psy rasy rhodesian ridgeback z natury niechętnie wchodziły do wody, tymczasem Bolo mógł się poszczycić błoną pławną między palcami, podobną do tej występującej u labradorów, i przepadał za kąpielami. Nie przeszkadzał mu też deszcz, jednak przewodnik musiał dopilnować, by pies nie pociągnął go w miejsca znajdujące się pod wodą. Creed szybko ocenił potencjalne przeszkody i niebezpieczeństwa, z którymi mogą się spotkać na miejscu. Jedną przeszkodą wydawała mu się wyjątkowo trudna do pokonania.

- Czy na miejscu czekać będzie na nas Logan?

W pierwszej chwili pomyślał, że łomot deszczu tłukącego w dach samochodu oraz wizg pracujących pełną parą wycieraczek zagłuszyły jego słowa. Jednak w następnym momencie dojrzał, jak Isabel wymienia porozumiewawcze spojrzenia z kierowcą.

- Raczej nie. Z tego co wiem, panu Loganowi do jutra nie uda się wyrwać ze stolicy.

Creed zareagował obojętnie, jakby nie robiło mu to większej różnicy. Oczywiście nie potrzebował pomocy Petera Logana. W gruncie rzeczy jego obecność mogłaby tylko utrudnić pracę. Mimo wszystko było w tym coś dziwnego - spodziewał się, że nagły charakter incydentu wymagał będzie pojawienia się zleceniodawcy.

- Kto odpowiada za oczyszczenie terenu, na którym mają być prowadzone poszukiwania?

Powtórzyła się ta sama sytuacja - nim Isabel udzieliła odpowiedzi, wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z mężczyzną prowadzącym samochód. Miał ochotę powiedzieć tym dwojgu, że wcale nie oczekuje, iż ujawnią mu jakieś supertajne informacje. Potrzebował najbardziej podstawowych danych, to wszystko. Kiedy jednak upłynęła naprawdę długa

chwila, a Isabel nadal milczała, Creedowi przyszło do głowy, że może źle ocenił sytuację. Być może nie chodziło wcale o to, że asystentka Logana nie chciała podzielić się z nim pewnymi informacjami – może po prostu sama ich nie znała. W końcu jednak odezwała się, jakby posiadała zdolność czytania w myślach:

- Jeśli chodzi o ten konkretny teren, to chyba my.

Creed spodziewał się, że zaraz usłyszy wybuch śmiechu. Na próżno. Isabel nie żartowała. Jej zwięzła odpowiedź powiedziała mu jednak znacznie więcej, niż zakładała kobieta. Isabel Klein nigdy wcześniej nie brała udziału w akcji poszukiwawczej ani ratunkowej na obszarze klęski żywiołowej. Ani zresztą żadnym innym.

Creed pogłaskał Bola po karku, raczej by uspokoić samego siebie niż zwierzę. Wprawdzie obaj, człowiek i pies, pracowali już nieraz z amatorami, ale czy to znaczyło, że musieli za tym przepadać? Creed nie był formalistą, ale wiedział, że trzymanie się protokołu w sytuacjach zagrażających życiu pomagało ochronić psy.

W pewnym momencie Bolo odwrócił się i wyczekująco spojrział w oczy swemu panu. Creed znał to spojrzenie: pies rwał się do pracy. A może raczej: do zabawy. Szkoda, że tym razem to nie miało być takie proste.

6.

Pensacola, Floryda

Hanna Washington nie mogła pozbyć się przeczucia, że powinna odrzucić to zlecenie. Creed upierał się, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale widziała przecież, że coś go gnębi. Jazda na lotnisko zajęła im czterdzieści pięć minut, w tym czasie odzywał się niechętnie i wydawał się ponury. Miała wrażenie, jakby samo wspomnienie Petera Logana sprowadziło myśli Creeda na jakieś mroczne tory. Niewiele z niego wydusiła - powiedział tylko, że znali się jeszcze z Afganistanu; wspomniał też o przystudze, jaką był mu winien.

Kiedy Hanna zerknęła we wsteczne lustro, zobaczyła wpatrzoną w siebie suczkę Grace. Pies rasy Jack Russell terrier był rozczarowany, że Creed nie zabrał go do samolotu razem z Bolem. Grace to ich najlepszy pies węszący i najlepszy wielozadaniowy. Umiała wywęszyć ciało zabitego, ale też doprowadzić ratowników do tych, którzy przeżyli.. Posiadała też zdolność wykrywania różnych chorób i substancji: poczynając od wirusów i raka, kończąc na kokainie, metamfetaminie i heroinie.

Większą część lata Grace przepracowała z Creedem, pomagając celnikom na lotniskach oraz Straży Wybrzeża. W tym czasie przyciągnęli nawet uwagę mediów. Zdaniem Creeda Grace była zbyt drobnej postury, by zabierać ją na tereny dotknięte klęskami żywiołowymi. W ramach zadośćuczynienia Hanna wołała ją do samochodu, gdy jechała załatwiać sprawunki.

Suka wpatrywała się bez przerwy w oczy swej pani, jakby w nadziei, że w końcu zmusi ją do zawrócenia auta i dopędzenia Creeda.

- Daruj sobie te wyrzuty, Grace - odezwała się Hanna, spoglądając przez ramię na czworonożną pasażerkę.

Żałowała już, że posłała go na tę misję. Do jej obowiązków należało dokładne prześwietlenie każdego zlecenia, jakie napływało do firmy. Odpowiadała też za upewnienie się, że psy nie zostaną narażone na zbyt niebezpieczeństwo. To samo dotyczyło przewodników. Nie była jednak w stanie chronić Rye'a przed czymś, o czym nie wiedziała.

Jako partnerzy w interesach, przyjaciele i rodzina przeżyli już niejedno. Hanna wiedziała, że w życiu Creeda, nim się poznali, były sprawy, o których nie miała pojęcia.

I bardzo dobrze. Nie widziała w tym problemu.

Zazwyczaj czyjaś przeszłość była sprawą zamkniętą, a Hanna nie czuła się na siłach, by rozliczać z niej Creeda. Wiedziała doskonale, że w życiu każdego człowieka są pewne sprawy – błędy przeszłości, wyrzuty sumienia albo zwyczajne wspomnienia sprzed lat – które powinien trzymać w ukryciu. Wystarczyło bowiem, że się nimi podzielili, a przestawały należeć tylko do niego.

Hanna wiedziała też, że Ryder Creed przechowywał trudne, bolesne wspomnienia z przeszłości. Tak groźne, że mogły popchnąć umysł na niebezpieczne tory. Na co dzień radził sobie z nimi coraz lepiej, ale czasami coś przesączało się do ich życia. A gdy owe wspomnienia zaczęły dotyczyć jej samej oraz dwóch jej synków, wówczas przestały być prywatną sprawą Creeda i stały się również jej problemem.

Jedno nie ulegało wątpliwości – Creed się zmienił i teraz z trudem dałoby się w nim rozpoznać tego gniewnego żołnierza marynarki wojennej, którym był, gdy poznali się przed siedmioma laty. Pracowała wtedy w barze Waltera na plaży w Pensacoli. Mieli już zamykać. Pamiętała, że czuła się wykończona po całym dniu pracy, bolały ją stopy. Marzyła tylko o jednym – żeby posprzątać i jak najszybciej znaleźć się w domu. I właśnie wtedy żołnierz, któremu naląła jeden kieliszek za dużo, wdał się w bójkę. I to nie bójkę jeden na jednego, ale w bijatykę z trzema przeciwnikami naraz. Upatrzył sobie trzech osiłeków i gdyby Hanna w ostatnim momencie nie wyrzuciła ich z lokalu, zapewne dostałby ostre manto. Sprawcy całego zamieszania pozwoliła zostać w środku. Musiał za to pomóc jej uprzątnąć porozlewane piwo i stłuczone szkło.

Nadal pamiętała jego spojrzenie tamtej nocy, gdy w końcu ulotnił się z niego gniew, a pozostały tylko niepokój i przerażenie. Wiele lat później przyznał się jej, że nigdy wcześniej nie widział, by ktoś wkurzony na niego okazywał swe emocje w tak spokojny i poważny sposób. No dobra, „spokojny” i „poważny” to były określenia, których użyła potem Hanna. On sam zapewne mówił wtedy raczej o „prawieniu kazań” i byciu „wściekłą”. Wyznał też, że nigdy wcześniej nie pozwolił, by jakaś czarna kobieta zrugowała go niczym natchniony pastor rozdokazywanego młodzieńca.

Na myśl o tym, że komuś w ogóle mogło przyjść do głowy, by porównać ją do pastora, ogarnęła ją wesołość. Przemierzała teraz korytarz Segway

House, w obu rękach taszcząc torby z zakupami spożywczymi, a Grace paradowała dumnym krokiem tuż obok. Wtem zza pleców Hanny dobiegł męski głos:

- Hanno, pomogę ci.

- Frankie Sadowski, na miłość boską, skąd ty się tu wzięłeś? Myślałam, że jesteś już w Waszyngtonie - przywitała się, pozwalając mężczyźnie wziąć jedną z reklamówek.

Gdy wyciągnął zniekształconą artretyzmem dłoń również po drugą siatkę, wiedziała, że na nic się zdadzą protesty. Frankie Sadowski, mimo powykręcanych przez chorobę dłoni oraz siwych włosów, nadal był wysokim i szczupłym mężczyzną. Gdyby nie wiedziała, że dobijał siedemdziesiątego roku życia, dałaby mu piętnaście lat mniej. Nawet jego ogorzała od słońca i wiatru twarz nie zdradzała prawdziwego wieku - zdobiły ją zmarszczki mimiczne od częstego uśmiechania się, a błękitne oczy skrzyły się od nadmiaru energii.

- Czekam, aż Susan skończy swoją zmianę. Jedziemy razem do stolicy. Uznała, że przyda jej się taki wypad. Ostatnio w szpitalu miała ciężki okres, dużo nadgodzin.

Hanna wiedziała, że córka Frankiego pracuje w szpitalu Świętego Serca na oddziale urazowym.

- Jak ma na imię twoja towarzyszka? - spytał Frankie, wskazując czworonoga.

- Grace.

- Mam nadzieję, że nie szukacie tu ciał żadnych nieszczęśników - zauważył ze śmiechem, wyraźnie zadowolony z dowcipu, jednak Hanna uśmiechnęła się tylko uprzejmie.

- Chciałabym uruchomić szkolenia dla psów wykorzystywanych w dogoterapii - wyjaśniła rzeczowo. - Grace to typ dobrej kumpeli.

Hanna zerknęła na psa, który usiadł dokładnie pod stopami Frankiego i spoglądał jej prosto w oczy. Tak intensywne spojrzenie zazwyczaj wskazywało, że Grace znalazła to, czego szukała. Tyle że Hanna nie kazała jej przecież szukać niczego konkretnego.

- Czekając na Susan, wpadłem do Gusa Seavera - odezwał się Frankie. - Prosił, żebym do niego zajrzał i sprawdził, co porabia jego wnuczek, Jason.

Hanna pamiętała, że Gus i Frankie służyli razem w Wietnamie. Należeli

do grupki weteranów, którzy skrzyknęli się i pomagali kolegom, gdy trzech z nich zniedołężniało do tego stopnia, że nie umieli już sami sobą się zająć.

Z początku sądzili, że jedynie zbieg okoliczności sprawił, iż wszyscy cierpią na podobne przypadłości. Dopiero niedawno odkryli, że oddział, w którym służyli, został narażony na kontakt z jakimiś trującymi chemikaliami. Frankie co prawda nie zaobserwował u siebie żadnych objawów, ale to on postanowił nagłośnić sprawę. Temu właśnie służył wyjazd do Waszyngtonu, gdzie Sadowski miał zeznawać w Kongresie.

Nigdy nie zapominał o nienagannych manierach. Kiedy dotarli do drzwi, obładowany ciężkimi siatkami przepuścił kilka osób, a potem zachęcił Hannę, by poszła przodem. Hanna poklepała się po udzie, dając znak Grace, by ruszyła za nią.

- Prawdę mówiąc, liczyłem, że cię tu spotkam - powiedział Frankie. - Chciałbym pomówić z tobą o nim.

- O Gusie? - zdziwiła się Hanna.

- Nie, o Jasonie.

Skinęła tylko głową. Z pytaniami wołała zaczekać, aż zostaną sami.

- Włożę najpierw parę rzeczy do lodówki - zapowiedziała.

Kiedy weszli do kuchni, Hanna pokazała Frankiemu, gdzie ma położyć torby. Zaraz też zabrała się do rozpakowywania, przy okazji upewniając się, że nikt ich nie podsłuchuje.

- Jason wyprowadził się z Segway House miesiąc temu - poinformowała gościa.

Frankie uniósł brwi, jednak nie odezwał się ani słowem. Hanna nie zdziwiła się, że Jason nie poinformował dziadka o swojej decyzji. Podobnie jak wielu innych poranionych wewnętrznie weteranów wracających z frontu, nie chciał stanowić obciążenia dla rodziny.

Segway House był ośrodkiem resocjalizacji dla żołnierzy, którzy po powrocie z Iraku i Afganistanu nie mieli się gdzie podziąć. W ciągu ostatnich kilku lat placówka stała się czymś więcej - przekształciła się w przytułek dla różnych zabłąkanych dusz: ćpunów, nastolatków, którzy uciekli z domów, i wykorzystanych kobiet.

Oprócz dachu nad głową ośrodek zapewniał też pomoc doradców, przygotowywał programy edukacyjne oraz oferował parę innych usług. Hanna należała do grona założycieli placówki, a Frankie był jednym

z pierwszych wolontariuszy, którzy zgłosili się do pomocy.

Jednego nie rozumiała: dlaczego Jason nie pochwalił się dziadkowi, że zdobył nową pracę? Przecież to była dobra wiadomość.

- Jak on się ma? - spytał Frankie.

- Pracuje teraz dla mnie i Rydera.

- Poważnie?

- Przeniósł się do jednej z przyczep mieszkalnych, które znajdują się na naszej posesji.

Hanna liczyła, że to rozwieje obawy Frankiego, jednak ten nadal miał zmarszczone brwi. Widać było, że coś go gryzie.

- Mieszka tam całkiem sam?

- Niezupełnie - odparła, ale już w następnej chwili zrozumiała, o co chodzi. W Segway House Jason otoczony był przez innych weteranów, ludzi podobnych sobie, z którymi zawsze mógł pogadać i którzy mogli go wesprzeć w trudniejszych momentach.

- Ma Rye'a i mnie, a także innych przewodników - wyjaśniła. - Dwa razy w tygodniu zagląda też do nas weterynarz. No a przede wszystkim pełno tam psów.

Frankie skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie powiedział o tym Gusowi.

W jego głosie, gdy to mówił, pobrzmiwał niepokój. I nieco oskarżający ton, który Hanna starała się puścić mimo uszu.

- Podoba mu się ta praca. I chyba mu służy - odparła, tłumiąc w sobie narastającą irytację.

- Powiedział ci to?

I nagle wychwyciła coś dziwnego w jego spojrzeniu - coś, co uświadomiło jej, dlaczego Jason zataił przed dziadkiem przeprowadzkę. Niepokój od żalu oddzielała niewyraźna linia, a dla jego najbliższych to, że chłopak stracił połowę ręki, nie oznaczało, że musi też stracić pół życia.

- A dlaczego właściwie Gus tak się tym przejmuje? - spytała Hanna.

Frankie wzruszył ramionami i obrzucił spojrzeniem kuchnię. I nagle ten zaprawiony w bojach stary wojak, bohater, który w imieniu swych kolegów dochodził należnych im praw, wydał jej się dziwnie zawstydzony i bezbrony. Sprawiał wrażenie, jakby nagle nie wiedział, co ma mówić.

- Chyba Gus martwi się, że Jason mógłby... no wiesz.

Odczekał chwilę, jakby w nadziei, że pomoże mu i dokończy to zdanie za niego. Hanna jednak zamiast tego podeszła do niego i wsparła ręce na biodrach. Cała ta sprawa zaczynała ją denerwować.

- Chyba jednak nie wiem - oznajmiła. Grace znów usadowiła się naprzeciw nóg Frankiego i spoglądała wyczekująco na panią.

- Gus martwi się, że dzieciak może spróbować popełnić samobójstwo.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Creed odetchnął z ulgą, gdy dojrzał charakterystyczne żółte hełmy ratowników i koparkę gąsienicową. Nieopodal rozbito namiot polowy, którego ściany łopotały na wietrze. U dołu umocniono je betonowymi płytami. Przy jedynej utwardzonej drodze prowadzącej na teren katastrofy zaparkowano karetkę pogotowia. Zwrócona była w drugą stronę i gotowa w każdej chwili odjechać.

Pokonanie pięćdziesięciu kilometrów z lotniska zajęło im półtorej godziny. Kiedy korzystali z objazdów i tak natrafiali na gigantyczne rozpadliny w asfalcie. Wyglądało to tak, jakby jakiś potwór wielkości Godzilli przemaszerował tędy przed nimi, tupiąc z całej siły i krusząc nawierzchnię.

Wjazdu na teren ośrodka broniły zapory, a gdy ich samochód terenowy podjechał bliżej, podszedł do nich zastępca miejscowego szeryfa. Na ramionach miał płaszcz nieprzemakalny, a rondo kapelusza ukrył pod plastikowym kapturem. Isabel nachyliła się do okna przy fotelu kierowcy i przyłożyła do szyby swój dowód osobisty. Zastępca szeryfa gestem poprosił, by opuścić szybę, na co zniecierpliwiona Isabel zareagowała gniewnym prychnięciem. Deszcz osłabł i zamienił się w miarowy stukot, przez co Creed mógł usłyszeć, jak Isabel mamrocze pod nosem: „Czy oni naprawdę nie domyślają się, kim jesteśmy?”.

- Dzień dobry - przywitał się kierowca, gdy zastępca szeryfa sięgnął po dokument Isabel.

Następnie policjant wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę i pochylił się nad nią, mrużąc oczy, jakby szukał imienia Isabel na liście. Creed zauważył, jak kobieta zaciska szczęki, starając się ukryć zniecierpliwienie.

- Nie mam pani na liście - oświadczył policjant, oddając portfel z dokumentami.

- Co takiego? To niemożliwe. Jesteśmy z Departamentu Obrony.

- Przykro mi. Ale nawet gdyby przysłał państwa Biały Dom, a wasze nazwiska nie figurowałyby na tej liście, i tak nie mógłbym was wpuścić.

Mundurowy zerknął następnie na tylne fotele, a gdy odnalazł wzrokiem Bola, momentalnie zmienił wyraz twarzy.

- Czy to pies ratowniczy?

- Owszem, i musimy... - zaczęła Isabel, zastępca szeryfa nie pozwolił jej jednak dokończyć.

- Czemu od początku nie mówiliście? Poszukajcie postawnego faceta z siwymi włosami, to Oliver Vance. Jest szefem sztabu zarządzania kryzysowego w Karolinie Północnej. Chyba znajdziecie go w namiocie. Przedstawi wam sytuację i opowie o szczegółach. Po lewej macie trochę stałego terenu, możecie tam zaparkować.

Jak tylko samochód stanął, Creed skierował się do bagażnika po sprzęt dla siebie i psa. Isabel i kierowca kłócili się o to, dlaczego jej nazwisko nie znalazło się na liście policjanta. Gdy obładowany tobołami ruszył w stronę polowego namiotu, para nadal zajęta była sprzeczką. Nim doszedł do namiotu, powitał go Oliver Vance.

- Dzień dobry - odezwał się mężczyzna, wyciągając do Creeda dłoń w rękawiczce. Dłoń wielkości rękawicy łapacza w bejsbolu. - Oliver Vance, ale nazywają mnie Ollie.

- Ryder Creed. A to Bolo.

- Bolo? - Mężczyzna zaśmiał się na dźwięk psiego imienia. - Wszyscy się cieszymy, że udało wam się dojechać. Słyszałem, że walczyłeś w Afganistanie, i tam również byłeś przewodnikiem psów.

- Zgadza się.

- Sytuacja na obszarze obsunięcia nadal jest niestabilna. Ale skoro byłeś w Afganistanie, więc pewnie przywykłeś do działania na niespokojnym terytorium.

Creed pamiętał, co mówili o przewodnikach psów, gdy prowadził oddział na terytorium wroga: przewodnik myli się raz. Ich zadanie polegało na posuwaniu się u boku oddziału i wytyczaniu szlaku na obszarze zajmowanym przez nieprzyjaciela. W praktyce wyglądało to tak, że przewodnik z psem szli na samym przedzie i służyli za pierwsze potencjalne cele nie tylko dla ognia talibów, ale też zagrzebanych w ziemi improwizowanych ładunków wybuchowych.

- Tutaj przynajmniej nikt nie będzie strzelał do mojego psa - odparł.

- Dranie - powiedział mężczyzna, potrząsając głową. - Brałem udział w operacji Pustynna Burza. Nadal uważam, że powinniśmy już wtedy z nimi skończyć. Zaoszczędziłoby to nam wielu kłopotów. Nienawidzę tego kurewskiego kraju. Czasami przychodzą takie dni, że mam wrażenie, jakbym

dalej miał cały tyłek w piachu.

Słyszając to, Creed nie umiał powstrzymać uśmiechu. Vance wskazał mu suchą ławkę ustawioną na środku namiotu i pogłaskał psa, podczas gdy przewodnik skupił się na wyciąganiu sprzętu z marynarskiego worka. Wkoło nich trwała gorączkowa krzątania - mężczyźni nawoływali się i zabezpieczali teren.

- Ile osób nadal jest zaginionych? - spytał Creed.

- Czterdzieści pięć.

- Pan Creed ma przeszukać teren na polecenie podpułkownika Logana - odezwała się nagle Isabel, wchodząc do namiotu.

Była jakieś trzydzieści centymetrów niższa od Olivera Vance'a i stając przed nim, skrzyżowała ramiona na piersi, próbując chyba dodać sobie powagi. Przed zejściem na ląd z pokładu samolotu przebrała się w dżinsy i górskie buty, które wyglądały na świeżo kupione. Na ramiona narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy. Każdy szczegół świadczył o tym, że ta kobieta nigdy wcześniej nie pracowała na terenie dotkniętym klęską żywiołową.

- A to kto? - spytał Vance Creeda, wskazując przybyłą palcem.

- Pan Creed został zatrudniony przez Departament Obrony - powiedziała Isabel, zanim Creed zdążył dojść do słowa. - Jego zadaniem jest przeszukanie wytyczonego terenu.

- Bolo i ja możemy pracować tylko na terenie, który został do tego celu specjalnie przygotowany - odezwał się Creed, wchodząc między dwoje rozmówców. Spojrzeniem świdrował jednak kobietę. - Właśnie dlatego próbowałem się dowiedzieć, kto dowodzi całą akcją. Muszę przestrzec protokołu.

- Protokołu?

- Pani szef powinien był o tym wspomnieć.

- Mamy jasne wytyczne...

- Kiedy na miejsce dotrze Logan - wszedł jej w słowo Creed - wówczas ewentualnie będzie mógł zmienić zapisy protokołu. Na razie jednak razem z Bolem będziemy prowadzić poszukiwania wyłącznie na terenie, który został uprzednio oczyszczony przez ludzi pana Vance'a.

- Zaraz się tym zajmujemy - oznajmiła Isabel i podniosła do góry telefon komórkowy, jakby jego widok miał sprawić, że Creed przestraszy się i zmieni zdanie.

- Proszę pokazać mi mapę terenu - zwrócił się Creed do Vance'a.

Gdy Isabel wycofała się do samochodu, Vance odprowadził ją wzrokiem, po czym wyciągnął z kieszeni puszkę z tytoniem. Zdjął wieczko i poczęstował Creeda. Kiedy ten odmówił, nałożył na bibułkę nieco tytoniu i zrolował ją w zgrabnego skręta.

- Ciężko jej będzie to strawić - odezwał się w końcu. - Przyprowdziła ze sobą tancerza, a tu okazało się, że tancerz ma inne plany. Nie zapomni ci tego.

Creed starał się stłumić narastające zniecierpliwienie. Niebo nadal pokrywała gęsta zasłona chmur, co jakiś czas zaczynało znów się sypać. Przy takiej aurze wkrótce zrobi się ciemno i będą mogli zapomnieć o pracy przy naturalnym oświetleniu.

- Ma pan tę mapę?

Vance wyciągnął z kieszeni kurtki przeciwdeszczowej zalaminowany arkusz i rozłożył go na prowizorycznym stoliku. Następnie palcem wskazującym zakreślił obszar, który zdążyli oczyścić.

- Gdzie pana zdaniem doszło do pierwszych obsunięć?

- Pogoda nie pozwala poderwać helikopterów, dlatego nie dysponujemy żadnymi zdjęciami z góry. Ale podejrzewam, że zaczęło się gdzieś tutaj - rzekł, wskazując linię poniżej szczytu jakiegoś wzniesienia.

- I obszar osuwiska kończy się tu, gdzie teraz stoimy, zgadza się?

- Na razie tak. Wiemy, że po naszej prawej stronie w dół poleciało jeszcze trochę ziemi. Ani na chwilę nie przestaje padać. A przez to nawet teren, który oczyściliśmy, również nie jest bezpieczny. Tutaj wszystko się rusza. Spróbowaliśmy zacząć od miejsca, gdzie znajdowała się największa koncentracja ludzkich siedzib. Obsunięcia ruszyły około wpół do jedenastej zeszłej nocy. Niektórzy mieszkańcy byli już w łózkach. Domostwa, które znajdowały się kilkaset metrów powyżej tej linii, ześlizgnęły się w dół zbocza lub zawałyły. Jeden dom zachował się w bardzo dobrym stanie. Spływające masy ziemi podmyły fundamenty i cały budynek po prostu zsunął się w dół, aż w końcu zderzył się z innym domem. Pozostałe... - Vance westchnął ciężko. - Trudno je nawet zidentyfikować w całym tym bałaganie. Pracowałeś już wcześniej przy obsunięciach terenu?

- W Oso.

Vance skinął w milczeniu głową. Creed nie musiał mówić nic więcej.

Obsunięcie w Oso, w stanie Waszyngton, było jednym z najgorszych w historii.

- No to wiesz, co tam można znaleźć: rozlane szambo, materiały izolacyjne, wycieki gazu i tony szkła. Zabójcza mieszanka trucizn, które jeszcze niedawno składały się na ludzką siedzibę.

- Co z ocalałymi?

- Udało nam się odnaleźć czternaście osób. Dwie zmarły już po wydobyciu, pięć trafiło do szpitala. Niektórzy ocaleni twierdzą, że pod gruzami są nadal uwięzieni członkowie ich rodzin. Chodzi tylko o tę strefę mieszkalną. Liczymy, że ty i twój zwierzak pomożecie nam do nich trafić.

Creed naciągnął psu przez głowę odblaskową kamizelkę i umocował ją paskami. Wyraźnie podniecony Bolo zaczął merdać ogonem. Ten model kamizelki miał pewien atut - wzdłuż grzbietu psiaka biegł specjalny pas wzmocnionego materiału, który mógł posłużyć jako uchwyt, gdyby przewodnik musiał wyciągać psa z błotnego grzęzawiska.

- Nie wiedziałem, że pies wymaga tyle sprzętu - odezwał się z tyłu Vance.

Przystanął nieopodal i obserwował, jak Creed umieszcza w siatkowej kieszeni na psiej kamizelce wodoodporny nadajnik GPS. Nadajnik znajdował się teraz dokładnie nad prawą przednią łapą Bola.

- Zazwyczaj nie spuszczam go ze smyczy podczas akcji. Jednak tutaj warunki są tak trudne, że tylko bym go opóźniał.

Następnie Creed zajął się własnymi przygotowaniami. Nogawki wcisnął do górskich butów i obwiązał to miejsce szeroką na dziesięć centymetrów nieprzemakalną taśmą samoprzylepną. Miał specjalne skarpety, które nie przepuszczały wilgoci. Wiedział, że taśma klejąca nie powstrzyma wody. Jej zadanie polegało na czym innym: powinna chronić przed wężami i insektami.

Następnie założył i zapiął pod brodą kask podobny do tych, których używali ludzie z ekipy Vance'a, tyle że bez wbudowanego zestawu radiowego. Do kieszeni sztormiaka schował rękawice, do drugiej sznurkową kość dla psa - na ten widok Bolo otworzył szeroko oczy i zamerdał ogonem. W szkoleniu większości psów Creed posługiwał się nagrodami w postaci zabawek, nigdy natomiast nie używał do tego celu pożywienia. Nagrody jedzeniowe były ryzykowne pod wieloma względami. Na koniec zarzucił na ramiona niewielki plecaczek, w którym znajdowały się wszystkie pozostałe

przedmioty, jakie mogły okazać się przydatne. Plecak miał specjalny zatrzask, który umożliwiał błyskawiczne zrzucenie go z pleców, gdyby na przykład Creed uwiązał w rumowisku i chciał się szybko wyswobodzić.

Po zakończeniu przygotowań odwrócił się do Vance'a. Pewna myśl nie dawała mu spokoju.

- Skąd wiedziałeś, że do was jadę?

- To znaczy?

- Nazwisko pani Klein nie figurowało na liście, a mimo to odniosłem wrażenie, że się mnie spodziewałeś. Wiedziałeś nawet, że jestem byłym żołnierzem.

- Jeden z naszych chłopaków wspomniał dziś rano, że do nas dołączysz. - Przy tych słowach Vance wsunął dłoń pod kask i podrapał się po burzy siwych loków.

Creed nie wiedział, co o tym sądzić. Wzruszył tylko ramionami, zapewne nie miało to żadnego znaczenia. Postanowił zmienić temat.

- Co możesz mi powiedzieć o tym ośrodku Departamentu Obrony?

- Niewiele o nim wiem. Znajduje się na uboczu, stoi na terenie należącym do rządu. Wszystko, co go dotyczy, jest utajnione. Nie udało mi się nawet dowiedzieć, do czego służyła ta placówka. Nie wspominając już o liczbie zatrudnionych tam osób. Wydaje mi się jednak, że posesja znajdowała się na północny wschód od tych domostw.

- Myślisz, że zabudowania ośrodka ucierpiały podczas obsunięcia?

- Na pewno. Prawdopodobnie niewiele z nich zostało. Ziemia zaczęła się obsuwać późno i mam nadzieję, że ośrodek był już pusty. Ewentualnych pracowników z ośrodka badawczego nie wciągnęliśmy nawet na listę osób zaginionych, bo nikt nie chce nam udzielić na ich temat żadnych informacji.

- Najtrudniej będzie mi ustalić zasięg zapachu. Pies oczywiście obszuka tylko wyznaczony teren, ale zapach może unosić się w powietrzu na o wiele większym terenie - wzdłuż toru obsunięcia, a przynajmniej wzdłuż toru, jakim wleczone było ciało. W rezultacie Bolo może wskazać jakiś wycinek terenu, ale wcale nie będzie to oznaczało, że dokładnie tam znajduje się ofiara.

- To nic - odparł uspokajająco Vance. - Tak czy inaczej, zaoszczędzi nam mnóstwo pracy i czasu.

- Martwi mnie jeszcze coś innego. Z twojego opisu wynika, że obsunięciu

uległy wielkie masy ziemi.

- Tak - przyznał Vance. - I było to bardzo gwałtowne. Nigdy wcześniej nie widziałem nic podobnego. W tych okolicach zdarzają się obsunięcia, ale rzadko dochodzi do czegoś tak dramatycznego jak tutaj.

- Muszę cię ostrzec. Istnieje spore ryzyko, że nie tylko domy zostały roztrzaskane na kawałki.

Waszyngton

Senator Ellie Delanor wpatrywała się w stos dokumentów piętrzących się na biurku. W kącie gabinetu ustawiono sześć kartonów również wyładowanych papierami. Nadeszły tego ranka. Nadawcą był senator Quincy, który przewodniczył przesłuchaniu przed Kongresem.

W drzwiach do gabinetu stał szef jej sztabu. Przed chwilą wręczył jej liścik, który zapewne miał przygotować ją na spotkanie z tą górą dokumentów.

- Może ktoś popełnił błąd? - spytała Cartera.

Wiedziała, co powie, ale mimo to wciąż liczyła, że opóźnienie da się wyjaśnić czyjąś pomyłką. Nie dopuszczała możliwości, by ktoś próbował jej zaszkodzić, nim jeszcze zaczęło się przesłuchanie. Tym bardziej, że papiery nadeszły z biura jej dobrego kolegi - doświadczonego senatora z Illinois, sprawującego urząd już czwartą kadencję; człowieka, któremu zawdzięczała, że w ogóle znalazła się w składzie komisji. Jednak czy powinna być zaskoczona? Niejedno już widziała, a Senat był przecież męskim klubem. Ostrzegano ją już wcześniej, że nie może liczyć na taryfę ulgową. Wiedziała, że podczas posiedzeń komisji ekipy telewizyjne będą się nią szczególnie interesować, ponieważ była jedyną kobietą w męskim gronie. Zasypanie jej dokumentami miało przypomnieć jej o miejscu, jakie zajmowała w szeregu.

- Podobno Departament Obrony właśnie odtajnił te akta - poinformował Carter, wskazując pudła. Papiery piętrzące się teraz na jej biurku nadesłano wczoraj rano.

Przez chwilę poszukała w oczach szefa sztabu podpowiedzi, czy w ogóle wierzy w to wyjaśnienie. Żalosalne, że z dnia na dzień zaczęła zasięgać w zasadniczych sprawach rady tego młodego człowieka. Był zwyczajnym dwudziestoosmioletnim urzędniczyną z dobrą prasą. I nagle z dnia na dzień stał się dla niej wyrocznią, która miała podpowiadać jej, czy coś jest prawdą, czy zwykłym kłamstwem. Oto co się dzieje z kobietą, która odkrywa, że były mąż przez większą część trzynastu lat małżeństwa kłamał jej prosto w twarz - w rezultacie człowiek nie wie już, komu może zaufać.

- Przejrzałem kilka teczek - ciągnął Carter. - W wielu miejscach tekst kserówek jest zacerniony. Niektóre strony w całości nieczytelne.

- O czym to świadczy?

- Że gdyby wpadły w nasze ręce nie dzisiaj, ale powiedzmy, dwa miesiące temu, i tak niewiele byśmy się z nich dowiedzieli.

Etykiety nalepione na kartony informowały, że dokumenty dotyczyły okresu między 1951 a 1975 rokiem. Niesamowite, ile pracy wymagało gromadzenie dokumentacji przed nastaniem epoki komputerowej. Setki tysięcy dokumentów, układanych kartka za kartką. Jeśli ktoś chciał dostać się do konkretnych akt, stawał przed nie lada zadaniem - musiał przekopać się przez góry papierów, przechowywanych w tych kartonach. Przejrzenie takiego archiwum pochłonęłoby miesiące, a co dopiero dokładne zapoznanie się z nimi.

Zresztą jaki sens miałyby ta praca? Śledztwo dotyczyło wszak Departamentu Obrony, a to właśnie ta agencja określała, czy dane materiały nie były przypadkiem zbyt poufne, by je odtajniać. Z drugiej strony agencja, zasypując biuro senator teczkami, mogła liczyć właśnie na taką reakcję. Przez chwilę Ellie zastanawiała się, czy to możliwe, by Departament Obrony w ten sposób próbował ich zniechęcić do dalszego śledztwa. Mieliby spojrzeć na ten ocean zaczernionego druku i wyciągnąć narzucający się wniosek, że poufne informacje na pewno nadal takimi pozostają i że w związku z tym nie ma sensu się nad nimi pochylać.

W pewnym momencie ciszę w gabinecie przerwała melodyjka komórki Cartera. Mężczyzna wyciągnął ją z kieszeni i spojrzał na ekran.

- Dzwonią z biura senatora Quincy'ego - poinformował Ellie i nie czekając na pozwolenie, odebrał telefon. - Mówi Carter.

Śluchając, szef sztabu co jakiś czas potakiwał, jakby osoba po drugiej stronie mogła go widzieć. Obserwując go, Ellie nagle pomyślała, że ten dzieciak w krótkim czasie stał się wytrawnym graczem. Zachowywał pokerową twarz, spoglądał prosto przed siebie, jego mina nie wyrażała żadnych emocji, a swobodna postawa, jaką instynktownie przyjął podczas rozmowy, świadczyła o spokoju. Stał się tak dobry w maskowaniu prawdziwych emocji i intencji, że teraz nawet ona nie umiała go przejrzeć. Kiedy go zatrudniła, był z niego uroczy, niewinny chłopak, entuzjastyczny i gotowy wielbić szefową.

- Senator Quincy zwołuje spotkanie w trybie nadzwyczajnym. - Głos Cartera gwałtownie przerwał te rozmyślenia.

- W sprawie tych dokumentów?

- Nie, powód jest inny. Doktor Hess nie będzie mógł jutro zeznawać przed komisją.

- Co takiego?

Pułkownik Abraham Hess był jednym z powołanych przez nią świadków. Ten wybitny biolog i lekarz w ciągu trwającej pięćdziesiąt pięć lat pracy dla armii zdobył nieposzlakowaną opinię. Przyjaźnił się z ojcem Ellie i bywał częstym gościem w ich domu jeszcze w czasach jej dzieciństwa.

- W Karolinie Północnej nastąpiło obsunięcie terenu - poinformował Carter.

- Przecież Hess nie ma tam żadnej rodziny.

Carter wzruszył ramionami, sięgnął po swą aktówkę i czekał, aż dołączy do niego szefowa.

- Chodzi o jakąś placówkę badawczą - powiedział.

Senator Ellie Delanor nie słyszała już jednak jego wyjaśnień. Docierało do niej tylko tyle, że jej najważniejszy świadek wystawił ją do wiatru oraz że nie może do tego dopuścić. Chwyciła skoroszyt, długopis i skórzaną teczkę. Wieloletnie doświadczenie na eksponowanym stanowisku sprawiało, że nawet w takich chwilach udawało jej się sprawiać wrażenie, iż panuje nad sytuacją. Wychodząc z gabinetu, przystanąła i odwróciła się do Cartera. Wyciągnęła ze skoroszytu kartkę i zapisała na niej szybko parę nazwisk oraz numerów telefonów, po czym wręczyła ją pracownikowi.

- Zanim przyjdiesz na spotkanie, zadzwoń w moim imieniu w parę miejsc. Do popołudnia pułkownik Hess ma otrzymać wezwanie do stawiennictwa pod groźbą kary.

- Wezwanie? - W ustach Cartera zabrzmiało to tak, jakby nigdy wcześniej nie zetknął się z tym słowem.

- Owszem, Carter. Rozpoczyna się przesłuchanie przed Kongresem. Mam prawo wystosować takie pismo do świadka. Potrzebuję go i jutro ma się tu zjawić.

Nie czekała na dalsze pytania szefa sztabu. Tak naprawdę wcale nie wiedziała, czy w ogóle może wzywać świadka w takim trybie. Nie znosiła jednak sytuacji, gdy oszukiwali ją ludzie, na których liczyła; sytuacji, gdy zarzucano ją kartonami dokumentów, z którymi miała zapoznać się w niespełna dobie; sytuacji, gdy traktowano ją jak panienkę, która powinna siedzieć w kącie i pachnieć. Jeśli pułkownik Hess wyobrażał sobie, że

wykorzysta znajomość z jej rodziną, by jej dowalić, srogo się przeliczy. Okres, w którym senator Ellie Delanor pozwalała się robić w konia, należy już do przeszłości.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Pustkowie. Tylko takie słowo przychodziło do głowy Creedowi, gdy przeczesywał spojrzeniem okolicę. Łagodny stok wzgórza, przez które przeszło osuwisko, niegdyś porastał las. Teraz jedynym śladem wskazującym, że kiedyś rosły tam jakieś drzewa, były sterzące w niebo poskręcane korzenie.

Creed stawiał ostrożnie kroki i namawiał Bola, by postępował tak samo jak pan. Najtrudniejszą częścią treningu psów mających pracować na obszarze dotkniętym klęską żywiołową było przekonanie ich, by działały wbrew temu, co podpowiada im instynkt. Żadnego biegania. Żadnych skoków. Uderzenie łap opadających po skoku mogłoby poruszyć rumowisko i sprawić, że ziemia rozstąpi się pod psem. Na szczęście na terenie nie było większych zbiorników wód powodziowych, jednak Creed spodziewał się, że prędzej czy później natrafią na wodę. Wiedział, że będzie musiał wtedy trzymać blisko przy nodze uwielbiającego pluskanie się czworonoga.

Podejrzewał, że błoto będzie lepiło się do butów i utrudniało chodzenie. Już po chwili podeszwy miał oblepione i ciężkie od nasiąkniętej ziemi, a antypoślizgowe rowki momentalnie przestały spełniać jakąkolwiek funkcję. Ślizgał się co krok i z największym trudem zachowywał równowagę. Ziemia była nasiąknięta wodą, śliska niczym lodowisko. A co gorsza, zbocze pokrywały teraz odarte z kory śliskie pnie powalonych drzew. Leżały pokotem jedno przy drugim, ciągnąc się po horyzont.

W pierwszej chwili pomyślał, że patrzy na rozwleczoną po stoku zawartość magazynu firmy zajmującej się wycinką drzew. Dopiero gdy podszedł bliżej, zrozumiał, że ma przed sobą nie kłody przeznaczone do wywózki, lecz całe powalone drzewa. Siła przesuających się mas ziemnych odarła je z gałęzi i kory. A zatem to tutaj podział się las, który porastał zbocze góry.

W pewnym momencie Bolo chyba coś znalazł - przystanął sześć metrów przed Creedem, pochylił pysk do ziemi i drapał. Następnie, z wyprostowanym ogonem, zaczął okręzać to miejsce. Jego oddech stał się przyspieszony, nerwowo poruszał nosem, a spojrzenie utkwiał w jakimś punkcie przed sobą. Creed obserwował, jak psi ogon stopniowo odwinął się do góry. Bolo zerknął na pana, szukając jego spojrzenia. Gdy zorientował się,

że Creed również na niego patrzy, poskrobał pazurami w ziemię, po czym usiadł w tym miejscu.

W taki właśnie sposób duże psy dawały znać przewodnikom, że coś znalazły. Ale czy to możliwe, żeby Bolo odszukał kogoś tak szybko? Na obszarze rumowiska musiało roić się od przeróżnych zapachów.

Creed ruszył do psa, uważając, by się nie poślizgnąć. Nim zdążył podejść, zaniepokojony zwierzak wstał i odwrócił się w stronę pana. Następnie znowu skrobął parę razy, co miało znaczyć: „To tutaj. Czemu się tak wleciesz?”.

Bolo po chwili znowu usiadł, lecz tym razem wpatrzył się wyczekująco w kieszeń sztormiaka swego pana. Zapamiętał, że to właśnie tam zniknęła pleciana kość. Creed nie mógł jednak nagrodzić go za coś, co mogło okazać się fałszywym alarmem.

W miejscu, gdzie siedział Bolo, nie było żadnych pni. Prześwit w drewnianym śliskim poszyciu liczył ze trzy metry szerokości i wypełniało go coś, co przypominało zagrzebaną częściowo w ziemi blachę. Mogła stanowić część budynku, może dachu. Creed założył rękawice i zbliżył jedną dłoń do metalowej powierzchni. Odgarnął z niej warstwę błota i szukał miejsca łączeń albo ostrego brzegu. W niektórych miejscach metal ginął pod grubą na niemal trzydzieści centymetrów warstwą ziemi. Przywalony był też bryłami potrzaskanego asfaltu. Wtem dotarło do niego, na co patrzy. Z wrażenia odskoczył.

Było to podwozie jakiegoś samochodu.

Z początku nie domyślił się, co znalazł, ponieważ lawina wyrwała z podwozia koła. W powietrzu unosił się zapach gazu, jednak był ledwie wyczuwalny. Linie pęknięć na płycie podwozia kazały podejrzewać, że zbiornik z paliwem został uszkodzony i gdy pojazd zsuwał się w dół zbocza, zawartość rozlała się i wsiąkła w ziemię.

- Mamy tu wywrócony do góry kołami samochód - zawołał do Vance'a i jego ludzi, którzy zgodnie z życzeniem Creeda posuwali się daleko za nim, pozwalając psu i jego przewodnikowi postępować przodem.

- Cholera, jak mogliśmy to przegapić! - odparł Vance.

- Sam bym też go nie zauważył, gdyby nie Bolo.

Vance wodził wzrokiem od samochodu do psa, jakby dopiero docierało do niego, co to odkrycie może oznaczać. Przecież pies mógł wyczuć jakies ofiary.

- Szybciej, sprowadźcie tu koparkę. Znaleźliśmy zagrzebane w ziemi auto
- krzyknął do swoich ludzi, a następnie niemal szeptem zwrócił się do Creeda: - Czyli pies wskazuje, że ktoś tam jest uwięziony na dole?

- Wspominałem już, że zapach rozniósł się po całym torze, którym zesła lawina. Nie mogę nic obiecać - wyjaśnił, a następnie spojrzął na Bola, który siedział spokojnie i oczekiwał na należną nagrodę, i dodał: - Ale pies sprawia wrażenie przekonanego, że kogoś znalazł.

- Kogoś żywego? - upewnił się Vance.

- Bolo jest psem wielozadaniowym.

Vance wpatrzył się ze zdumieniem w Creeda.

- To znaczy co? Myślałem, że przyprowadziłeś ze sobą psa ratownika.

- Owszem. Bolo umie wyszukiwać ludzi po zapachu, jednak oznacza to, że wychwytuje również woń rozkładającego się ciała.

Vance nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Creed przypatrywał mu się cierpliwie, oczekując, aż rozmówca zrozumie sens jego słów.

- Cholera, tego właśnie się obawiałem - odezwał się w końcu Vance.

Wtem Bolo stanął, poruszył gwałtownie uszami i skierował je w przód. Zbliżył nos do ziemi i pochylił łeb, jednak nie węszył - nasłuchiwał.

Vance próbował powiedzieć coś jeszcze, ale Creed uciszył go gestem. Próbował też nasłuchiwać.

Nic. Nic nie słyszał.

Obserwował bacznie zwierzaka, a Vance w tym czasie machnięciami ramion nakazał swej ekipie, by trzymała się z dala. Bolo nie próbował już drapać ziemi, by odszukać zapach. Zamiast tego przechylał łeb to w jedną stronę, to w drugą, próbując wychwycić dźwięki, które tylko psi słuch mógł zarejestrować.

Czyżby nadciągał kolejny wstrząs? Niektóre psy umiały wyczuć zbliżające się obsunięcia terenu. Creed rozejrzał się wkoło, poruszając tylko głową, a obiema stopami wbijając się w ziemię dla zachowania równowagi. Przyjrzał się ścianie błota wznoszącej się teraz za ich plecami.

- Myślisz, że... - odezwał się Vance.

Creed uciszył go znowu, unosząc palec do ust. Vance rozejrzał się nerwowo, ale posłuchał przewodnika i nie poruszył się ani na krok.

I właśnie wtedy Creed usłyszał stłumione warknięcie.

Zerknął na ratownika i przekonał się, że Vance też je usłyszał.

- Może wyczuł innego psa? - domyślił się Vance, jednak Creed potrząsnął głową.

- Nauczony jest nie zwracać uwagi na inne zwierzęta.

Vance zmarszczył krzaczaste brwi, w końcu jednak chyba zrozumiał, co to oznacza, bo zawołał do swoich ludzi:

- Macie ściągnąć mi tu ciężki sprzęt. Ale już!

10.

Zawsze starał się trzymać tej procedury – gdy psy wskazały dane miejsce, natychmiast odciągał je na bok i do akcji wkraczali specjaliści, którzy mieli zająć się resztą. Mógł to być zespół specjalistów medycyny sądowej lub jak w tym przypadku, grupa ratowników. Creed zawsze szanował granicę, za którą kończył się zakres jego obowiązków, a zaczynała praca innych. Jego psy również musiały przestrzegać tych zasad.

Creed odprowadził Bola na bok, po czym rzucił mu plecioną kość. Rzucił ją przy tym w taki sposób, by poleciała niezbyt wysoko i pies mógł ją pochwycić bez skakania. W momencie gdy szczęki psiaka zacisnęły się na sznurkowej kości, z pyska oderwały się niteczki śliny. Ślinienie się było efektem napięcia związanego z oczekiwaniem.

Creed niechętnie odwlekał moment, gdy nagradzał zwierzę za sprawnie wykonane zadanie. Z drugiej strony zawsze istniało ryzyko fałszywego alarmu, za który pies nie powinien być nagradzany. Jednak Bolo zasłużył sobie na nagrodę – wskazał miejsce, gdzie znajdowali się ludzie. Niezależnie od tego, czy byli żywi, czy też martwi, zdołał zaprowadzić do nich ratowników. Mimo że odnalezieni znajdowali się pod setkami kilogramów pogiętego metalu i błota. Creed pozwolił mu przez chwilę hasać z kością w pysku, po czym wrócili na szlak poszukiwań.

Zostawił z tyłu ratowników i poprowadził psa do miejsca na dużej stromiznie, gdzie teren wydawał się w miarę stabilny. Kiedy znalazł się bliżej zbocza, uderzyła go woń wilgotnej ziemi. W rumowisku pod stopami dojrzał mieszaninę rozłupanych cegieł i odłamków potrzaskanych gałęzi. W szarym błocie gdzieś tam błyskiwały odłamki stłuczonego szkła. Ten widok go zaniepokoił – Bolo mógł sobie rozciąć na nich łapę.

Vance sprowadził na miejsce mniejszą koparkę, większa pozostała na dole. Creed słyszał, jak Vance nakazuje swym ludziom ostrożność, a sam daje rękami znaki operatorowi koparki. Domyślał się, że użyją maszyny z długim ramieniem, aby zrobić wykopy wokół samochodu lub zahaczyć go i podźwignąć. Obie te metody miały jednak pewien mankament – mogły poruszyć ziemię i spowodować następne osunięcie.

Creed uniósł dłoń i zawołał Bola, a wtedy pies bez chwili wahania wypuścił z pyska zabawkę. Wystarczyło, by przewodnik schował ją na powrót

do kieszeni, a pies momentalnie przystąpił do węszenia. Zanim Creed zdążył go powstrzymać, ruszył wzdłuż ściany osuwiska. Nos zadarł do góry, strzygł wąsikami, a ogon miał wyprostowany. Wyglądało na to, że faktycznie na całym terenie nadal roiło się od zapachów, które napłynęły tu wraz ze zsuwającymi się na dół masami rumoszu i ziemi. Creed pomyślał, że będzie musiał przywołać psa do nogi i podjąć poszukiwania za jakiś czas. I w tej samej chwili usłyszał trzask.

W pierwszej chwili przez głowę przeleciała mu myśl, że to pewnie odbity echem dźwięk, który wydała łyżka koparki, gdy natrafiła na metal. Momentalnie jednak zreflektował się, że przecież hałas dobiegł z góry zbocza.

- Bolo, biegiem! - zawołał na cały głos, jednak pies zwietrzył już niebezpieczeństwo.

Nadal nie ruszał się z miejsca i węszył zapamiętale. Instynkt sprawił, że puścił mimo uszu komendę, której niemal nie znał.

Stopy Creeda ślizgały się, mijaly drogocenne sekundy. Nie chciał dopuścić, by gwałtownymi ruchami przyspieszyć nieuchronne. Pies znalazł się w niebezpieczeństwie i teraz przede wszystkim myślał o nim. Ostrożność na niewiele się zdała. Z góry zaczęła się sypać ziemia. Creed wyszarpnął z kieszeni sznurkową kość - w takiej chwili musiał odwołać się do najbardziej podstawowych instynktów Bola.

Zareagował! Dzięki Bogu!

Pies wlepił wzrok w zabawkę, a wtedy Creed rzucił ją z całej siły w bok. Skierował zwierzę w miejsce, którego lawina nie powinna osiągnąć. Siła, jaką włożył w rzut, sprawiła, że zachwiał się i omal nie upadł. Odzyskał równowagę i starał się znaleźć pewniejsze oparcie dla stóp, gdy nagle z góry dobiegło narastające dudnienie. Wyczuł, jak wibruje ziemia. Kątem oka dostrzegł, że kamienna płyta, którą miał za plecami, zaczyna się kruszyć. Wkoło posypały się odłamki, zasypując go ulewą drobnego gruzu. Bieg nie wchodził w grę. Teraz mógłby - a wręcz powinien - się ruszyć, jednak jego buty zamieniły się w łyżwy. Zaczął zsuwać się po zboczu, ale raz po raz buty wpadały na głazy, doprowadzając go niemal do upadku.

Nagle poczuł, że leci na plecy. Na kask posypała się lawina drobnych odłamków. Nie miał czego się chwycić. Podczas wojny w Zatoce Perskiej dał się poznać jako świetny pływak. Umiał wyczuć moment, gdy fale się

przełamują, by zaczerpnąć powietrza. Umiał też trzymać je w płucach naprawdę długo, nie wynurzając się na powierzchnię. Jednak tutaj nie było chwili, gdy można by się wynurzyć. Pod sobą miał rwący strumień, tyle że nie wody. Rwały nurt gęstego mułu porwał go i po chwili mknął w dół z taką szybkością, że z najwyższym trudem mógł ubezpieczać się rękami i nogami.

Wtulił głowę w ramiona i zwinął się cały w kulę. Brodę przycisnął do piersi. Zadarł kolana. Ramiona skrzyżował z przodu, a dłonie zacisnął w pięści. Nos schował w zagłębienie tworzone przez ugięte ramiona.

Runął w dół, koziołkując i nabierając prędkości. Siła przyciągania sprawiła, że niczym nie różnił się teraz od pędzącego rumowiska, stał się jego częścią. Czuł, jak bokiem ciała wpada na połamane gałęzie. O kask tłukły jakieś głązy. Jakieś ostre przedmioty darıy na strzępy jego ubranie i raniły skórę.

Miał wrażenie, jakby dostał się we władanie olbrzymiej siły, która pcha go w dół, a równocześnie przez cały czas próbuje urwać mu członki. Creed starał się zachować pozycję embrionalną. Nie wiedział już, gdzie jest góra, a gdzie dół. Znikło gdzieś niebo, przysłonięte przez grubą warstwę wszechobecną szarości, która wchłaniała w siebie całe światło. Czekał, aż lawina zwolni bieg, aż się zatrzyma. Czekał, aż spadnie na samo dno.

I wreszcie, po nieskończenie długim czasie, faktycznie ziemia znieruchomiła. A on wraz z nią.

Zapanowała cisza. Świat zatrzymał się gwałtownie, powstrzymując też ruch Creeda. Wszystkie dźwięki stały się nagle dziwnie przyciszone, przytłumione, dalekie. Pozostał tylko jeden, wyraźny – łomotanie jego serca.

Kiedy uchylił powieki, ujrzał wyłącznie ciemność i gdzieś tam jakieś szare cienie. Z trudem rozprostował palce i otarł twarz ze szlamu. Zamrugał. Próbował skupić na czymś wzrok, ale nadal widział tylko ciemność przetykaną szarością. Pomyślał, że powinien poczekać, aż oczy przystosują się do mroku, jak człowiek, który wszedł nagle do nieoświetlonego pokoju. Powiedział sobie, że musi być cierpliwy.

Płuca pełne miał zapachu wilgotnej ziemi. Kiedy spróbował zaczerpnąć powietrza, poczuł ostry ból w piersi i od tej chwili każdy oddech brał ostrożnie. Oddychał płytko, a powietrze, które trafiało do jego płuc, było duszne i parne od wilgoci. W ustach wyczuwał mokrą ziemię, piasek i żwir. Czuł je pod językiem, między zębami i pod policzkiem. W pierwszej chwili chciał to wypluć, ale się powstrzymał. Zamiast tego wsunął w usta palec i starał się je oczyścić. Następnie spróbował uwolnić jedno ramię – szarpnął nim i wykręcił nadgarstek, próbując nieco poluzować uścisk, w jakim się znalazł.

Coś przygniotło mu nogi, ręce były przyciśnięte do piersi. Spróbował zaprzeć się łokciami i wydźwignąć z potrzasku. Usłyszał chrzęst dobiegający z plecaka, który nadal tkwił na plecach i nie zamierzał puścić. Wszystkie jego wysiłki doprowadzały tylko do tego, że zawartość plecaka kruszyła się pod napierającym błotem. A przy okazji przy każdym ruchu wypychał z jamy życiodajne powietrze. Czuł, jak ze wszystkich stron napiera na niego ciężar ziemi.

Czyżby błoto zaczynało już twardnieć? Ile zostało mu minut? Za ile sekund otaczająca go błotna skorupa stanie się twarda niczym beton?

Oczy powinny już przywyknąć do ciemności, jednak nadal nie widział nic poza czernią i wąskimi plamami szarości. Wiedział, że nie może poddać się panice. Musiał odnaleźć sposób, by się stąd wydostać.

Oddychał miarowo. Zdenerwowanie przyspieszało oddech, dlatego musiał zachować spokój. Wiedział, że niedaleko twarzy znajdują się jego dłonie, bo gdy poruszył palcami, przed oczami zatańczyły mu ich cienie. Jeszcze raz

starł z twarzy ziemię i muł, po czym spróbował wydrapać jamkę na wysokości twarzy, w której mogłoby się zbierać powietrze. Jednak przy każdym ruchu na nowo osypywała się ziemia.

W końcu dał spokój, znieruchomiał.

Po chwili zaczął kopać znowu i obserwował osypującą się ziemię. Opadając, odsuwała się od niego. Musiał się upewnić, dlatego odgarnął jeszcze parę garści. To samo: oderwana ziemia nie opadła mu na twarz.

Grawitacja nigdy nie kłamie.

Ta myśl sprawiła, że jego serce puściło się w oszalały galop. Ogarnęła go panika, a żołądek podszedł do gardła. Został pogrzebany żywcem, a do tego leżał twarzą w dół. Oznaczało to, że szanse na odkopanie się były niewielkie. Mógł założyć, że wszelkie próby są z góry skazane na porażkę.

Uderzył tyłem kasku w przeszkodę, która napierała z taką siłą, że w każdej chwili groziła strzaskaniem go. Na szyję posypały mu się drobiny ziemi. Potrząsnął głową jeszcze parę razy. Przestrzeń, którą w ten sposób tworzył, momentalnie była zasypywana ziemią lecącą z góry. Pochylił się i wygiął grzbiet, a po chwili z przerażeniem wyczuł, jak bardzo stwardniała już skorupa pokrywającej go ziemi. Znalazł się w błotnej trumnie, która zasychała i twardniała z każdą sekundą.

Udało mu się w końcu uwolnić obie dłonie. Znajdowały się pod ciałem, w jamie, której ziemia nie zdołała natychmiast wypełnić. Nie dał jednak rady wywalczyć dla siebie więcej powietrza, zyskał tylko kilkanaście centymetrów wolnej przestrzeni.

Uciekały sekundy. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd się tu znalazł. Wiedział jednak doskonale, że nie zostało mu wiele tlenu. Wyczuwał, że zaczyna go brakować - powietrze stawało się gorące i dławilo, jakby leżał przykryty wilgotnym wełnianym kocem. Ponieważ wydechane powietrze nie miało gdzie się ulotnić, zatruchiwał stopniowo dwutlenkiem węgla resztę dostępnego tlenu. Mieszanka ta wkrótce doprowadzi do pierwszych zaburzeń.

Myśl ta sprawiła, że jego palce niemal samoczynnie zatopiły się w ziemi i zaczęły kopać. Poszukiwały jakiejś jamy, gdzie mogło uchować się trochę czystego powietrza. Przecież między warstwami rumowiska musiało zostać uwięzione mnóstwo tlenu. Spróbował jeszcze raz obrócić całe ciało, jednak natychmiast poczuł, jak przytrzymuje go plecak. Energicznie odchyłał głowę to w jedną, to w drugą stronę, odgarniając kaskiem ziemię i robiąc sobie nieco więcej miejsca.

Nagle coś kazało mu znieruchomieć.

Gdzieś z góry dobiegł jakiś chrzęst. I ziajanie. Tak, wyraźnie słyszał ziajanie psa.

Bolo! Czyżby zdołał umknąć przed lawiną?

Creed wytężył słuch, pochylił głowę i właśnie w tej chwili poczuł jakieś krople na dłoni. To nie pies ziajał - to on sam tak dyszał.

Z ust na dłoń ciekła mu ślina.

Jak to możliwe, skoro gardło miał wyschnięte na pieprz? Każde

przełknięcie śliny wiązało się ze sporym wysiłkiem. Oddychał już ciężko, starając się na próżno pobrać z powietrza wystarczające porcje tlenu. Mimo to wciąż odnosił wrażenie, że brakuje mu tchu. Spróbował siłą woli powstrzymać się przed dyszeniem. Brał za szybkie i zbyt głębokie oddechy. Przy tym tempie oddychania, nim się spostrzeże, po szczupłym zapasie tlenu nie będzie ani śladu.

Znów poczuł, jak za gardło chwyta go przerażenie. Kilkakrotnie udawało mu się stłumić atak paniki, jednak niedługo przestanie się kontrolować. Wiedział o tym, dlatego musiał działać szybko.

Leżał wyprostowany, dłońmi opierając się w niszy, którą pod sobą wygrzebał. W pewnym momencie napał ramionami z całej siły i nie przestawał aż do chwili, gdy ból w nadgarstkach i łokciach stał się nie do zniesienia. Napierał jednak dalej, ignorując ból pleców i mięśni karku. Miał wrażenie, że zaraz eksplodują, a klucie w piersi rozsądzi ją od środka. Z trudem łapał oddech, palcami wpijał się w ziemię i wyrwał ją garściami, po czym zaraz słyszał, jak osypuje się z powrotem. Racjonalność i zdolność do planowania poddały się pod naporem pierwotnego instynktu.

W końcu znieruchomiał, jednak nie dlatego, że mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Z góry dobiegł go jakiś dźwięk, coś jak odległe buczenie. Z każdą chwilą stawało się coraz wyraźniejsze. Nie cichło ani na sekundę, a w uszach Creeda brzmiało niczym kojąca kołysanka.

Nagle poczuł zawroty głowy i ogarnął go niezwykły spokój, który nadszedł po olbrzymim wysiłku, na jaki się zdobył. Miał wrażenie, jakby stopniowo zanurzał się w wodzie, a ciało przestawało cokolwiek ważyć. Poddał się jej nurtowi, zamknął oczy i już niebawem swobodnie unosił się na powierzchni wody.

Waszyngton

Ellie bez słowa tkwiła na fotelu przy krańcu długiego stołu konferencyjnego. Przed chwilą wysłuchiwała, co ma do powiedzenia senator John Quincy na temat dokumentów przesłanych przez Departament Obrony. Gdy szła na to spotkanie, była jeszcze pełna werwy. Kiedy jednak przekroczyła próg sali, uleciał z niej cały animusz. Senator Quincy dosyć łatwo sprowadził ją na ziemię - na oczach zgromadzonych wskazał jej miejsce po stronie stołu, którą sam zajmował, tyle że przy jego końcu. Zabolało ją to do tego stopnia, że praktycznie nie docierało do niej, co stało się potem. Senator pochwalił ją, mówiąc, że doprawdy pięknie dzisiaj wygląda, ale niewiele z tego zapamiętała.

Następnie Quincy przypomniał zebrany, że przesłuchanie przed Kongresem, w którym brali udział, nie było pierwszym poświęconym tej sprawie. Przedstawiono już Kongresowi szczegóły dotyczące owych dwóch tajnych projektów rządowych realizowanych w latach sześćdziesiątych oraz siedemdziesiątych. W ramach Projektu 112 oraz Projektu SHAD Departament Obrony przeprowadził szereg testów, których celem było - tu senator Quincy sięgnął do dokumentu - „określenie podatności żołnierzy amerykańskiej marynarki wojennej oraz piechoty na broń chemiczną oraz biologiczną, a także wypracowanie sposobów reagowania na takie ataki przy jednoczesnym zachowaniu zdolności bojowej”.

- Departament Obrony - ciągnął Quincy - twierdzi, że próbował dowiedzieć się, jak w różnych warunkach środowiskowych zadziała broń chemiczna i biologiczna, jak reagują na nią nasi żołnierze oraz ile czasu musi upłynąć, nim armia będzie mogła na takie zagrożenia odpowiedzieć. Wyglądało to tak, że w pewnych wyznaczonych miejscach na statkach i na lądzie rozpylano chemikalia, co miało zasymulować prawdziwy atak. Aż do dwa tysiące drugiego roku Departament Obrony zaprzeczał, jakoby kiedykolwiek podczas ćwiczeń użył prawdziwych substancji tego typu. Chodzi tu o naprawdę niebezpieczne substancje: gaz bojowy VX, sarin, bakterie E. coli, które zostały użyte na naszych żołnierzach bez ich wiedzy ani zgody.

Jasne, brzmiało to wszystko jak wymysł, tyle że Ellie wychowała się w domu wysoko postawionego wojskowego i nasłuchiwała się historii o tym,

jak to trzeba poświęcić życie garstki, by ocalić cały naród. Oczywiście żołnierze wyruszający na wojnę niekoniecznie spodziewali się, że będą poruszali się po polach najeżonych improwizowanymi minami. Nie myśleli też, że przyjdzie im się mierzyć z ogarniętymi szaleństwem talibami, którzy chcą ich porąbać maczetami na kawałki. Tak jednak w rzeczywistości wyglądała wojna. A żołnierze wojsk lądowych i marynarki, na których testowano śmiertelnie broń chemiczną i biologiczną, wzięli udział w badaniach mających pomóc w obronie wolnego świata przed fanatykami, którzy zdecydowaliby się jej użyć.

Ellie zdążyła już to sobie poukładać w głowie - w przeciwieństwie do tego, co starał się zasugerować senator Quincy, Projekt 112 oraz Projekt SHAD wcale nie stanowiły jakichś mrocznych kart w historii działalności amerykańskiego rządu. Równocześnie jednak była przekonana, że owym pokrzywdzonym weteranom, jeśli na skutek kontaktu z chemikaliami ponieśli uszczerbek na zdrowiu, należy się od władz jakieś odszkodowanie. Nie podobało jej się, że Departament Obrony wolał zamieścić całą sprawę pod dywan i ukryć swoje sprawy w zaczerpniętych fragmentach kserokopii sprzed pół wieku, niż zapewnić garstce tych biedaków godziwe renty. Żeby jednak do tego doszło, ludzie pokroju jej ojca lub pułkownika Hessa - mężczyźni okrzyknięci bohaterami - musieliby przyznać się do winy.

Ellie wiedziała, że nie ma żadnego wpływu na wynik tej debaty, dlatego zamiast tracić czas, postanowiła skupić się na tym, co zależało od niej. Co rusz spoglądała na drzwi w nadziei, że w końcu pojawi się w nich Carter i poinformuje ją, że udało się doręczyć Hessowi wezwanie do stawiennictwa przed komisją. W końcu nie od dzisiaj umiała wykorzystywać swą polityczną pozycję. Nauczyła się tego szybko po przybyciu do Waszyngtonu: albo wykorzystuje się władzę, którą się zdobyło, albo pada się łupem tych, którzy nie mieli skrupułów przed jej użyciem.

Liczyła, że Carter zjawi się w sali i przekaze dobre wieści, zanim Quincy wspomni, że Hess nie raczył stawić się przed komisją pierwszego dnia obrad. Na razie Ellie dopisywało szczęście, bo senator Quincy rozводził się nad wagą zadania, z jakim się mierzą, przy okazji zaznaczając, że wcześniejsze niepowodzenia Kongresu w rozwiązaniu tej sprawy czynią ją tym bardziej nagłą. Przedstawiony w 2008 roku projekt specjalnej ustawy przewidywał zasiłki zdrowotne dla weteranów służących w ramach Projektu

112 oraz Projektu SHAD, jednak przepadł w głosowaniu. Niektórzy spośród owych emerytowanych wojskowych nie poddali się, mimo że ich reprezentanci w Kongresie najwidoczniej przestali się przejmować ich losem. Weterani mieli nadzieję na przeforsowanie kolejnego projektu ustawy, w którym nareszcie znalazłby się zapis uwzględniający ich przypadek.

Ellie podejrzewała, że projekt ustawy z 2008 roku niewiele miał wspólnego z tak szczytnymi celami, o jakich wspominali weterani. Nie mogła mieć jednak pewności, bo nie zasiadała jeszcze wówczas w Senacie. Kiedy została senatorem, wciąż jeszcze była idealistką i walczyła o różne szlachetne cele. Dopiero z czasem nauczyła się dostrzegać, że wszelkie jej idealistyczne zabiegi spełzają na niczym, okazują się najwyżej zwykłymi politycznymi zagrywkami i służą potem jako karty przetargowe w politycznych przepychankach. Większe znaczenie miało to, co wiązało się z przeprowadzeniem danej ustawy przez Kongres niż jej faktyczna treść.

Zrozumiała też, że skuteczność w polityce wymaga ciągłego targowania się: „Poprę w głosowaniu twój projekt, jeśli ty poprzesz mój”. A w rezultacie gdzieś po drodze zatraciła pasję, z którą początkowo walczyła o bliskie jej sercu ideały. Nie wiedziała, w którym momencie bardziej zaczęło jej zależeć na własnym przetrwaniu w politycznej dżungli niż na zabieganiu o cele, jakie ją tam sprowadziły. Również teraz nie robiła przecież nic innego – wpatrywała się w drzwi w oczekiwaniu na asystenta, który miał ucieszyć ją wieściami ważnymi dla jej ambicjonalnej batalii.

Carter, wracaj, powtarzała w myślach. Widziała już próbki tego, do czego zdolny był ten chłopak. Skoro już stworzyła potwora, byłoby miło, gdyby przynajmniej działał na jej korzyść. Myślami wybiegła tak daleko, że w pierwszej chwili nie rozpoznała mężczyzny, który pojawił się w sali obrad. Był w podeszłym wieku, miał na sobie mundur marynarki wojennej, poruszał się, powłócząc nogami. U jego boku siedł młodszy, przystojny mężczyzna, również w mundurze marynarki.

Na ich widok senator Quincy przerwał przemowę i wstał, by powitać przybyłych.

- Pułkownikowi Hess, pułkownikowi Platt, dziękuję panom za przybycie.

Ellie poczuła nagle uderzenie gorąca. Stary mężczyzna, który pojawił się w sali, zupełnie nie przypominał wybitnego biologa, którego pamiętała. Choć przecie – zreflektowała się szybko – od chwili, gdy widziała go po raz

ostatni, minęło wiele lat, może nawet dekada.

Wstała, kiedy Quincy poprowadził pułkowników do wolnych krzeseł - dokładnie naprzeciw Ellie. Gdy wiekowy lekarz rozpoznał ją, jego oczy zaiskrzyły się radośnie. Ucieszyła się, że ją poznał. W końcu to właśnie Ellie zadzwoniła do pułkownika i poprosiła, by dołączył do grona ekspertów gotowych złożyć zeznania. Chciała też, by inni to zauważyli - może w końcu dotarłoby do nich, że ona również może pochwalić się pewnymi znajomościami. Miała dosyć roli młodszej senator z Florydy, którą obchodzi wyłącznie ratowanie własnej rozpadającej się kariery.

Gdy nastąpił moment oficjalnego powitania, pułkownik w pierwszej kolejności wyciągnął rękę właśnie do Ellie, mimo że kilka innych osób próbowało ją ubiec. Uścisk Hessa był mocny, choć nie umknęło jej uwagi, że pomógł sobie też drugą dłonią - najwyraźniej wszyscy mężczyźni uważali, że witając się z kobietą, muszą przykryć jej dłoń własnymi dwiema. Niemniej Ellie w tamtej chwili poczuła się w siódmym niebie.

- Maleńka Ellie Delanor, patrzcie tylko! - odezwał się pułkownik. - Twój ojciec byłby z ciebie niesamowicie dumny.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Było tak piekielnie gorąco, że nie dało się oddychać.

O dziesiątej rano temperatura przekraczała już 35 stopni Celsjusza. Tak właśnie wyglądał Afganistan.

Creed wiedział, że z każdą godziną będzie coraz gorzej. Ciężki mu już wający 35 kilogramów sprzęt, który targał na plecach. Nie mógł na razie o tym myśleć. To, jak fatalnie się czuł, nie miało żadnego znaczenia. Jego zadanie było jasne: musiał przetrzeć szlak na wrogim terytorium. Ludzi z oddziału piechoty morskiej, do którego został przydzielony, zupełnie nie interesowało, co się z nim stanie. Dla nich Creed i jego pies byli obcymi, którzy mają wykonać swoje zadanie, a potem zostaną przydzieleni do innej formacji.

Nagle zorientował się, że stracił z oczu Rufusa. Pies wiedział, że nie powinien się zbyt oddalać, jednak czasami miał zwariowane pomysły. Skończył już osiemnaście miesięcy, ale jeszcze nie wyżył się tego niezdarne kroku, po którym można rozpoznać szczeniaka labradora. Poza tym był jednak bez zarzutu, a wszystko w jego zachowaniu wskazywało na wielką siłę i zdyscyplinowanie. Po wyznaczeniu mu zadania natychmiast przystępował do pracy i wkładał całe serce w realizację celu.

Cel się nie zmieniał – zawsze chodziło o znalezienie zabawki.

Rufus angażował się bez reszty, do tego stopnia, że nie zwracał uwagi na to, jak się czuł. W tym skwarze, pomyślał Creed, może powinien przywołać psa i dać mu pić, zanim zacznie się odwadniać.

Nie widział, gdzie znajduje się zwierzę, ale wyczuwał jego obecność. Wyteżył wzrok i słuch, próbując wyłowić sygnały świadczące o nadciągającym niebezpieczeństwie. W przeciwieństwie do Rufusa nie umiał wyczuć na odległość azotanu amonu, wchodzącego w skład zakopanych improwizowanych ładunków wybuchowych. Za to był w stanie usłyszeć cichuteńki szum wiatru nad pobliskim polem kukurydzy lub dostrzec stożek nieubitej ziemi. Czasami mógł nawet dojrzeć wystający z takiej nierówności terenu drut.

Gdy było się w obozie, na dźwięk eksplozji można było najwyżej wzruszyć ramionami. Najczęściej pechowcem okazywała się po prostu gęś albo jakiś

nieostrożny wieśniak. Kiedy jednak samemu przestępowało się nad nią, nie wyglądało to tak zabawnie. Creed wiedział, że razem z psem stanowią łatwy cel.

Przewodnik myli się raz.

Afganistan był piekłem z jeszcze jednego powodu – nieprzyjacieli nie wahał się strzelać do psów. Ci dranie wiedzieli, że żołnierze przywiązują się do swoich czworonogów. Rozumieli, że zabicie psa stanowi cios nie tylko dla przewodnika, ale i dla całego oddziału.

Creed uważał, że zakrawało to na ironię, bo przecież w każdym oddziale traktowano ich jak przybłędów. Przewodnicy psów dołączali do jednostek piechoty morskiej tylko na krótko, po czym byli przetrzucani gdzie indziej. Rzadko mogli stać się częścią żywej rodziny, jaką tworzyli żołnierze danego oddziału. Creed przyzwyczał się już, że odnoszono się do niego nieco podejrzliwie. Każdy nowy oddział zastanawiał się, czy ten obcy facet z psem przeprowadzi ich bezpiecznie przez jakieś terytorium, czy może doprowadzi ich wszystkich do zguby.

Przy plutonie Logana Creed z Rufusem spędził już niemal miesiąc. Trwało to zdecydowanie za długo. W tym czasie widział rzeczy, których nie powinien oglądać. Logan doskonale o tym wiedział.

Creed zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy Logan postępuje dokładnie po jego śladach, tak jak go uczył. Miał wypatrywać śladów kremu do golenia, którym oznaczali bezpieczne miejsca. Nigdzie go jednak nie widział. Widok zasłaniała gigantyczna ściana błota.

Gdzie, do cholery, podział się Logan?

Creed przystanął i rozejrzał się wkoło.

Coś tu nie grało.

Ani żywej duszy w polu widzenia. Musiał odnaleźć Rufusa, i to jak najszybciej.

Przetarł oczy, a gdy je otworzył, ściana błota nagle się przybliżyła – dzieliło ją od jego twarzy teraz tylko kilkanaście centymetrów. Miał ubłocone palce. Słońce skryło się za chmurami, niebo pociemniało. Zamrugał szybko i jeszcze raz przetarł zażawione oczy. Oddychał z coraz większym trudem, bolało go w piersi. Całe ciało miał obolałe, nie mógł poruszać członkami.

Był pogrzebany.

Dziwne, ale ta myśl wcale nie wywołała u niego paniki. Ogarnął go spokój, chciał tylko zamknąć oczy. Przyzywał do siebie ten sen, pragnął znów znaleźć się na słońcu, nawet jeśli oznaczałoby to powrót do Afganistanu. Wolał już skwarne i pełne pyłu powietrze tego zapomnianego przez Boga kraju niż zapierającą dech duchotę, której teraz doświadczał.

Jego palce zamarły, ciało rozluźniło się, myśli poszybowały w dal. W kojące buczenie wdarły się nagle jakieś trzaski. Brzmiało to tak, jakby jego fale mózgowo odebrały nagle wyładowania elektryczne. Po chwili dobiegły go nieprzyjemne zgrzyty i chrzęsty. Tak bardzo chciało mu się spać. Rozległ się dźwięk drapania, który narastał z każdą chwilą.

Poczuł szturchnięcie w ramię. Kiedy myślał już, że mu się zdawało, coś uderzyło go jeszcze raz. A chwilę po tym poczuł też na skórze podmuch powietrza.

Świeże powietrze!

Dyszząc, nabierał całe jego hausty. Odchylił głowę i wykręcił szyję, by nakierować usta i nos w stronę, skąd dochodził życiodajny powiew. Jakiś przedmiot przebił się przez ziemię po raz trzeci, uderzając go w plecy.

Creed zmrużył oczy, starając się przeniknąć otaczającą go mgłę. W chwili, gdy zrozumiał, na co patrzy, wraz z nowym podmuchałem świeżego powietrza ogarnęło go przemożne uczucie ulgi. I właśnie wtedy kolejny raz poczuł na sobie dotknięcie przedniej łapy Bola.

Jak tylko wydostano go z jamy, ktoś podał mu maskę tlenową. Próbował zerwać ją z twarzy, najchętniej wdychałby i wachał cudownie świeże powietrze, a nie sterylny gaz zamknięty w puszcze. Gdy mu się udało uwolnić twarz, ratownik medyczny starał się założyć mu z powrotem maskę, ale Creed odepchnął jego rękę.

- Daj mu spokój - usłyszał nagle nad sobą czyjś głos.

Wziął jeszcze jeden haust powietrza, któremu towarzyszył przeszywający ból w piersi. Zrzucił z głowy kask i już w następnej chwili poczuł na mokrych od potu włosach chłodny powiew wiatru.

- Bolo - powiedział.

Z najwyższym trudem rozejrzał się wkoło. Czyjeś ręce próbowały przytrzymać go na miejscu, chwyciły go za ramiona, ale je również odtrącał.

- Dobra, niech zobaczy tego psa, skoro tak bardzo chce. Gdyby nie to zwierzę, nigdy byśmy go nie znaleźli.

Creed spojrział w górę, spodziewając się zobaczyć tego, kto wypowiedział te słowa, jednak świat nadal spowijała mgła. Miał wrażenie, że rozpoznaje głos, ale nie mógł przywołać w pamięci imienia tego człowieka. Wtem poczuł jeszcze jedno szturchnięcie w ramię, a w następnej chwili dotknięcie mokrego języka na policzku. Ignorując ból, Creed sięgnął, zarzucił ręce na psi kark i przyciągnął Bola do siebie. Pies, zaskoczony tym objawem czułości, zaczął lizać oblepioną błotem twarz pana.

Po chwili naprzeciw Creeda przykucnął jakiś mężczyzna i poczekał, aż ocalony zdoła skupić na nim wzrok.

- Wiesz, kim jestem?

Spod żółtego kasku wystawały krzaczaste brwi. Nad ustami widniały bujne siwe wąsiska.

Creed zamrugał szybko kilka razy, jedną ręką gładząc po głowie psa. Przesuwał palcami po uszach, potem dotykał jego szyi. Sierść była niemiłosiernie ubłocona, ale na szczęście nie wyczuwał pod nią żadnych ran ani zadrapań.

Na twarz kucającego mężczyzny zakradł się wyraz rozczarowania. Zaczął już szukać spojrzeniem medyka, gdy nagle Creed przemówił do niego:

- Jesteś Vance. - Jego spojrzenie momentalnie skierowało się z powrotem

na ocalonego. Po chwili Creed dodał: - Ale wolisz, jak nazywają cię Ollie.

- A to sukinsyn! - wykrztusił z siebie zaskoczony Vance, po czym zawołał przez ramię: - Chyba wszystko z nim w porządku!

Po chwili znów zwrócił się do Creeda:

- Zabierzemy cię teraz na pogotowie, żeby dokładnie cię zbadali. Pozwolono nam urządzić je w sali gimnastycznej miejscowego liceum. Lekarze podejrzewają, że masz złamanych kilka żeber. Zajmą się nimi, a potem znajdą ci jakieś wygodne łóżko polowe, żebyś mógł trochę odpocząć.

- A co będzie z Bolem?

- Pojedzie z tobą.

- Nic mu nie jest?

- Wydaje mi się, że wyszedł z tego bez szwanku. Nawiasem mówiąc, zachowywał się jak opętany. Szukaliśmy cię o wiele wyżej, tam gdzie załamał się nawis i ruszyła lawina. Pies przez cały czas pokazywał nam, że jesteś na dole. Kolego, przeleciałeś naprawdę spory kawał.

- A co z tym drugim psem? - spytał Creed, na co Vance wyraźnie spochmurniał.

- Był w samochodzie pogrzebanym pod błotem. - Po tych słowach zwiesił głowę i wpatrzył się w ziemię. Kiedy znów spojrział Creedowi w oczy, jego mroczne spojrzenie starczyło za wszelkie wyjaśnienia. - Kierowca i dwoje pasażerów nie przeżyli. Chyba zmarli od razu, więc przynajmniej nie cierpieli.

Vance wstał i gestem przywołał z powrotem medyków.

- A co z ich psem? - przypomniał Creed.

- Chyba się wylizę - odparł Vance.

- To pełna energii mała suczka - poinformował ratownik.

Nie podchodził do pacjenta, jakby z dystansu oceniał, czy niczym mu to nie grozi.

- Była wciśnięta między oparcie fotela a jednego z pasażerów - powiedział Vance. - Zapewne temu zawdzięcza, że obeszło się bez poważnych obrażeń.

- Nie próbowała nikogo ugryźć - dodał ratownik. - Jest już w karetce. Podaliśmy jej mocne leki przeciwbólowe i teraz śpi. Pojedziecie razem, jeśli ani pan, ani Bolo nie macie nic przeciwko.

- Nic a nic - odparł Creed.

Ratownik pomógł Creedowi wstać. Było to trudniejsze, niż się spodziewał.

Nie obeszło się bez pomocy Vance'a. Uginały się pod nim nogi, kolana odmawiały posłuszeństwa. Nagle zaczęło mu się kręcić w głowie, z coraz większym trudem łąpał oddech. Gdy tym razem podano mu maskę tlenową, Creed nie protestował.

- Lepiej pana posadzimy - odezwał się ratownik, pomagając mu usiąść na ziemi. Następnie zbliżył do ust mikrofon zainstalowany na ramieniu i polecił: - Przynieście nosze.

- Ollie, chyba coś znaleźliśmy! - krzyknął do Vance'a jeden z jego ludzi. Mówił podniesionym głosem, mimo że dzieliło ich niespełna sześć metrów. - Źle to wygląda.

Creed widział, jak wyciągają coś z błota. Postępowali ostrożnie, kopiąc wokół kształtu, który przykuł ich uwagę. Już po chwili stało się jasne, że znaleziono kolejne ciało. Creed zarejestrował ten moment, gdy ratownicy zrozumieli, że ofiara nie żyje - ich ruchy stały się mniej nerwowe.

- Chyba jest tu ich więcej - stwierdził któryś z mężczyzn, ale na nikim nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

Vance pomógł wydobyć ciało z jamy, a następnie odwrócił je na plecy.

- Cholera!

Creed wykręcił szyję, żeby coś dojrzeć, ale ciało zasłaniał ciasny krąg ludzi.

- O co chodzi? - spytał w końcu ratownika, gdy ten znów zjawił się u jego boku. - Nie żyją, prawda?

- O tak, tyle że nie zabiło ich obsunięcie terenu. Jeden z nich ma w czole dziurę po kuli.

Daniel Tate pchnął z całej siły i po chwili poczuł, jak ustępuje kolejny betonowy blok. Wreszcie na skórze wyczuł krople deszczu. Odchylił do tyłu głowę i otworzył szeroko usta. Dokuczało mu tak wielkie pragnienie, że teraz najchętniej krzyczałby ze szczęścia. Nie pozwolił sobie jednak na nic takiego. Nie miał pojęcia, jak blisko czaił się nieprzyjaciel.

Przez całą noc dobiegało go odległe dudnienie i przytłumione dźwięki wybuchów. Gruz pod jego stopami dygotał, a ściany drżały. Czasami obawiał się, że cały budynek zawali mu się na głowę.

Od ciągłego drapania i grzebania w murze palce miał obolałe i okrwawione. Zdołał wygrzebać całkiem spory otwór, jednak w każdej chwili ziemia mogła zasypać go na nowo. Teraz widział przynajmniej niebo. To nic, że było zachmurzone i ciemne. Nareszcie zobaczył, co jest wokół.

Sala operacyjna zawaliła się, ściany ustąpiły pod naporem konarów. Z izolacji sufitu sterczały poprzepalane przewody elektryczne. Drzwi, które zamknęła za sobą doktor Shaw, zostały wyrwane z zawiasów. Za nimi widniał ciemny korytarz. Posadzkę zaścielały odłamki tłuczonego szkła i potrzaskanego sprzętu medycznego.

Tate koncentrował się jednak na czymś innym - na otworze, który w końcu udało mu się wydłubać. Sprawiał wrażenie na tyle obszernego, by dało się przez niego przecisnąć. Mimo to Daniel wahał się teraz. Przykucnął w ciemnym kącie pomieszczenia, na kupie szczątków czegoś, co jeszcze niedawno było stołem operacyjnym. To pod nim się schronił, gdy wszystko poczęło się walić. Zapewne zawdzięczał mu życie.

Kucał tam i nasłuchiwał dźwięków dobiegających z otworu, który znajdował się tylko trzydzieści centymetrów nad jego głową. Wreszcie zebrał się na odwagę, podciągnął się i wyjrzał na zewnątrz. Spojrzeniem natychmiast omiótł korony pobliskich drzew. Nim rozpętało się to piekło - trzęsienie ziemi, wybuch, sam nie wiedział co - dojrzał na korytarzu pierzchające maleńkie zielone małpki. Wypatrywał ich teraz wśród gałęzi drzew. Pewnie były zupełnie nieszkodliwe, ale z drugiej strony co wiedział o małpach?

Wspiął się na wyszczerbiony i oblepiony błotem mur. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na swoje stopy - spuchły, a skórę pokrywały niewielkie

nacięcia. Musiał pokaleczyć się o odłamki szkła, których pełno leżało na podłodze. Ramiona również miał poranione, a rękawy koszuli były w strzępach. Kiedy przekopywał drogę na zewnątrz, interesowały go tylko dłonie, którymi pracował.

Świeże powietrze sprawiło, że zakręciło mu się w głowie. Z nosa zaczęła się sączyć krew. Starł ją ramieniem, na którym widniały już strupy zaschniętej krwi. Wtem usłyszał za sobą jakiś hałas. Odwrócił się tak gwałtownie, że poślizgnął się na błocie i w następnej chwili upadł na kolana. Siła upadku była tak wielka, że ból przeszył go aż do szczęki.

Wzrokiem przeczesywał okolicę w poszukiwaniu źródła hałasu. Tam! Niespełna pięć metrów od siebie dostrzegł kogoś kryjącego się w krzakach za drzewem. Tate znieruchomiał, następnie powoli położył się w błocie, kryjąc się wśród gruzu. Ani na sekundę nie oderwał wzroku od miejsca, gdzie jak sądził, dostrzegł czyjąś twarz.

A zatem wciąż tam byli i nadal na niego polowali. Przeczynał, że gdy wydostanie się na zewnątrz, wcale nie będzie bezpieczny. Poczuł teraz, jak serce puszcza się w szaleńczą galopadę. Jego łomot niemal całkowicie zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Leżał przy samej ziemi, gdy jego nos zaatakował obrzydliwy odór. Cuchnęło niczym ścieki w kanałach. Tłumiąc mdłości, odczołgał się po błocie. Przez cały czas musiał manewrować między sterczącymi z ziemi ostrymi krawędziami potrzaskanego metalu i kamienia. Ani na chwilę nie przestał spoglądać w stronę drzewa i krzewów, za którymi zniknęła tamta twarz.

W końcu odnalazł otwór, przez który wylazł na powierzchnię, i wślizgnął się z powrotem do środka. Znów znalazł się w przestrzeni, w której spędził ostatnie godziny, rozpaczliwie wydłubując dziurę w murze. Teraz jednak skupi się na czymś innym - musiał odszukać wodę, jakieś źródło światła oraz rzecz najważniejszą, czyli broń.

Waszyngton

Benjamin Platt wiedział, że nie ma sensu proponować pomocy mężczyźnie idącemu obok. Pułkownik Abraham Hess poruszał się powoli, a każdy krok sprawiał mu widoczną trudność. Obaj panowie widywali się regularnie, każdego tygodnia odbywali spotkania lub jadali razem lunch. Od niemal dwudziestu lat Hess był mentorem Platta. I najważniejszym człowiekiem w agencji DARPA, cenionym konsultantem w Głównym Instytucie Badań Chorób Zakaźnych Armii USA^[2]. Plattowi nigdy nie przyszło do głowy, by o mentorze myśleć jak o starym człowieku, jednak tego dnia w chodzie pułkownika dostrzegł coś, czego wcześniej nie widział – wielkie zmęczenie.

Wiedział, że Hess martwił się o los ośrodka DARPA w Karolinie Północnej, który mógł ucierpieć na skutek obsunięcia terenu. Wyczuwał jednak, że pułkownikowi doskwiera coś więcej niż zwykły niepokój. Zanim dotarli do gabinetu Hessa, uwagę Platta przykuł chrapliwy oddech mentora. Na czole i nad górną wargą starca zebrały się krople potu. Platt przypatrywał mu się uważnie, gdy zajęli miejsca w gabinecie. Nie dał po sobie poznać, że widział, jak mentor, opadając na fotel klubowy, uchwycił się oparcia, by odzyskać równowagę. Gabinet mieścił się w gigantycznym pokoju. Centrum pomieszczenia zajmowało wielkie biurko, a pod ścianami ustawiono sięgające sufitu regały. Pomyślano też o miejscu do siedzenia i zainstalowano niewielki aneks kuchenny w rogu pokoju.

- Może napijemy się kawy? - zaproponował Hess.

To oznaczało, że to Platt powinien zająć się zaparzeniem i podaniem. Nie miał nic przeciwko temu. Natychmiast poderwał się na nogi i ruszył w kierunku aneksu.

- Dobry pomysł. Zaparzę nam dzbanuszek.

- Mała Ellie Delanor, kto by pomyślał? - mówił tymczasem Hess, potrząsając z uśmiechem głową. - Wyrosła na piękną kobietę. W dzieciństwie był z niej straszny chudzielec. Ma oczy po ojcu. Jej widok przypomniał mi, jak bardzo mi go brakuje.

- Nigdy nie miałem zaszczytu poznać pułkownika Delanora.

- Był jednym z najwartościowszych ludzi, jakich znałem. Cieszy mnie, że jego córka walczy po naszej stronie.

Platt wiedział, co w ustach Hessa oznacza zwrot „walczy po naszej stronie”. Chodziło po prostu o urzędnika państwowego, który nie zamierzał wtrącać się w działalność agencji powołanej do przeprowadzania badań niezbędnych do zapewnienia bezpieczeństwa wojsku i amerykańskiemu społeczeństwu. Nie bardzo tylko rozumiał, co każe Hessowi wierzyć, że Ellie Delanor faktycznie gra w tej samej drużynie co oni. Kiedy wyszli z sali konferencyjnej, do Hessa podszedł młody mężczyzna i wręczył mu wezwanie do stawienia się podczas przesłuchań przed Kongresem. Platt rozpoznał w nim członka sztabu senator Delanor.

Platt nie skomentował tego jednak ani słowem. W milczeniu zdjął wieczko z wielkiej puszki kawy kupionej na przecenie i starannie odmierzył parę łyżeczek. Hess mógł sobie co prawda pozwolić na najlepsze odmiany świeżo palonej kawy, a mimo to przez wszystkie te lata pijał ten najtańszy gatunek. Dla Platta był to wyraźny znak, że człowiek, w którego umyśle zrodziły się nieprzeliczone odkrywcze pomysły, nadal wolał trzymać się w życiu osobistym sprawdzonych metod.

- Drogi Benjaminie, chciałbym prosić cię o wyświadczenie mi pewnej przysługi - odezwał się Hess.

Obaj siedzieli już przy stoliku, a przed chwilą Platt podał mu ceramiczną filiżankę, która momentalnie rozdzwoniła się, gdy wraz ze spodeczkiem znalazła się w poznaczonych wątrobowymi plamami dłoniach starca.

- Abe, tłumaczyłem ci już, że mogę zeznawać. Komisja powinna dowiedzieć się o wszystkich przełomowych projektach, w jakie zaangażowana jest obecnie agencja USAMRIID. Rezultaty tego przesłuchania mogą dotyczyć nas wszystkich.

- Doceniam to, ale teraz chciałbym cię prosić o coś innego. - Hess napił się kawy, równocześnie unosząc palec drugiej ręki w geście, który miał oznaczać: chwileczkę, już tłumaczę. - Niepokoi mnie los naszego ośrodka w Karolinie Północnej. Jeśli wszczęte zostanie śledztwo, zrobi się spory bałagan. Zwłaszcza teraz, gdy trwają przesłuchania przed Kongresem. Może znasz kogoś, na przykład z FBI, kto mógłby wybrać się tam w naszym imieniu. Kogoś dyskretnego. No wiesz, kogoś walczącego po naszej stronie.

A więc znowu to wyrażenie, tyle że tym razem Platt słuchał w wielkim napięciu.

- Jak bardzo ucierpiał ośrodek?

W odpowiedzi Hess wzruszył tylko ramionami, jakby nie było o czym mówić. Oczami jednak przez cały czas wodził po twarzy Platta, wyraźnie sondując reakcje kolegi.

- Jest za wcześnie, by oszacować straty. Nie udało mi się jeszcze skontaktować z doktor Shaw. Poprosiłem Petera Logana, by sprawdził, co się tam stało. Obiecał, że pośle na miejsce paru zaufanych ludzi. - Pułkownik zerknął na zegarek, po czym wyraźnie rozczarowany dodał: - Powinien już odezwać się i poinformować o postępach.

Platt znał Petera Logana. Był wojskowym, a nie naukowcem, i Platt nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Hess przygarbnał go pod swoje skrzydła. Mało tego, czynił go nawet zastępcą szefa agencji. Ale przecież tak właśnie postępował wobec wielu innych młodych obiecujących ludzi, łącznie z nim. Hess dostrzegał potencjał tam, gdzie inni widzieli tylko przeciętność. W rezultacie wychowywał sobie ludzi, którzy przejawiali w stosunku do niego niesamowitą lojalność. Otaczał się mężczyznami, którzy dosłownie zginęliby, broniąc swego dobroczyńcy. Zastanawiał się, czy Logan należał do tej grupy.

Obaj, Logan i Platt, byli mniej więcej w tym samym wieku. Obaj służyli też w Afganistanie i Iraku, choć Platt pełnił tam obowiązki lekarza i chirurga, zaś Logan dowodził plutonem. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale zawsze czuł do tego wojskowego instynktowną niechęć.

- Dlaczego potrzebujemy kogoś właśnie z FBI? - odezwał się Platt, gdy minęła dłuższa chwila, a Hess milczał.

- Jeśli coś pójdzie źle, najprawdopodobniej to właśnie funkcjonariuszom FBI zostanie powierzone dochodzenie. Dlatego chcę wiedzieć, że przynajmniej jeden z nich jest... - Umilkł na chwilę, szukając właściwych słów. - ...jest po naszej stronie.

I znowu to wyrażenie, jakby byli uczniakami umawiającymi się, którą połowę boiska zajmie która drużyna.

- Co konkretnie znajdowało się na terenie ośrodka?

Hess znów zareagował wzruszeniem ramion, a Platt zwrócił uwagę, że ostatnio mentor przygarbił się jeszcze bardziej.

- Nie wiem dokładnie - rzekł sędziwy pułkownik. - Pamiętaj, że ludziom pracującym w naszych ośrodkach pozostawiamy dużą swobodę w pracy badawczej.

Platt nie wiedział dotychczas o tym. Na terenie kraju istniało kilkadziesiąt, może nawet ponad sto ośrodków badawczych podobnych do tego z Karoliny Północnej. Pozostawienie im znacznej niezależności miało swój cel - chodziło o uwolnienie ich od ograniczeń, jakie starali im się narzucić politycy. Doświadczenia Platta z agencją USAMRIID nie pozostawiały złudzeń, że naprawdę mogą przeszkadzać w działalności badawczej. Jasne, każdy życzył sobie leku na ebolę, ale już niewielu chciało wiedzieć o długim i żmudnym procesie, który poprzedza wynalezienie panaceum lub szczepionki. Do niedawna nie wolno im było nawet przeprowadzać eksperymentów na ludziach.

- Znam osobiście doktor Shaw, która jest szefem tej placówki - odezwał się Hess. - To niezwykła kobieta i wybitny naukowiec. Sądzę, że umie zasymulować replikację dowolnego wirusa na świecie.

Platt poczuł nagle, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

- Chwileczkę, Abe. Chcesz mi powiedzieć, że na terenie ośrodka mogły znajdować się próbki o toksyczności na poziomie trzecim lub czwartym?

- Przecież dobrze wiesz, że nie da się opracować lekarstwa, nie dysponując próbkami wirusa - odparł pułkownik, a widząc pochmurne oblicze Platta, dodał szybko: - Zespoły dokładają wszelkich starań, by próbki były zabezpieczone. Nasze laboratoryjne sejfy zdołają przetrzymać eksplozję podczas ataku terrorystycznego.

- Ale czy zdołają oprzeć się niszczycielskiej sile obsunięcia terenu?

W tej samej chwili rozdzwonił się telefon na biurku Hessa. Zanim Platt zdążył zaproponować, że odbierze, Hess wstał z trudnością z fotela i powłócząc nogami, ruszył do telefonu.

- Mówi pułkownik Hess.

Platt obserwował jego twarz, gdy mentor prowadził rozmowę. Kąciaki ust nadal były lekko opuszczone, szczęki zaciśnięte, bruzdy na czole nie zmieniły pozycji - starszy mężczyzna nadal umiał zachowywać pokerową twarz. Zdradzały go tylko oczy, rozbiegane, świadczące o narastającym niepokoju.

Przez niemal minutę połączenia nie odezwał się ani słowem do słuchawki.

- Oddzwonię niedługo i podam instrukcje - powiedział w końcu i się rozłączył.

Przez chwilę nie ruszał się z miejsca, stał oparty o biurko, jakby

potrzebował jakiejś podpórki. Kiedy wreszcie podniósł wzrok na Platta, widać było, że jest zdenerwowany.

- Znalaziono jednego z naukowców - oświadczył.

Platt wpatrywał się w niego w nadziei, że zaraz usłyszy coś, co rozładuje atmosferę.

- Nie żyje - odezwał się w końcu Hess.

- Zmarł podczas obsunięcia terenu?

- Nie. Zapewne wcześniej. Wszystko wskazuje na to, że zginął od strzału w głowę.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Creed oparł się dłońmi o kafelki na ścianie i pozwolił, by ciepły strumień wody opływał jego obolałe ciało. U jego nóg stał Bolo, zajęty tym samym – pochylił łeb i moczył się pod prysznicem.

Po badaniu lekarz o imieniu Kevin wyprowadził Creeda z głośniejszej sali gimnastycznej, w której zorganizowano spanie dla ratowników. Creed i Bolo dali się zaprowadzić długim korytarzem, na którego krańcu znaleźli niewielką szatnię i łazienkę z prysznicem. Creed domyślił się, że korzystała z niego zazwyczaj kadra nauczycielska liceum.

Nadal nie doszedł do siebie – dzwoniło mu w uszach, a gdy poruszył się gwałtownie, zaczynało mu się kręcić w głowie. Chwilę po tym, jak Kevin zostawił ich samych, Creed upadł na kolana i wymiotował do klozetu. Bolo nie odstępował go na krok. Gdy jego pan opróżnił już żołądek, trącił go w bok i pomógł wstać, pozwalając wesprzeć się na swoim grzbiecie. Stał tak blisko, że Creed przez cały czas czuł na nodze dotknięcie jego sierści. Zauważył, że pies co chwila badawczo spogląda mu w oczy.

Kiedy odzyskał równowagę, znowu przykleknął, jednak tym razem dłonie zanurzył w psiej sierści, sprawdzając, czy nie ma gdzieś przeoczonych ran. Strumień wody nakierował tak, by oczyścić najpierw grzbiet, potem nogi, szyję i tors Bola. Pod jego dotykiem zwierzę powoli rozluźniało mięśnie i nie napięło ich, nawet gdy Creed obmacywał mu boki i brzuch.

W pewnym momencie znowu ogarnęły go mdłości. Oparł czoło o bok psa i wyczuł, jak jego mięśnie momentalnie tężeją. Odczekał chwilę, aż ustanie łupanie w czaszce i ucichnie dzwonięcie w uszach. Nie miał już czego zwracać, w żołądku nie było nic z wyjątkiem kwasów trawiennych. Bolo stał bez ruchu, czekał. W końcu odwrócił łeb do Creeda, ale nawet wtedy się nie odsunął, przez cały czas dając oparcie panu.

- Nic mi nie jest, koleżko - powiedział Creed, jednak pies ani drgnął.

Najdrobniejszy ruch mógł spowodować, że Creed osunie się bezwładnie na posadzkę. Bolo musiał to wyczuwać.

Przypomniał sobie, jak lekarz pokazał mu kask, który Creed miał na głowie podczas wypadku. Tył pękł niczym skorupka jajka.

- Z początku będzie się pan czuł fatalnie - uprzedził go Kevin. - Jakby

najpierw uderzyła w pana ciężarówka, potem wycofała się i przejechała po panu.

Zaproponował, że zawiozą Creeda do najbliższego szpitala, żeby zrobić prześwietlenia. Zdaniem Kevina niemal na pewno miał połamane żebra. Creed odrzucił pomysł wizyty w szpitalu. Zgodził się jednak, by po zmyciu błota ratownik opatrzył go i zbadał.

Nie wiedział, ile czasu spędził na kolanach, nie otwierając oczu i czołem opierając się o grzbiet Bola. Nie usłyszał, jak otwierają się drzwi do łazienki. Nie wyczuł obecności człowieka.

- Panie Creed?

Rozpoznał głos Kevina, jednak i teraz się nie poruszył.

- Wszystko w porządku?

Kevin był niewysokim, szczupłym i żyłastym mężczyzną, nieco starszym od Creeda. Zrogowaciała skóra na dłoniach wskazywała, że parał się też innymi zajęciami. Być może miał drugą pracę lub hobby, które wymagało od niego innych umiejętności. Kiedy wcześniej wstępnie przebadał Creeda, zachowywał się bardzo ostrożnie, jakby wiedział, na ile może sobie pozwolić. Teraz też wszedł do łazienki, jednak zatrzymał się i czekał, by chory pozwolił sobie pomóc.

- Fajnie by było, gdyby obraz przestał mi falować przed oczami.

- Więc może da się pan jednak namówić na wizytę w szpitalu w Clyde?

Creed wsparł się jedną ręką na psie, drugą uczeplił się ściany i chwiejnie stanął na nogach. Wyglądało to, jakby próbował i sobie, i Kevinowi udowodnić, że prześwietlenie wcale nie jest konieczne. Na chwilę zabrakło mu tchu. Zakręcił wodę i chwycił ręcznik.

- Nic mi nie jest, potrzebuję tylko odsapnąć chwilę.

Schylił się, żeby wysuszyć Bola. W tej samej chwili poczuł przeszywający ból w piersi. Przygryzł wargę, próbując zdusić jęk.

- Ma pan kogoś, kto będzie mógł przy panu posiedzieć w nocy?

- Właśnie z nim rozmawiam - zażartował Creed.

Kevin nie wydawał się zachwycony. Przez chwilę grzebał w torbie lekarskiej, w końcu wydobyl z niej bandaż. Najwyraźniej uznał, że należy jak najszybciej założyć pacjentowi nowy opatrunek.

- Jak radzi sobie ten znaleziony pies? - spytał Creed, przypomniawszy sobie, że oprócz niego i Bola w karetce przyjechał jeszcze jeden pacjent.

- Podobnie jak pan, suczka jest poobijana, ale uparta.

- Wylize się z tego?

- Myślę, że tak. Przynajmniej nie protestowała, gdy wieźliśmy ją do szpitala dla zwierząt.

- Co się z nią potem stanie?

Pamiętał, co mówił Vance: zginęli wszyscy pasażerowie pogrzebanego pod ziemią samochodu. Cała rodzina tej suczki przestała istnieć.

- Trafi do schroniska, chyba że znajdą się jacyś krewni albo znajomi tych ludzi, którzy chcieliby ją przygarnąć.

- Wyświadczy mi pan przysługę? Jeśli nikt się nie zgłosi, proszę dopilnować, żeby trafiła do mnie, dobrze?

- Poważnie? - Kevin spojrzał mu w oczy. - Ratując tego psiaka, niemal stracił pan życie. Na pewno chce go pan przygarnąć?

- To nie jej wina - odparł Creed, kończąc wycieranie Bola i chwytając ręcznik dla siebie. - Zrobi to pan dla mnie?

Kevin potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nie chciało mu się wierzyć, że Creed chce przygarnąć jeszcze jednego zwierzaka. Wziął do ręki bandaż i nożyczki i skupił się na zakładaniu opatrunku. Kiedy jednak po chwili uniósł wzrok, na jego usta zakradł się nieznaczny uśmiech.

- Ma pan to jak w banku - odparł pogodnie.

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie O'Dell podniosła komórkę leżącą na stoliku przy łóżku. Oczywiście miała zbyt zapachnięte od snu, by sprawdzić, kto wydzwania w środku nocy. Wiedziała, że najlepiej po prostu odebrać. Zdążyła przywyknąć do nocnych telefonów.

- Mówi O'Dell.

- Chyba cię obudziłem.

Zaskoczenie w głosie Benjamina Platta nie było udawane. O'Dell rzadko sypiała dłużej niż kilka godzin na dobę i nawet tę odrobinę snu przerywały powracające koszmary. Niektóre z nich Ben znał aż za dobrze. Niewiele brakowało, a spędzali by tę noc razem.

Ta znajomość była dosyć osobliwa - dwoje przyjaciół pragnących, by łączące ich przywiązanie przerodziło się w coś poważniejszego. Jednak ani ona, ani on nie umieli przyznać się do swych uczuć. Nawiedzało ich zbyt wiele upiórów z przeszłości i oczekiwali od siebie zbyt dużo. Życie każdego z nich stało się za bardzo poukładane, by wszystko teraz burzyć. Albo po prostu byli zwykłymi tchórzami.

- Chyba wyjątkowo udało mi się zmrzyć oko - odparła ze śmiechem. Jej wzrok odzyskał ostrość: elektroniczny zegarek pokazywał pierwszą trzydzieści sześć. - Nie kładłeś się jeszcze, zgadłam?

Zajechał do niej wcześniej wieczorem, gdy wracał do siebie. Maggie mieszkała w willi w podmiejskiej, ekskluzywnej dzielnicy. Dosyć daleko od Fort Detrick, gdzie pracował Ben, a już na pewno nie na trasie, którą tego wieczoru pokonywał. Stwierdził, że chce dowiedzieć się, co słychać u przyjaciółki Maggie, Gwen Patterson, która dochodziła do siebie po operacji mastektomii. Tak przynajmniej brzmiał oficjalny pretekst wizyty. Miał również inny powód: chciał - a może musiał - pogadać o zbliżających się przesłuchaniach przed Kongresem, bardzo upolitycznionych i wzbudzających niezdrowe podniecenie mediów.

Usiedli na tarasie i wypili kilka piw. Ben opowiadał, w ogrodzie dokazywały psy Maggie. Od czasu do czasu wybuchiły śmiechem na widok Harveya, który próbował pochwyć w pysk świetliki. Zanim Platt zjawił się u niej, słońce zdążyło skryć się za horyzontem i zapadł zmrok. W pewnym

momencie oboje poczuli się lekko wstawieni, a O'Dell pomyślała, że zaproponuje mu, żeby został na noc. Ostatni miesiąc był dla niej trudny – świadomość, że może stracić najserdeczniejszą przyjaciółkę, kobietę, z którą znała się najdłużej, napawała ją przerażeniem.

Nie zaprosiła jednak Bena. A co gorsza, on również nie zasugerował, że zostanie. Chociaż przez cały wieczór Maggie wyczuwała, że chce ją o coś poprosić. A więc kolejny raz grali w tę swoją znaną na wylot gierkę. Być może kierowały nimi szlachetne pobudki, by nawzajem się chronić. A może po prostu chcieli chronić samych siebie. O'Dell zaczynała już się w tym gubić.

Kiedy teraz w słuchawce usłyszała jego głos, pomyślała, że wołałaby, żeby tę noc jednak spędził z nią.

- Chodzi mi o naszą dzisiejszą rozmowę – powiedział Ben.

O'Dell usiadła na łóżku i oparła się o zagłówek. Może jednak czuł to samo co ona?

- Te obrady komisji nie dają mi spokoju. Nie chciałem cię w to wszystko wciągać.

- Musiałeś się wygadać, to normalne.

- Tak naprawdę potrzebuję czegoś więcej i chciałem prosić o pomoc. Czekałem jednak na telefon od dyrektora Kunzego.

Raymond Kunze był zastępcą dyrektora Wydziału Badań Behawioralnych w Quantico. I szefem O'Dell.

Poczuła się nieco zbita z tropu. I chyba rozczarowana.

Zanim zdążyła wydusić z siebie jakieś pytanie, Ben pospieszył z wyjaśnieniami:

- W Karolinie Północnej doszło do poważnego obsunięcia terenu. W rezultacie ucierpiał jeden z ośrodków badawczych DARPA. Wczoraj na miejscu zdarzenia ratownicy odnaleźli ciało jednego z pracowników bazy. Zginął od strzału w głowę.

- A pozostali?

- Nie dają znaku życia. Do pierwszego i najpoważniejszego obsunięcia doszło około wpół do jedenastej wieczorem. O tej porze w ośrodku zapewne znajdowało się niewiele osób. Większość badaczy mieszka w pobliżu, więc ich domy również mogły zostać zniszczone. Tego jednak nie wiemy. Nadal panuje tam totalny chaos. Odnaleziono również inne ciała, ale na razie nie

wiadomo czyje. Mogą to być ciała naukowców, ale równie dobrze mogą należeć do innych ludzi mieszkających w okolicy. Trudno nam na razie uzyskać jakieś sensowne informacje z miejsca zdarzenia.

- Jak wobec tego udało wam się tak szybko zidentyfikować tego naukowca?

Ben zamilkł na dłuższą chwilę. O'Dell wsunęła dłoń w swe splątane włosy i odgarnęła je z twarzy. Następnie nachyliła się i zapaliła lampkę. Leżący w nogach łóżka Harvey uniósł łeb i spojrzał na panią, po czym z powrotem opuścił go na materac. Drugi pies - owczarek - ostatnio przejął od niej złe nawyki i zapewne snuł się teraz gdzieś na dole, obchodząc całą posesję.

- A co ty masz z tym wszystkim wspólnego? - spytała, nie doczekawszy się reakcji.

Ben był doktorem medycyny i pułkownikiem armii amerykańskiej, a także szefem USAMRIID w Fort Detrick. Agencja DARPA podlegała zupełnie innemu dowództwu, a mimo to Ben opowiadał o tym, co się wydarzyło, w taki sposób, jakby to jego agencja odpowiadała za działalność ośrodka w Karolinie Północnej.

- Współpracujemy z DARPA przy kilku projektach. Czasami pomagają nam przy pewnych rzeczach, z którymi nie możemy sobie dać rady. Wiele ich placówek, zwłaszcza tych usytuowanych w odległych zakamarkach kraju, ma wolną rękę. Ich działalność podlega jedynie minimalnemu nadzorowi i regulacjom. Zajmują się wieloma różnymi projektami: opracowują szczepionki, projektują wojskową odzież ochronną...

- A czym konkretnie zajmowała się ta placówka?

- Niestety to ściśle tajne.

W pierwszej chwili pomyślała, że to żart. Ben miał dosyć sarkastyczne poczucie humoru. Mijały jednak sekundy, a on milczał. Zrozumiała wtedy, że nie żartuje.

- Dobrze rozumiem? - zaczęła, a podenerwowanie w jej głosie po raz pierwszy stało się słyszalne. - Za chwilę poprosisz mnie, żebym dowiedziała się, dlaczego pewien naukowiec pracujący dla DARPA zarobił kulkę podczas lawiny błotnej. A równocześnie nie zamierzasz mi zdradzić, nad czym pracował, czy tak? Mimo że jego zatrudnienie ma zapewne jakiś związek z tym, że został zabity.

- Wiem, że to brzmi dziwnie. Ale tak naprawdę sam jeszcze nie wiem,

czym się tam zajmowali. Szczegóły konkretnych projektów są przekazywane do góry dopiero, gdy ktoś ich zażąda. Na razie interesuje nas tylko, jak zginął ten człowiek. Chcemy też wiedzieć, czy innym, którzy wciąż mogą przebywać w ośrodku, też grozi niebezpieczeństwo.

- A może po prostu popełnił samobójstwo?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Ale musimy brać pod uwagę również taką ewentualność. Informacje, którymi dysponujemy, są dosyć mętne. Domyślam się, że rozumiesz już mniej więcej, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji. Przed ustaleniem, co właściwie się stało, nie możemy upubliczniać żadnych informacji, które mogłyby zagrozić powodzeniu akcji ratowniczej.

Zabrzmiało to tak, jakby rozmawiała z jakimś biurokratą. Naturalnie Ben pracował dla agencji rządowej, a do tego był oficerem, co niejako automatycznie czyniło go formalistą. Mimo to język, jakiego teraz używał, doprowadzał ją do szału. O'Dell od ponad dziesięciu lat pracowała jako agentka FBI, a więc też podlegała agencji rządowej, jednak zawsze starała się dystansować do swojego pracodawcy. Postępowała w taki sposób, jaki uważała za najbardziej właściwy. Niestety ludzie z agencji nie zawsze podzielali jej zdanie w tych kwestiach, zwłaszcza gdy podejmowane przez nią kroki okazywały się niezbyt poprawne politycznie. W przeciwieństwie do Bena, O'Dell nie zawsze trzymała się zasad. W rezultacie stopniowo zyskiwała reputację samotnego buntownika. Biorąc to pod uwagę, tym dziwniejsza wydawała się decyzja Bena, by to właśnie ją prosić o sprawdzenie, co wydarzyło się w ośrodku badawczym.

- Wszystko toczy się teraz bardzo szybko. Zastępca szefa DARPA Peter Logan podjął pewne kroki, by dowiedzieć się, co tam zaszło, jednak śledztwo w sprawie zabójstwa naukowca obejmie właśnie FBI. Ze względu na tajny charakter badań prowadzonych w ośrodku pułkownik Abraham Hess poprosił mnie o wskazanie dyskretnej osoby do tej misji. Oczywiście natychmiast pomyślałem o tobie.

Więc to tak - Ben liczył nie tylko na jej doświadczenie, ale też dyskrecję.

Ben umilkł, a Maggie przeleciała przez głowę myśl, że może daje jej teraz moment, by poczuła wdzięczność lub choćby dotarło do niej pochlebstwo. Z doświadczenia wiedziała już, że gdy agencja rządowa prosiła o dyskrecję, najczęściej chodziło o ukrycie przed światem własnych grzeszków. Jednak Ben pomógł jej kilkakrotnie. Raz nawet uratował jej życie. I nigdy dotychczas

nie prosił o żadne przysługi. Tym razem musiało wydarzyć się coś naprawdę cholernie ważnego, skoro postanowił ją w to wmieszać.

- Jasne. Zrobię, co w mojej mocy.

To, co powiedział chwilę potem, było dla niej zupełnym zaskoczeniem.

- Maggie, możesz odmówić. Wcale nie oczekuję, że zgodzisz się tylko dlatego, że cię o to proszę. - Powiedział to łagodnym tonem, w którym wyczuła autentyczną troskę. Takiego właśnie Bena znała, szanowała, a może też darzyła miłością.

- Wyjadę rano. Najpierw będę musiała tylko zajrzeć do Gwen.

- Powinno ci to zająć tylko kilka dni - zapewnił Ben. - Logan już tam posłał swoich ludzi. Na miejscu jest jego asystentka, Isabel Klein. Sprowadził też przewodnika z psem ratownikiem. Logan zna tego człowieka z Afganistanu. Nazywa się, o ile mnie pamięć nie myli, Ryder Creed.

O'Dell pracowała już dwukrotnie z Creedem. Ich ostatnia wspólna akcja odbyła się zaledwie miesiąc wcześniej. Nagle doceniła, że rozmawia z Benem przez telefon - dzięki temu nie mógł zobaczyć jej reakcji. Gdy usłyszała imię mężczyzny, odpowiedź wyskoczyła z ust niemal samoistnie.

Jak to możliwe, że na samo wspomnienie Rydera Creeda jej ciało przeszło irytujący, ale przyjemny dreszcz?

Dzień 2.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Pył wciskał mu się do oczu. Czuł go też w ustach, a całe grudki dławiły go w gardle. Gdzieś z drugiej strony błotnej ściany dobiegał głos Petera Logana, który nakazywał podkomendnym trzymanie pozycji, dopóki przewodnik z psem nie przetrą szlaku. Kiedy wyłonił się zza rogu, nie towarzyszył mu żaden żołnierz. U boku Logana szedł mały chłopiec.

Creed rozpoznał tego dzieciaka. Na imię miał Jabar, ale wszyscy żołnierze wołali na niego Japa, ponieważ jak na afgańskiego chłopca mówił bardzo szybko, płynnie przechodząc z ojczystego języka na łamaną angielszczyznę. Creed zorientował się jakiś czas temu, że Jabar umiał komunikować się w co najmniej trzech językach.

Chłopiec miał zapewne dziewięć lub dziesięć lat, a zachowywał się jak dwudziestolatek. Żołnierzy śmieszyło to jego pozowanie na dorosłego. Jabar podwędzał im nawet papierosy i próbował palić je tak jak reszta wojaków. Gdy Creed spotkał go pierwszy raz, chłopiec zerknął tylko na Rufusa i momentalnie się odsunął. Nie dlatego jednak, że się przestraszył. Wierzył po prostu, że pies przynosi pecha. Ostrzegł wtedy Creeda, że inne dzieciaki w wiosce mogą obrzucić psa kamieniami. I poradził, że jeśli nie chce narażać czworonoga na niebezpieczeństwo, nie powinien wyprowadzać go poza obóz.

Jabar pojawiał się i znikał, gdy przyszła mu na to chęć. Mężczyźni nie zwracali na niego uwagi, a gdy w końcu któryś go zauważył, zachowywali się wobec niego przyjaźnie i żartowali. Jednak po upływie kilku miesięcy chłopak nadal nie zbliżał się do Rufusa. Creed uznał, że to wynik przesądu, o którym wspomniał dzieciak. W końcu jednak zrozumiał, co naprawdę było przyczyną tej niechęci.

Gdy cofał się pamięcią do tego dnia, miał wrażenie, jakby znowu się tam znalazł. Stał z boku i przyglądał się wszystkiemu, wiedząc, jak to się skończy, lecz nie mogąc w żaden sposób wpłynąć na rezultat. Jak to możliwe, że zignorował tyle znaków ostrzegawczych?

Jego uwagę powinny były przyciągnąć już same buty, w których paradował dzieciak. Bielutkie jak śnieg adidas, o kilka numerów za duże, ze sznurówkami zawiązanymi wysoko na chudziutkich nóżkach chłopca. Ale

przecież Jabar zawsze zjawiał się poubierany w takie dziwne ciuchy. Zapewne buty dostał od Logana. Między dowódcą a miejscowym chłopakiem kwitła kontrabanda. Właśnie te praktyki były jedną z tych rzeczy, które Logan chciał ukryć przed Creedem. Miał nadzieję, że nawet jeśli przewodnik psa zrozumie, co się dzieje, będzie udawał, że nic nie widzi. Zwłaszcza że sam powiedział, iż nie interesują go „darmowe” eleganckie okulary przeciwsłoneczne, adidasy ani wodoodporne zegarki. Nie skusił się nawet na opakowanie eksperymentalnych kropel na kaszel ani syropu na tę samą przypadłość. Creed wiedział, że Logan podrzuca swym podkomendnym również inne eksperymentalne specyfiki. To temu tak naprawdę służyły pozostałe upominki. Nie wiedział natomiast, i wcale nie chciał się dowiedzieć, gdzie ani od kogo Logan dostał te środki. Za tydzień wraz z Rufusem miał przecież zostać przeniesiony do innego oddziału.

Tamtego dnia, gdy Jabar pojawił się z Loganem, ubrał się w obszerną kurtkę, pod spód włożył obcisłą zapinaną na zamek błyskawiczny wiatrówkę, a na nogi białe adidas. Rękawy chłopak podciągnął do wysokości łokci. Materiału było tyle, że wystające z niego ręce wydawały się jeszcze chudsze. Tors ginął w workowatej kurtce, jednak dało się zauważyć, że za pazuchą ma poutykane różne rzeczy.

Na początku Creed myślał, że Logan musiał przejrzeć tego cwane go chłopaczka. Jabar był bezczelnym kanciarzem, który nie zawahałby się przed obrobieniem nawet kogoś takiego jak dowódca obcych wojsk.

Tamtego dnia chłopak gadał jeszcze szybciej i głośniejszym głosem niż zazwyczaj. Jego zarozumiałość i agresywność sugerowały, że ma dwa razy więcej lat i jest trzy razy większy niż w rzeczywistości. Creed dostyszał, jak dzieciak wydziera się na Logana. Idąc, wspinał się na głązy, po czym rozpościarał ramiona i zeskakiwał na ziemię. Obwisłe ramiona kurtki przypominały skrzydła.

Logan sprawiał wrażenie lekko wkurzonego, ale nie zaniepokojonego. Rzucił w stronę chłopaka kilka przekleństw, potem zaśmiał się z niego. Nie brzmiało to jednak, jakby z nim żartował – raczej jakby z niego szydził i prowokował dzieciaka.

W pewnym momencie Rufus, stojący daleko na napiętej smyczy, zaskowyczał ostrzegawczo. Nos uniósł wysoko, zjeżył sierść na karku, wyprężył ogon, nadstawił uszu. Pozycja psa nie pozostawiała wątpliwości – dawał znać swemu panu, że wyczuwa zagrożenie

Chwilę potem Jabar dostrzegł Rufusa. Creed nie zorientował się wcześniej, że chłopak trzyma w garści kamienie. Pierwszy kamień trafił Rufusa w skroń, drugi z głuchym pacnięciem spadł na psi bark. Chłopak wydierał się na nich, sięgał do kieszeni i ciskał kamień za kamieniem. Przy każdym rzucie brał wielki zamach. W pewnym momencie przypadkowo uderzył Logana.

- Co ci, do cholery, odbiło?

- On chce się wysadzić! - zawołał Creed, odciągając psa.

Dostrzegł, jak chłopak wsuwa dłoń do kieszeni wiatrówki. Dojrzał wystający z niej kabel. Wiedział, że nie zdąży schronić się za wielkim głazem, od którego dzieliło go jakieś dziesięć kroków. Schylił się po Rufusa i błyskawicznie przyciągnął do siebie wierzgające trzydzieści pięć kilo żywej wagi. Następnie zanurkował przed siebie, szukając jakiegokolwiek osłony, a w tej samej chwili ciszę w obozie rozerwała ogłuszająca eksplozja.

Z góry posypał się deszcz ziemi i kamieni. Na plecach poczuł palące strzępy metalu. Ostatnim dźwiękiem, jaki zarejestrował, nim stracił przytomność, było żalosne skomlenie Rufusa.

Potem poczuł liźnięcia mokrego języka na policzku. Powieki miał ciężkie niczym z betonu. Gdy uchylił je z wysiłkiem, odnosił wrażenie, jakby ktoś tarł mu po oczach papierem ściernym. Gdzieś ponad nim w półmroku zamajaczyły jakieś niewyraźne postacie. Na chwilę wznosił się nad nim psi pysk, po czym znów poczuł lizanie po policzku. Creed wyciągnął ręce i chwycił niewielki psi łeb. Głaskał go teraz za uszami i pozwalał się lizać po twarzy.

Kiedy jego oczy odzyskały ostrość, ze zdziwieniem zobaczył nad sobą nie Rufusa, lecz Grace - psa rasy Jack Russell terrier.

- A co ty tu robisz? - spytał, błędząc spojrzeniem po wielkiej sali, stalowych dźwigarach w suficie i podwieszonych u powały przyciemnionych wielkich lampach. Gdy się poruszył, łóżko zaskrzypiało pod nim, a wtedy przypomniał sobie, gdzie jest - leżał na niewielkim łóżku polowym w kącie szkolnej sali gimnastycznej.

Nie był w Afganistanie, tylko w Karolinie Północnej.

Przeżył obsunięcie terenu, a nie wybuchy wrogich ładunków.

Bolo oparł swój wielki łeb o bok pana, podczas gdy Grace podskakiwała z drugiej strony. Próbował poukładać sobie w głowie to, co widział, gdy

nagle rozległ się za nim jakiś głos:

- Dobrze, że się pan obudził. Pora wstawać.

Wykręcił szyję, żeby spojrzeć na intruza. Przy łóżku siedział Jason Seaver, chłopak, którego wynajął do szkolenia psów. Ale przecież Jason został w domu, na Florydzie.

- A skąd ty się tu, u licha, wzięłeś?

Waszyngton

Maggie O'Dell wyszła z windy i natychmiast poczuła, że z nerwów robi jej się niedobrze. Denerwowała ją perspektywa przyznania się przykutej do łóżka przyjaciółce, że musi wyjechać z miasta na kilka dni i zostawić ją samą. Na odchodnym wczoraj zauważyła coś niepokojącego w spojrzeniu Gwen.

Gwen nigdy by się nie przyznała, że czuła strach. Nawet gdy latem dotarło do niej, że zachorowała na raka piersi, nie traciła nadziei. Spędziła wiele miesięcy, konsultując się z kolejnymi onkologami, jakby liczyła, że wreszcie trafi na kogoś, kto postawi diagnozę przeczącą wszystkim pozostałym. O'Dell obserwowała, jak wybitna lekarz psychiatra, kobieta, która przez kilkadziesiąt lat leczyła generałów i polityków, sama ucieka w świat fikcji i wypiera bolesne fakty.

Gwen była piętnaście lat starsza od O'Dell. Poznały się, gdy pracowała jako specjalistka medycyny sądowej w Quantico, zaś Gwen występowała w roli niezależnego konsultanta w dziedzinie analizy zachowań przestępczych. Wspólnie spędzały całe dni, przeglądając zdjęcia scen zbrodni i szukając w nich jakichś znaczących śladów i motywów. Czasami siedziały w biurze do nocy, umilając sobie pracę pizzą i ciepłym piwem. Trudno to nazwać typowym początkiem damskiej przyjaźni.

Od tamtego okresu upłynęło już dziesięć lat, a O'Dell nadal nie rozumiała, co takiego wyrefinowana i dojrzała kobieta pokroju Gwen dostrzegła w nieopierzonej nowicjuszce, za jaką nadal się uważała. Wciąż bowiem traktowała Gwen jako mentorkę. W trudnych chwilach liczyła na jej siłę i radę. Gwen była jedynym człowiekiem w jej życiu, o którego naprawdę zupełnie bezinteresownie się troszczyła. Kiedy O'Dell jej potrzebowała, Gwen zawsze przy niej była. Pomagała jej nawet wtedy, gdy O'Dell nie zdawała sobie sprawy, że w ogóle potrzebuje pomocy. A teraz nadszedł moment, by się odwdziżyć przyjaciółce. Tyle że O'Dell nie miała pojęcia, jak ma to zrobić. A przy tym Gwen wcale nie zamierzała jej na to pozwolić.

Wzięła urlop i przez cały zeszyły tydzień starała się spędzać jak najwięcej czasu z Gwen. Gdy przyjaciółka leżała jeszcze w szpitalu, O'Dell przesiadywała całe dni u jej boku. Szła do siebie tylko wtedy, gdy

wiedziała, że zastąpi ją partner Gwen, R.J. Tully. Nawet wtedy zostawała dłużej, niż powinna, jakby przed wyjściem chciała się upewnić, że Tully czuje się na siłach, by zostać.

O'Dell pracowała z R.J. Tullym przy kilku sprawach prowadzonych przez FBI, nim jeszcze pokochał on, z wzajemnością, Gwen. Nigdy by się nie domyśliła, że będzie z nich udana para. Gwen ceniła luksus, uwielbiała perły, ostrygi à la Rockefeller i wizyty w ekskluzywnych galeriach sztuki. Była smakoszem i pedantką - w jej kuchni, mieszkaniu i gabinecie zawsze panował nienaganny porządek. Za to Tully stanowił jej przeciwieństwo - nie było dnia, by nie poplamiał sobie krawata lub choćby mankietów koszuli. Był wysokim szczupłym mężczyzną i uwielbiał jeść, ale nie należał do wybrednych. Podczas ostatniej wspólnej akcji O'Dell z przerażeniem obserwowała, jak R.J. z apetytem pożera rogalika z folii, którego data ważności minęła miesiąc wcześniej. Jednak czuła, że w sprawach zawodowych może mu zaufać. A co ważniejsze, ufała mu również jako partnerowi swej najlepszej przyjaciółki.

Poprzedniego wieczora na odchodnym spytała Gwen, czy czegokolwiek sobie życzy. Przyjaciółka podziękowała za dobroć, ale O'Dell wiedziała, że duma nie pozwoliłaby jej prosić o pomoc. Tak samo jak nie pozwalała przyznać, że w głębi duszy jest śmiertelnie przerażona. Leżała w źle dopasowanej rozpinanej z przodu koszuli, w której było jej chyba niewygodnie. Nigdy z własnej woli nie włożyłaby czegoś podobnego, chodziło jednak o to, by pod długimi rękawami ukryć przewody drenów. W odpowiedzi na pytanie O'Dell Gwen potrząsnęła głową i powiedziała, że się cieszy z powrotu do domu. W jej spojrzeniu było jednak coś, co wcale nie przypominało ulgi - lęk, może nawet błysk nadciągającej paniki. Ze spojrzenia wycierała niema prośba: „Błagam, nie zostawiaj mnie samej!”.

O'Dell nie miała pojęcia, co robić.

Życie zafundowało Maggie O'Dell przyspieszone dojrzewanie - w wieku dwunastu lat musiała już sama się o siebie troszczyć. Zaczęło się od śmierci ojca. Potem była świadkiem, jak jej mama, jeszcze niedawno kochana żona i matka, staje się alkoholizką ze skłonnościami samobójczymi i stacza się szybko na dno. Niezależność i emocjonalny chłód, a może też nieufność, którą wyniosła z domu, przydały się potem w pracy zawodowej. Był to zestaw cech, którymi powinna się charakteryzować agentka FBI

specjalizująca się w zachowaniach przestępczych.

Taktyka, która zapewniała powodzenie w pracy, zastosowana w życiu osobistym okazywała się jednak fatalna w skutkach. Maggie była zamężna, ale małżeństwo rozpadło się, wzmagając wyuczoną nieufność. W efekcie zamknęła się w sobie na dobre. Otwarcie się przed kimś stawało się coraz trudniejsze i coraz rzadziej podejmowała ten trud. Myśl o tym powracała do niej w ostatnich miesiącach, a szczególnie w ostatnich dwóch dniach, i za każdym razem bolała, jakby ktoś zatapiał jej sztylet w sercu. Nie była sobie w stanie wyobrazić, jak wyglądałoby życie, gdyby zabrakło w nim Gwen Patterson. Nie mogła jej stracić.

Maszerowała teraz korytarzem, niosąc pełen kwiatów wazon, i próbowała odepchnąć od siebie myśl, jak żałośnie małym i niewystarczającym gestem będzie wręczenie ich chorej. Przecież nie robi to jej żadnej różnicy. O'Dell czuła się całkowicie bezradna i nie miała bladego pojęcia, co powinna zrobić.

Włożyła do zamka podarowany przez przyjaciółkę klucz i po chwili znalazła się w mieszkaniu Gwen. Już na progu zawołała, że to ona. Następnie skierowała się do sypialni. Po drodze opadły ją wyrzuty sumienia, że czuje się pewniej w otoczeniu morderców i trupów niż przy łóżku ukochanej przyjaciółki. Nienawidziła się za to, jak łatwo przyszła jej decyzja o skróceniu urlopu, gdy Ben poprosił ją, by wybrała się do Karoliny Północnej. Co gorsza, poczuła wówczas niemal ulgę.

Gdy weszła do sypialni, ze zdziwieniem zobaczyła, że Gwen śpi i nikogo przy niej nie ma. Podeszła na palcach do okna i ustawiła wazon na parapecie, obok innego wazonu.

- To kalie etiopskie - odezwała się chora.

- Nie chciałam cię obudzić.

Gwen machnęła ręką, jakby próbowała powiedzieć, że nie ma to żadnego znaczenia. Następnie wskazała krzesło u wezłowia, zachęcając O'Dell, by usiadła. Spełniła chętnie życzenie, jednak gdy spojrzała na zapadniętą i bladą twarz Gwen, poczuła przerażenie. Wciąż nie mogła przywyknąć do widoku jej nowej fryzury - piękne złocistorude włosy przezornie ścięto na krótko.

- Skąd wiedziałas, że najbardziej uwielbiam właśnie ten gatunek? - spytała Gwen.

Powiedziała to z uśmiechem, a O'Dell przyszło do głowy, że nie widziała jej uśmiechniętej od wielu dni.

- Czasami udaje mi się coś zapamiętać.

- To znaczy coś poza informacjami dotyczącymi morderców i ich ofiar?

O'Dell z uśmiechem spojrzała w oczy przyjaciółce. Znała ten żartobliwy ton, nieraz przekomarzały się na ten temat.

- Mam do ciebie pewną prośbę - powiedziała.

- Nie musisz nic mówić. Wszystko już wiem.

- Słucham?

- Dzwonił do mnie Kunze.

- Nie wierzę.

- Pytał, jak się mam.

- Czy na pewno mówimy o tym samym Raymondzie Kunzem?

Twarz Gwen znów rozjaśnił uśmiech. Jako doradca pracowała razem z Kunzem przy pewnej sprawie zeszłej wiosny. O'Dell podejrzewała, że po tym epizodzie szef był nią zachwycony. Gwen robiła niesamowite wrażenie na mężczyznach. Również Tully zakochał się w niej po tym, jak oboje zetknęli się na stopie zawodowej. O'Dell jednak zatkało - nie mieściło jej się w głowie, że Kunze dzwonił do Gwen, by spytać, czy nie będzie miała nic przeciwko, gdy odwoła na jakiś czas jednego ze swoich agentów od jej łóżka.

- Obiecał, że nie wyjedziesz na długo, najwyżej na kilka dni. Dał do zrozumienia, że chodzi o ściśle tajną sprawę. Jakieś ciała odkopane po lawinie błotnej, dobrze pamiętam? Domyślam się, że ludzie ci nie umarli na skutek obsunięcia terenu.

- Jeden zginął od strzału w głowę. Zakładamy, że do morderstwa doszło, jeszcze zanim powstały osypiska.

- Osypiska? A więc było ich więcej? Co tam teraz się dzieje?

No tak, wypaplała za dużo. Nie chciała, by przyjaciółka zamartwiała się podczas jej nieobecności. Prawda była taka, że doszło do wielu obsunięć i spodziewane są kolejne. Warunki pogodowe nadal się nie poprawiły. Wciąż lał deszcz. Na części obszaru, gdzie znaleziono ciało, trwała powódź.

Zamiast podzielić się z chorą tymi informacjami, powiedziała uspokajająco:

- Nie ma strachu, zajmowałam się gorszymi przypadkami. Na pewno sytuacja na miejscu nie jest tak zła jak po przejściu huraganu. No i raczej nie

da się jej porównać z pogonią za seryjnym mordercą prowadzoną w tunelach pod cementarzem.

O'Dell chciała zbagatelizować zadanie, którego się podjęła, jednak przyjaciółka nie dała się nabrać.

- Kiedy ostatni raz byłaś na akcji poza miastem, wyłądownałaś w gnieździe skorpionów.

Tak było, nie zamierzała się kłócić. Zdarzały się noce, gdy O'Dell budziła się ze swych powracających koszmarów i strzepywała coś niewidzialnego z rąk albo czochrała włosy. Nigdy nie udało jej się pozbyć tego okropnego wspomnienia pajęczaków rozpełzających się po całym ciele, żądających ją raz za razem.

- Nic mi nie będzie - zapewniła poważnym głosem.

Spojrzała w oczy przyjaciółce, przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Domyśliła się, że Gwen myśli o tym samym co ona - jak szybko, znowu, zamieniły się rolami. Jednak wyjazd na kilka dni, by zająć się sprawą morderstwa, to nic w porównaniu z batalią toczoną przez przyjaciółkę. Na pewno nie był kwestią życia i śmierci. A przynajmniej w tamtej chwili O'Dell nie myślała o zadaniu w takich kategoriach.

- Robisz to tylko dlatego, że poprosił o to Ben? - domyśliła się Gwen.

- Zrobił dla mnie znacznie więcej, ale nigdy nie chciał, bym mu się odwdzięczyła.

- Kiedy naprawdę ci na kimś zależy, nie oczekujesz niczego w zamian.

Wiedziała, że Gwen nie przepadała za Benem. Jej zdaniem manipulował, gdy zapowiedział O'Dell, że nie może wiązać się z żadną kobietą, która nie chce dzieci. Gwen uważała, że testował wtedy O'Dell i popychał do podjęcia decyzji o potomstwie.

Nie miała teraz ochoty na rozmowy o Benie. Postanowiła szybko zmienić temat.

- A propos skorpionów, na miejscu jest już Ryder Creed ze swym psem.

- Serio? - Na ustach Gwen znów pojawił się uśmiech. O'Dell przyznała się kiedyś przyjaciółce, że spodobał jej się facet, z którym przyszło jej pracować.

- Robi się ciekawie.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Creed przyglądał się z niedowierzaniem, jak Jason pochłania jajecznicę na szynce. Zjadał z apetytem kogoś, kto nie miał nic w ustach od tygodnia. Ani razu nawet nie odłożył widelca, by sięgnąć po bułkę albo wodę. Obserwując go, Creed nie mógł się opędzić od myśli, że jednoręczność najwyraźniej nie przeszkadza chłopakowi w wyrabianiu złych nawyków. Równocześnie jednak przejawiane przez podopiecznego umiejętności przetrwania budziły w nim pewien podziw.

Okoliczni mieszkańcy dostarczyli do sali gimnastycznej liceum łózka polowe, na których mogli odpocząć ratownicy. W szkolnym bufecie, tuż za ścianą, ochotnicy próbowali nadażyć z przygotowywaniem posiłków dla pracujących na różne zmiany mężczyzn. Wychodzący do pracy ratownicy mogli nawet liczyć na zapakowane w torbę drugie śniadanie.

Creed i Jason usiedli przy stole w rogu sali, gdzie mogli nakarmić Grace i Bola. Creed zerknął na posilające się psy i pomyślał, że jedzą wolniej i zachowując lepsze maniery niż jego współbiedniak. Kiedy w koszyku została ostatnia bułka, chwycił ją szybko, czym wyraźnie zawstydził chłopaka, który nagle zrozumiał, że bez pytania pochłonął wcześniej trzy pozostałe.

- Większość nocy spędziłem za kierownicą - usprawiedliwił się. - Po północy na trasie nie było żadnego czynnego baru.

- Hanna zazwyczaj przygotowuje jedzenie na drogę.

- Tak, zrobiła mi kilka kanapek i termos kawy.

Zdziwiony Creed uniósł brwi, jednak Jason zajął się już czymś innym - rozsmarowywał masło na ostatniej bułeczce. Różnica wieku między nimi nie była bardzo duża: jeden dobijał do trzydziestki, a drugi niedawno skończył dwadzieścia. Creed zaczynał jednak rozumieć, że w wielu sprawach, łącznie z apetytem, dzieliła ich przepaść.

- Bardzo się o ciebie martwi - odezwał się Jason.

- Cała Hanna.

- Nie pozwoliła mi nawet zaczekać na doktor Parker. Mogliśmy przyjechać oboje.

- Avelyn wybiera się tutaj?

- Chyba o zdarzeniu poinformowała ją organizacja, której jest członkiem.

- VDRA^[3] - domyślił się Creed. - Weterynaryjna Służba Kryzysowa. Świetnie, pomoże nam odkazić psy.

- No, widziałem rano, że dojechało tu przynajmniej sześć nowych psów z przewodnikami.

Kilka lat temu Creed przekonał Hannę, że na terenie ich ośrodka szkoleniowego powinien znaleźć się weterynarz. Avelyn Parker, wraz z dwoma innymi lekarzami, prowadziła gabinet weterynaryjny w Milton na Florydzie. Creed zorganizował klinikę weterynaryjną na terenie ośrodka i przekonał ją, by spędzała u nich co najmniej dwa popołudnia w tygodniu. Niemalże znaczenie miała też wypłacana regularnie hojna zaliczka, która pokrywała koszt wzywania jej w nagłych przypadkach.

Zapewnienie zwierzętom opieki weterynaryjnej na miejscu miało większy sens niż wożenie ich do miasta z każdą przypadłością, która wymagała konsultacji z lekarzem. Avelyn nigdy jednak nie zrezygnowała z członkostwa w VDRA i zawsze była gotowa, by natychmiast spakować potrzebne rzeczy i ruszyć w teren. Organizacja jako jedna z kilku wysyłała weterynarzy na miejsca katastrof. Oddelegowani przez nich specjaliści zajmowali się odkażaniem oraz leczeniem psów ratowniczych, które ucierpiały podczas pracy, a także gotowi byli nieść pomoc miejscowym zwierzętom poszkodowanym podczas kataklizmów. Takim jak suczka odnaleziona przez Vance'a i jego ekipę w przysypanym przez lawinę samochodzie.

- Hanna nie powinna była wysyłać z tobą Grace - odezwał się Creed na myśl o biednej przerażonej suczce, która niegdyś tylko cudem uniknęła śmierci. Na dźwięk imienia Grace spojrzała uważnie na swego pana. Pogłaskał ją po łbie i dodał, starając się nadać głosowi niezobowiązujący ton: - Jest zbyt mała do pracy w takim terenie.

- Hanna raczej nie sądziła, że Grace będzie z tobą pracować. Stwierdziła, że suczka po prostu za tobą tęskni.

To samo mówiła, gdy rozmawiali przez telefon godzinę temu. Creed z jej tonu domyślał się jednak prawdziwych motywów: Hanna uważała, że towarzystwo Grace doda mu otuchy. Zapewne tęsknota nie miała tu aż tak dużego znaczenia. W każdym razie Creed jednego mógł być pewien - obecność suczki zawsze poprawiała mu nastrój. Z każdym psem z ich hodowli łączyła go specjalna więź, jednak Grace - nazywana przez Hannę

Amazing Grace - wyzwałała w nim cechy, których sam się po sobie nie spodziewał.

- Nie podoba mi się cały ten Peter Logan - wyjawiała we wcześniejszej rozmowie telefonicznej Hanna.

Okazało się, że Logan przedzwonił do niej i zażądał, by ich firma K9 CrimeScents przysłała posiłki na miejsce tragedii. Żądanie to padło dosłownie kilka sekund po tym, jak poinformował ją, że Creed został przysypany przez lawinę.

Creed domyślał się, że Hanna próbuje mu w ten sposób umożliwić wycofanie się z akcji. Gdyby postanowił zerwać kontrakt, zajęłaby się stroną prawną. Jeśli jednak Logan nadal uważał, że Creed ma do spłacenia dług, żadne rozwiązanie umowy nie wchodziło w grę.

W pewnym momencie do ich stolika podeszła jedna z kobiet pracujących w bufecie i bez pytania dołąła im kawy.

- Życzycie sobie coś jeszcze, chłopcy?

- Najedliśmy się, dziękujemy - odparł Creed, posyłając Jasonowi chmurne spojrzenie, gdy ten wpatrzył się żalonym wzrokiem w pusty koszyk po bułkach. Następnie dodał, wywołując uśmiech na zmęczonej twarzy kobiety:

- Wszystko było pyszne.

- A co z psami? Na pewno w kuchni znajdzie się kilka wołowych kości.

- To bardzo miłe z pani strony, ale muszą przestrzegać specjalnej diety.

- Racja, w ogóle o tym nie pomyślałam. Słyszałam, że przysypało pana podczas ostatniego obsunięcia.

Mówiąc to, wskazała otarcia i rany na jego twarzy. Lekarze zapowiedzieli, że tę nad okiem trzeba będzie zszyć, ale udało się ją zamknąć, przyklejając na krzyż opatrunki bandażowe. Medycy obawiali się, że rana jest zbyt blisko oka, i woleli nie manewrować przy niej igłą.

- Wszyscy jesteśmy wam wdzięczni, że się tu zjawiliście. Wołajcie, jak będziecie czegoś potrzebować. Nazywam się Agnes. Będę tu jeszcze długo.

Creed podziękował kobiecie, a ta ruszyła do następnego stolika. Zanim zjawił się w bufecie, spędził niemal godzinę pod prysznicem, starając się umyć mimo wszechobecnych siniaków i ran, które bolały przy najmniejszym dotyku. Wciąż wydawało mu się, że uszy ma zalepione błotem, a oczy swędzą go od żwiru. Nie mijał też ból w piersi. Gdy po prysznicu ratownik medyczny obwiązywał mu tors bandażem, Creed poczuł, jakby opatrunek

zgniatł mu płuca. Miał już wcześniej połamane żebra, dlatego wiedział, że nie powinien zrywać bandaża.

Poruszył się na krześle, a w następnej chwili uświadomił sobie, że musiał skrzywić się z bólu, ponieważ Jason przypatrywał mu się teraz z uwagą. Chłopak w końcu się najadł i popijał teraz kawę. O dziwo, brał drobne łyeczki, nie wlewał jej w siebie. Może była jeszcze dla niego jakaś nadzieja.

- I jakie to uczucie? - spytał Jason.
- Połamać sobie żebra?
- Nie, dać się pogrzebać żywcem.

Nie myślał dotychczas o tym w tych kategoriach. Bycie pogrzebanym żywcem wydawało się... Przesądzało sprawę raz na zawsze.

Sięgnął po filiżankę, lecz zamiast schwycić za uszko, oplótł ją palcami i podniósł. Kawa pachniała wyśmienicie, była mocna - dokładnie taka, jaką lubił. Upił mały łyżeczek, nie spiesząc się z odpowiedzią. A kiedy znów podniósł wzrok, napotkał utkwione w sobie spojrzenie Jasona. Chłopak cierpliwie czekał, dając mu czas do namysłu.

- Kiedy przestałem walczyć, zrobiło się całkiem spokojnie.

- Jakby pan zasnął?

- Tak, tyle że nie miałem żadnych snów. Raczej halucynacje.

Na chwilę zapadło między nimi milczenie.

- Myśli pan, że tak wygląda chwila przed śmiercią? - spytał w końcu Jason.

- Może. Nie czułeś tego, gdy straciłeś rękę?

Creed domyślał się, że chłopak musiał być o krok od śmierci. Wiedział, czym jest wybuch miny, który obrywa część ciała.

- Nie - odparł Jason, potrząsając głową. - Chyba byłem w szoku. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Nie wiedziałem, że straciłem rękę. Zrozumiałem to dopiero, kiedy obudziłem się w szpitalu.

Creed zapamiętał swoją przygodę w podobny sposób. W jednej chwili widział, jak Jabar pociąga za drut wystający z wypchanej ładunkami wybuchowymi kamizelki. A już w następnej leżał w szpitalu i wyciągał przed siebie ręce w poszukiwaniu Rufusa. Przyzywał go krzykiem, próbował nawet wydostać się z łóżka, żeby go poszukać. Na szczęście Rufus wyszedł bez szwanku. Creed osłonił go przed siłą wybuchu własnym ciałem. Rufus był w tak dobrej formie, że postanowiono przydzielić go do innego przewodnika i posłać z powrotem w teren. W tamtym okresie postępowano tak jeszcze z psami, które traktowano jako część sprzętu wojskowego. Nadawano im nawet numery, które wypalano na uszach. Rufus dostał numer N103 i uznano go za zdolnego do służby.

Creed wiedział, że tak to się odbywa. Przed wypadkiem zamierzał nawet zaciągnąć się na kolejną misję, byle tylko pracować razem z Rufusem. I właśnie wtedy pojawił się ten głupi dzieciak, któremu Logan pozwalał

swobodnie przemieszczać się między obozem a wioską, i wysadził wszystko w powietrze.

- Kiedy to planowałeś, spodziewałeś się, że będziesz odczuwał taki spokój?
- spytał Jason, wyrывая go z rozmyślań. - Tak jakbyś po prostu zasypiał.

Wspomnienia sprawiły, że Creed stracił wątek. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, o czym rozmawiali.

- Kiedy co planowałem?

- Śmierć.

- Chodzi ci o samobójstwo?

- Tak skończyło pięciu moich kumpli, z którymi byłem na misji. Może nawet więcej niż pięciu, z niektórymi nie utrzymuję kontaktu. Tak jak ja przeszli przez piekło, każdego dnia narażali życie. Marzyli tylko o powrocie do domu. A kiedy w końcu wrócili, strzelali sobie w usta albo łykali garściami tabletki i umierali. Jeden się powiesił.

Creed przyglądał się Jasonowi znad filiżanki z kawą. Nie musiał zadawać żadnych pytań, od dawna podejrzewał, że chłopak ma myśli samobójcze. Hanna spotkała go w ośrodku Segway House, gdzie zgłaszali się weterani, którzy nie mieli gdzie się podziac albo nie mogli z jakiegoś powodu wrócić do rodzin. Creed nie wiedział, jaka była sytuacja Jasona. Nigdy nie pytał. W gruncie rzeczy chyba wcale go to nie interesowało - najęli go do konkretnej roboty. Dali mu szansę, by nauczył się szkolić psy. Postawili nawet przyczepę, w której mógł zamieszkać na terenie ośrodka. Jeśli potrzebował terapii, powinien był zostać w Segway House. Albo przynajmniej porozmawiać z Hanną, a nie z nim.

Zamiast podzielić się z Jasonem tymi przemyśleniami, Creed powiedział tylko:

- Mój ojciec popełnił samobójstwo.

Jason wpatrywał się w niego bez słowa. Nie podejrzewał, że rozmowa potoczy się w taki sposób, jednak nie sprawiał wrażenia, jakby zbiło go to z tropu.

- Z powodu pańskiej siostry? - spytał po chwili.

Teraz to Creed okazał zdziwienie.

- Skąd wiesz o mojej siostrze? Hanna ci opowiedziała?

- Nie musiała. Wystarczyło wpisać twoje nazwisko do wyszukiwarki.

Creed miał czternaście lat, gdy zniknęła jego jedenastoletnia siostra,

Brodie. Tęgo dnia wracali samochodem ojca od babci. Podróż trwała cały dzień. Mama Creeda została, żeby zaopiekować się staruszką. Zatrzymali się na zatłoczonym parkingu przy szosie, ponieważ Brodie chciała do łazienki. Ostatnim obrazem, jaki zachował, jest wspomnienie siostrzyczki w podskokach oddalającej się od samochodu w strugach deszczu. Pamiętał, że w kałużach odbijały się pomarańczowe i czerwone światła gigantycznych tirów.

- Jak to zrobił?

Chłopak nie owijał w bawełnę. Creed zerknął w dół i zobaczył, że oba psy ułożyły się u jego stóp. Grace spoglądała mu czujnie w twarz. Żaden inny pies z hodowli nie był tak wrażliwy na jego nastroje. Sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Kiedy opuścił prawą rękę, szturchnęła ją pyskiem.

W końcu Jason zorientował się, że przesadził.

- Przepraszam. Po prostu wydaje mi się, że jak się o tym więcej rozmawia, wtedy trudniej to zrobić.

- Zamierzasz odebrać sobie życie?

W tym momencie do bufetu weszła ekipa ratowników. Nagle w pomieszczeniu zrobiło się gwarno i tłoczno. Przez cały ten czas Jason nie oderwał jednak oczu od Creeda, który domyślał się już odpowiedzi.

- Pamiętaj, że wzięłeś ode mnie szczeniaka - odezwał się Creed, nachylając się i drapiąc Grace za uszami. - Chyba nie chcesz zniknąć i zostawić go na pastwę losu?

- Mówi pan o psie? - prychnął Jason, jakby podejrzewał, że Creed żartuje.

- Nieraz tylko te zwierzęta trzymały mnie przy życiu.

Jason zmierzył go podejrzliwym wzrokiem, jakby nadal oczekiwał na jakąś puentę.

- Tak, mówię o psie. Nie jesteś nic winien ani Hannie, ani tym bardziej mnie. Jednak zobowiązałeś się do opieki nad Scoutem. - Po tych słowach wyprostował się na krześle, oparł łokcie na stole i znowu oplótł palcami filiżankę. - Kiedy przygarniasz psa, zwierzę zaczyna ci ufać i darzyć cię bezwarunkową miłością. Jeśli podejrzewasz, że może cię zabrać, lepiej będzie, jeśli mi go zwrócisz.

- Serio?

Creed nie opuścił wzroku. Chciał, żeby zabrzmiało to niezobowiązująco, ale efekt był zgoła inny - nagle zrozumiał, że właśnie zmusza chłopaka do

podjęcia niezwykle poważnej decyzji.

- Serio. Większość moich psów doświadczyła już porzucenia. Pamiętaj, że kiedy znalazłem Scouta, był wciśnięty do jutowego worka razem ze swym rodzeństwem i porzucony na brzegu rzeki, w której ktoś zapewne chciał go utopić. Jeśli zamierzasz się zabić i sprawić, że ten psiak znów zostanie porzucony, lepiej oddaj mi go już teraz.

Jason uciekł spojrzeniem w bok - nagle jego uwagę przyciągnęli ludzie z ekipy ratowniczej, którzy zrzucali teraz na podłogę sprzęt i pobrzękiwali tacami i sztućcami. Kiedy spojrział znów na Creeda, z jego oczu nadal wзираła niezdrowa ciekawość.

- Był pan przy ojcu, kiedy to zrobił?

Creed zastanowił się, czy do tego dzieciaka w ogóle dotarło cokolwiek z tego, co przed chwilą powiedział. Najwyraźniej nie przejął się tym zbytnio.

- Nie - odparł. - Ale to ja go znalazłem.

Po chwili zauważył, jak do bufetu wchodzi Vance. Ratownik uniósł rękę na powitanie. Kiedy zrzucił z ramion sprzęt, wydawał się połowę mniejszy, ale nadal był wielkim facetem. Ruszył w kierunku ich stolika.

- Dość wspominków - zwrócił się do Jasona Creed, odstawiając filiżankę.

- Jak się masz? - spytał Vance, odwracając tyłem do przodu jedno ze składanych metalowych krzeseł. Przerzucił nad nim jedną nogę, jakby dosiadał konia, po czym usiadł i umieścił ramiona na oparciu przed sobą.

- Jak człowiek, który sturlał się ze zbocza.

Olbrzym wybuchnął gwałtownym, tubalnym śmiechem.

- W sumie było inaczej: to góra przeturlała się po tobie.

- Poznajcie się. Oliver Vance, a to jeden z moich trenerów, Jason Seaver.

- Mów do mnie Ollie - powitał Jasona Vance i wyciągnął do niego rękę.

Kiedy po sekundzie zorientował się, że Jason nie poda mu prawej ręki, nie wzdrygnął się, tylko najzwyczajniej w świecie wyciągnął do niego lewą. Następnie, nie tracąc czasu, zwrócił się znów do Creeda:

- Słyszałem, że Logan chce, żebyś był na miejscu, kiedy będziemy wydobywać odnalezione ciała. Ostatniej nocy udało nam się wygrzebać spod ziemi dwóch żywych. Siedzieli uwięzieni w stercie gruzu, w jaki zamienił się ich dom. Są poobijani, ale powinni się wylizać.

- Wspaniale - ucieszył się Creed.

- Właśnie mnie poinformowano, że nadal nie odnaleziono pewnej

osiemdziesięciodwuletniej staruszki, która mieszkała za mostem na osiedlu Hillcrest. Na terenach tych wystąpiła niewielka powódź, ale zabudowania nie zostały zniszczone. Kobieta cierpi na demencję. Sąsiedzi domyślają się, że zablądziła, szukając córki, która mieszka razem z nią. Córkę złapała ulewa i wróciła późno do domu. Zastała otwarte drzwi. Rodzina przeszukała pobliskie laski, bez skutku. Dwie ostatnie noce kobieta spędziła w lesie. Sama, zdezorientowana, zgubiona. Najbliższej nocy ma spaść temperatura, więc do tej listy możemy dodać jeszcze chłód.

- O ile jeszcze żyje - zauważył Creed.

- No właśnie. Za kilka godzin muszę wracać do roboty. Pomyślałem, że może wybiorę się tam - rzekł Vance, zerkając w stronę zbierających się do wyjścia ratowników. Pomachali mu na pożegnanie, a on odpowiedział tym samym. - Jeden z twoich psów mógłby wpaść na trop. To mogłoby uratować jej życie, jeśli oczywiście nie umarła. A jeżeli chodzi o te ciała, przy których wydobyciu zdaniem Logana masz asystować... Jasne, wiem, że to on ci płaci i musisz robić, co mówi...

Vance umilkł na chwilę i potoczył wzrokiem po sali. Wyglądało to tak, jakby spodziewał się, że Logan w każdej chwili może wkroczyć do bufetu. W końcu jednak ratownik spojrzał znów na Creeda.

- Chodzi mi tylko o to, że ciała tych biedaków nie uciekną. Chyba nic się nie stanie, jeśli poczekają jeszcze trochę.

Waszyngton

Frankie Sadowski nie znosił oczekiwania. Z nerwów zrobiło mu się niedobrze. Dłonie, w których ścisnął rondo kapelusza, zaczęły się pocić. U jego boku spokojnie siedziała córka Frankiego, Susan. Kazano im zaczekać pod salą, w której trwało przesłuchanie, i nie oddalać się zbyttnio. Frankie próbował skupić się na tym, co go tu przywiodło. Na powodzie, dla którego zgodził się wziąć udział w przesłuchaniu.

Zaczęło się od spotkania po latach. Postarzelisi się, byli teraz mężczyznami w podeszłym wieku, którzy stale narzekali na problemy zdrowotne. Brzmiało to tak, jakby obnosili się z przebytymi operacjami niczym medalami. Frankie uśmiechnął się w myślach na wspomnienie młodości – dawno temu ci sami mężczyźni chwalili się dzieciakami, awansami w pracy, a nawet sukcesami na polu golfowym. Kiedy jednak spotkali się po tych wszystkich latach, z ich ust dobieła się istna litania chorób. Wkrótce ośmiu starszych panów odkryło, że wszyscy zmagali się z niemal identycznymi problemami: doskwierały im infekcje, chroniczna niewydolność oddechowa i włóknienie płuc. Duke Hutchins przeżył pięć operacji wszczepiania bypassów. Calvin Clark przygotowywał się do czwartego z kolei zabiegu.

Z początku tylko się śmiali, ale pod koniec spotkania szeptali już w mniejszych grupkach, dzieląc się podejrzeniami. Czy to możliwe, żeby ich służba wojskowa miała coś wspólnego z tak dużą liczbą chorób, które ich gnębiły?

Frankie opowiedział o swych troskach Susan, która była pielęgniarką. Momentalnie stwierdziła, że zbieżność ta wygląda zbyt dziwnie, by tłumaczyć ją zbiegiem okoliczności. Zaczęła prowadzić prywatne dochodzenie. To od niej dowiedział się o istnieniu Projektu SHAD^[4]. Tajne testy przeprowadzano w ramach Projektu 112 od 1962 do około 1974 roku. To również Susan poinformowała go, że weterani służący w tamtym okresie obecnie zapadali na te same choroby.

Rząd oczywiście aż do 2002 roku zaprzeczał, by kiedykolwiek przeprowadzano podobne testy. W końcu jednak sprawą zajął się Kongres, zlecano kolejne opracowania na ten temat, starano się też przygotować odpowiednią ustawę. Jednak wszystkie te kroki odwlekały moment, gdy

władze mogłyby się zająć losem żołnierzy, którym zrujnowano zdrowie. W rezultacie Departament ds. Weteranów mógł wstrzymać się z wypłatą jakichkolwiek rent lub odszkodowań.

Frankie domyślał się, jaki cel ma ta taktyka - chciano całą sprawę przeciągnąć do czasu, gdy wszyscy jego koledzy wymrą. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że ktoś znowu ją odgrzebał. Zorganizowano kolejne przesłuchanie przed Kongresem, znowu pojawiła się szansa, że załatwi pomoc dla kolegów.

Kumple okrzyknęli już Frankiego bohaterem. Poklepywali go po ramieniu i życzyli powodzenia, a nawet zrzucili się, by opłacić jego przelot do stolicy. Nie podobał mu się ten pomysł. Wiedział, że żaden z nich nie ma oszczędności. Nie prosił o pieniądze ani nie oczekiwał zaufania. Chciał po prostu uzyskać odpowiedzi na dręczące go od dawna pytania. I pragnął dopilnować, by koledzy doczekali się wreszcie renty, która im się należała.

W pewnym momencie Frankie rozkaszał się i córka podała mu butelkę wody. Wypił parę małych łyków. Ostatnio kaszel stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Nie przyznał się Susan, że parę dni wcześniej odkaslnął flegmę z krwią. Kiedy przebywał w Segway House, obawiał się, że Hanna zauważy, co się z nim dzieje. Jej małeńki piesek wabiący się Grace wyczuwał, że Frankie ma raka. Opowiadała mu, że pies posiadał tę umiejętność, a chwilę potem Frankie zauważył, że Grace wpatruje się w niego - długo i intensywnie.

Teraz zależało mu już tylko na tym, żeby jakoś pomóc Gusowi i reszcie chłopaków. Wówczas wiedziałby, że jego wysiłki nie poszły na marne. Pomyślał o Gusie, który tak martwił się o swojego wnuka. Chłopak wrócił z Afganistanu bez ręki. Paczka Frankiego chorowała, ale przynajmniej wszyscy wrócili z frontu w jednym kawałku. Nie wyobrażał sobie, jak miałyby żyć z jedną ręką.

Może to, że zafiksowali się na jakimś kretyńskim rządowym teście utrzymanym przez sześćdziesiąt lat w tajemnicy, świadczyło tylko o ich naiwności. Gus stwierdził kiedyś, że skoro udawało im się tak długo zwodzić opinię publiczną w sprawie zabójstwa Kennedy'ego, trudno oczekiwać, by rząd nagle wysypał się przy Projekcie 112.

Na myśl o Gusie potrząsnął głową. Domyślał się, że przyjacielowi nie zostało dużo czasu, i to nie dlatego, że ten mu się przyznał do swego stanu.

Frankie podejrzewał, że Gus sam nie jest go świadomy. Nie dowiedział się też tego od Susan, chociaż pracowała w przychodni, w której Gus się leczył. Gdyby nawet wiedziała, co mu dolega, nigdy nie wyjawiałaby tej informacji ojcu.

Nie, Frankie wiedział, że Gus umiera, ponieważ tak powiedział mu facet przysłany przez rząd. Złożył mu wizytę przed tygodniem i podpowiedział, o czym Frankie powinien wspomnieć podczas swych zeznań, a co powinien zatrzymać dla siebie.

Frankie i jego koledzy oczywiście zdawali sobie sprawę z tego, że rząd może próbować odwieść ich od składania zeznań. Batalia z Departamentem ds. Weteranów ciągnęła się od wielu lat. Wiedzieli też, że podobne bitwy z władzami toczyli inni weterani, niektórzy znacznie dłużej od nich. Nikomu nie przyznano jednak żadnej renty. Decyzję uzasadniano, najpierw zaprzeczając istnieniu Projektu 112 i Projektu SHAD, a gdy nie dało się dłużej chować głowy w piasek, zlecono opracowania, z których wynikało, że testy nie mogły zaszkodzić żadnemu z żołnierzy. Oczywiście ani jedno z tych badań nie zostało poparte dowodami, natomiast zlecane przez drugą stronę sporu raporty prezentowały zupełnie inne wnioski.

Kiedy więc na progu jego mieszkania zjawił się wysłannik władz, który zamierzał podpowiedzieć mu, co ma mówić przed komisją, Frankiego to specjalnie nie zaskoczyło. Było mu wszystko jedno. Nie zostało mu już wiele czasu, nie mógł się dłużej przejmować, co z nim będzie. Ale równocześnie nie chciał, by zamartwiali się o niego inni. Dlatego o wizycie człowieka z Waszyngtonu nie wspomniał ani Gusowi, ani Susan. W gruncie rzeczy nie powiedział nikomu.

Senator Ellie Delanor próbowała nie zwracać uwagi na reporterów i kamery. Zgromadzono ich w wąskim przejściu, między podwyższeniem zajmowanym przez senatorów a stołem, przy którym mieli zasiąść świadkowie. Niektórzy przedstawiciele mediów wyglądali zabawnie - kucali albo siedzieli na podłodze, ściskając aparaty z wielkimi obiektywami. Ellie skrycie cieszyła się z ich niewygody. Jak dobrze, że wreszcie przestali skupiać się na niej.

- Aby w pełni pojąć, czym był Projekt 112 - perorował doktor Hess takim tonem, jakby przemawiał do swoich studentów, a nie wezwanych pod groźbą kary ekspertów - musimy zrozumieć, czym był ówczesny świat. Po drugiej wojnie światowej zapanowała atmosfera wielkiej nieufności. Rosja tylko z konieczności odegrała w czasie wojny rolę naszego sojusznika. Z chęcią jednak przystąpiła do podziału łupów. Nam dostali się niemieccy naukowcy, Rosja zajęła natomiast ich laboratoria. Rozebrała je na kawałki i przewiozła na swoje ziemie. Nie mieliśmy pojęcia, co Rosjanie mogli znaleźć w tych laboratoriach.

Hess sięgnął po szklanekę z wodą i powoli się napił, a cała sala zamarła w oczekiwaniu na to, co powie. Kiedy odezwał się senator John Quincy, Hess gestem uniesionej ręki powstrzymał go w pół słowa.

Ellie była zafascynowana władczą aurą, jaką roztaczał wokół siebie ten człowiek. Na pierwszy rzut oka prezentował się niezbyt imponująco: przygarbiony starzec, który zdawałoby się, nie miał już siły udźwignąć wszystkich orderów zdobiących jego galowy mundur. Z bujnej niegdyś czupryny pozostało niewiele i teraz nędzne kosmyki ledwo zakrywały skórę czaszki poznaczoną ciemnymi plamami, takimi samymi, jakie pokrywały dłonie. Jednak było w nim coś, co budziło szacunek - przeszywające spojrzenie błękitnych oczu, gestykulacja znamionująca wielką pewność siebie.

- Zdawaliśmy sobie sprawę - ciągnął Hess - że Sowietom znacznie prześcignęli nas w produkcji broni chemicznej i biologicznej. Nikt nie spodziewał się nadejścia zimnej wojny. Oba kraje zgromadziły tak potężny arsenał, że zdołałyby dosłownie zmieścić przeciwnika z powierzchni ziemi, przy okazji unicestwiając też wszystko dookoła. Wszyscy zaczęli wtedy

poszukiwać broni, która byłaby mniej śmiertelna niż broń atomowa. Prezydent Kennedy nakazał wówczas sekretarzowi obrony, Robertowi McNamarze...

- Z całym szacunkiem, pułkowniku Hess - wszedł mu w słowo senator Quincy, tym razem nic sobie nie robiąc z karcącego spojrzenia, jakie posłał mu mówca - nie zaprosiliśmy dzisiaj tu pana, by wysłuchać lekcji historii.

Na sali rozległy się nerwowe śmiechy, kamery natychmiast zwróciły się na senatora. Nawet reporterzy sprawiali wrażenie, jakby spodziewali się jakiegoś spięcia między dwoma panami.

- Panie Quincy, ile miał pan lat w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku?

- Nie rozumiem, jakie ma to znaczenie dla sprawy. Na pewno nie byłem w wieku wystarczającym, by zaciągnąć się do wojska, jeśli o to pan pyta.

- Chodził pan wtedy do podstawówki, zgadza się?

- Jeśli tak to pana interesuje, miałem wtedy pięć lat. A zatem nie byłem jeszcze w wieku szkolnym.

- Ach tak. To wiele wyjaśnia - zauważył Hess. Teraz z kolei to on uśmiechał się i sprawiał wrażenie rozluźnionego, natomiast senator Quincy zachowywał się nerwowo, jakby nie złapał dowcipu. - Nigdy zatem nie brał pan udziału w szkolnych ćwiczeniach przysposobienia obronnego, które organizowano w latach sześćdziesiątych. Uczono wówczas dzieci, by na dźwięk syreny chowały się pod ławkami i tam czekały na atak. Zapewne nie pamięta też pan wieczornych wiadomości telewizyjnych, w których pokazywano amerykańskich żołnierzy brnących przez wietnamską dżunglę i podawano liczbę zabitych danego dnia. Nie ma pan bladego pojęcia, jaka panika ogarniała wówczas społeczeństwo, ponieważ w tamtym czasie był pan jeszcze dzieckiem. Zatem proszę uwierzyć na słowo człowiekowi, który tam był i pomagał przygotować nasz naród na zagrożenia nowego typu. Braliśmy wtedy udział w wyścigu, którego stawką było nasze życie.

Ellie, podobnie zresztą jak reszta senatorów, nie odzywała się ani słowem. Urodziła się dopiero dziesięć lat później. O ile zdążyła się zorientować, Projekt 112 realizowano między 1962 a 1974 rokiem. W jej opinii obecne obrady były tylko teatrzykiem, z którego nic nie wyniknie. Weterani, którzy bez własnej wiedzy zostali wykorzystani do realizacji Projektu 112, bezskutecznie domagali się od rządu renty inwalidzkiej lub zasiłku od 2002

roku, kiedy to Departament Obrony wreszcie przyznał, że projekt taki faktycznie istniał.

Wcześniej odbyły się już posiedzenia, na których zlecono przeprowadzenie badań w tej sprawie. Wyniki, owszem, opublikowano, tyle że na tym sprawa utknęła. Odnośna ustawa zyskała poparcie Izby Reprezentantów, ale została odrzucona przez Senat. I chyba właśnie dlatego Ellie nie bardzo wierzyła w sensowność obecnych obrad. Spodziewała się, że senatorowie zasiądą w komisji tylko po to, żeby zrobić sobie darmową reklamę. Zresztą sama zgłosiła się właśnie z tego powodu. Chciała sprawiać wrażenie, że staje w obronie weteranów, równocześnie jednak nie angażowała się w tę walkę na tyle, by zrazić do siebie jakiegokolwiek siły polityczne w Kongresie. Dla senator w opalach była to doskonała szansa na pokazanie wyborcom, że wciąż jest po ich stronie.

- W owych testach, na które po czterdziestu czy nawet pięćdziesięciu latach narzeka garstka weteranów, nie chodziło o to, by im zaszkodzić. Ich celem było ustalenie, w jakim stopniu nasza marynarka wojenna jest narażona na atak przy użyciu broni chemicznej i biologicznej, a wiedzieliśmy, że zdołałaby uśmiercić znacznie więcej ludzi niż tylko naszych podkomendnych. Przy użyciu tej broni nieprzyjaciel mógł unicestwić populację całych miast. Dlatego musi mi pan wybaczyć, senatorze Quincy, gdy próbuję przywołać parę kluczowych faktów historycznych.

Nie podnosząc ani na chwilę głosu, Hess zdołał wygłosić połajanekę i uciszyć całą salę. W ciszy rozlegały się tylko dźwięki zwalnianych migawek aparatów. Hess wyzyskiwał ten moment triumfu, świdrując senatora twardym spojrzeniem, pod którym ten wił się i kręcił na krześle. W pewnym momencie Ellie dojrzała, jak senator zbliżył dłoń do kołnierzyka koszuli i próbował go poluzować, jakby się w nim dusił. W końcu wykrztusił z siebie krótką formułkę:

- Ależ naturalnie, proszę kontynuować.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Daniel Tate nie próżnował - wkrótce opracował cały system tuneli, którymi mógł się poruszać. Nie było to łatwe - ściany popękały, wszędzie walały się połamane części mebli. Z góry zwieszały się kable i przewody elektryczne, a obluźowane płyty sufitowe groziły oberwaniem. W niektórych miejscach sufit zawalił się doszczętnie i Tate widział przez otwory zachmurzone niebo. Czołgając się, mijał rozerwane rury, z których wyciekała cuchnąca zawartość systemu kanalizacji.

Ale to wszystko to drobiazg.

Widował już gorsze rzeczy - na przykład zbombardowaną wioskę na przedmieściach Bagdadu. Pamiętał, jak topiły mu się podeszwy butów, którymi stąpał po zwęglonych ludzkich szczątkach. Nigdy nie udało mu się wyprzeć z pamięci zapachu spalonych ciał.

Kiedy przeszukiwał zawalony magazyn, uśmiechnęło się do niego szczęście - znalazł gogle z noktowizorem, kamizelkę, która wyglądała, jakby była zrobiona z kevlaru, tyle że ważyła mniej, a także kask z lampką o regulowanym źródle światła. Wystarczyło nacisnąć przełącznik, a żarówki LED gasły i zapalała się lampa na podczerwień. Dzięki goglom i kaskowi mógł przyświecać sobie bez zajmowania dłoni latarką. Dłoni potrzebował do wybierania i odrzucania gruzu zawalającego tunele, przez które się przeciskał.

Mimo wszystkich tych gadżetów, które podrzucił mu los, nadal nie miał butów. Znalazł za to parę butelek alkoholu i przynajmniej zdezynfekował rany na stopach. Następnie ostrożnie owinął je bandażem. Jeśli nie mógłby chodzić - a w razie konieczności biegać - i tak na nic nie zdałaby się wszelka broń.

Gdyby tylko udało mu się stłumić te bolesne ukłucia, które przeszywały całe ciało. Odnosił wrażenie, jakby wbijano w nie tysiąc maleńkich igiełek. Z nosa ciekła mu krew, a krwawienia nie powstrzymał nawet zwinięty materiał, który umieścił w nozdrzach. Serce biło jak oszalałe w takim tempie, jakby lada chwila miało rozerwać mu żebra.

Po jakimś czasie zaczął podejrzewać, że są to skutki uboczne specyfiku, który wstrzyknęła mu doktor Shaw. Powtarzał sobie, że w końcu jego

działanie musi minąć.

W pewnym momencie usłyszał jakiś hałas i zastygł bez ruchu. Przekrzywił głowę i nasłuchiwał, próbując zrozumieć, skąd pochodził. Nauczył się już rozpoznawać głuchoe odgłosy dobiegające z rur oraz dźwięki kruszących się murów. Ten jednak brzmiał inaczej. Po chwili rozległ się ponownie.

Dobiegał z przodu, z kierunku, w jakim zmierzał. Brzmiał jak miarowy stukot, po którym słyhać było chrzęst kruszonego szkła.

Kroki!

- Kiedy wydobyli pierwsze ciało i zobaczyli ranę postrzałową, zrozumieli, że mogą znajdować się nie tylko na miejscu wypadku, ale też zbrodni. Przestali wtedy kopać - poinformował funkcjonariusz Gwardii Narodowej. Szedł pierwszy, prowadząc O'Dell i lekarzkę medycyny sądowej, i zerkał na kobiety przez ramię. - Od zeszłej nocy teren jest zabezpieczony, tyle że jego część znalazła się teraz pod wodą.

Wysoki gwardzista miał długie nogi i stawiał wielkie kroki, przez co trudno im było za nim nadążyć. Przez cały czas musieli manewrować pośród gruzu zawalającego drogę. Pochyłość terenu nie robiła na nim żadnego wrażenia, za to O'Dell ślizgała się za każdym razem, gdy już sądziła, że złapała równowagę. Próbowano pomagać też lekarce - starszej kobiecie, której wspinaaczka przychodziła z jeszcze większym trudem.

Lekarka lekko utykała, co sprawiało, że wyglądała na słabszą, niż faktycznie była. O'Dell chciała podać jej rękę, ale kobieta odepchnęła ją i brnęła dalej, nie bacząc na błoto, w którym nogi tonęły jej do wysokości kolan.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła doktor Gunther, pomyślała, że najwidoczniej władzom brakuje ludzi i nie mają kogo przysyłać.

Ben przedstawił tę operację jako ściśle tajną misję, jednak od momentu gdy O'Dell przybyła na miejsce, nie mogła się opędzić od myśli, że zwołano tu zupełnie przypadkowych ludzi i na chybcika utworzono z nich zespół. Powiedziano jej, że Petera Logana obowiązki zatrzymały w stolicy i że reprezentuje go tutaj jego asystentka Isabel Klein, która będzie na nią czekać. Zamiast Isabel powitał ją jednak młody gwardzista Ross.

Gunther wyglądała, jakby co najmniej sama padła ofiarą obsunięcia terenu. Długie siwe włosy związała z tyłu i wcisnęła pod bandanę, jednak pojedyncze kosmyki opadały jej na twarz. Jeden z krańców chusty owijał szczelnie szyję i ginął za kołnierzem obszernej kurtki, jakby pani doktor przygotowana była na zabójcze mrozy. Deszcz na chwilę ustał, a szare niebo skryło się za zasłoną mgły. Powiewy wilgotnego wiatru były rzeczywiście nieprzyjemne, ale i tak garderoba Gunther wydawała się zupełnie nietrafiona.

Czubkiem głowy lekarka sięgała brody O'Dell, a w za dużych o kilka

numerów ubraniach wydawała się jeszcze drobniejsza. Mimo że wyraźnie utykała na jedną nogę, nie używała laski ani kijków do wspinaczki. Spowalniało to marsz, jednak kobieta ani słowem nie zająknęła się na ten temat.

- Gdzie znajduje się pierwsze ciało? - spytała Gunther.

Pytanie to zdziwiło O'Dell. Sądziła, że lekarka pracowała już na miejscu od dłuższego czasu.

- Zdaje się, że tymczasową kostnicę urządzono w budynku niedaleko liceum - odparł gwardzista.

- Niedaleko liceum? - powtórzyła lekarka, marszcząc brwi i odtwarzając w pamięci mapę okolicy. - Chyba nie chodzi o sklep mięsny Ralpa?

Zanim Ross udzielił odpowiedzi, jego uszy zaczerwieniły się wyraźnie.

- Nie wiem, proszę pani. Nie biorę udziału w tej części akcji poszukiwawczej.

Osiągnęli już szczyt wzgórza i O'Dell zobaczyła trzech gwardzistów rozkładających sprzęt. Rozbili dwa namioty, z czego jeden zapewne miał pomieścić wydobywane szczątki. Skądś dobiegał szmer płynącej wody. Po chwili jej oczom ukazał się odsunięty o parę metrów strumień. Błotnista ciecz chyżo mknęła po kamieniach i kawałkach gruzu.

- Utworzył się po ostatnim obsunięciu terenu - wyjaśnił Ross, wskazując strumyk. - Ratownicy musieli się wycofać, a w dolnym jego biegu znajduje się przynajmniej jeszcze jedno zakopane ciało.

- Czy to tam znajdował się ośrodek badawczy? - spytała O'Dell, przypominając sobie, że jedno z odnalezionych ciał należało do naukowca.

- O ile wiem, placówka usytuowana była niespełna kilometr stąd - odparł gwardzista, wskazując pod górę ku miejscu, które niczym nie różniło się od rozciągającego się wokół pustkowia. Nic nie wskazywało, że stał tam niedawno murowany budynek. Wszędzie widać było tylko błoto i naniesione szczątki leśne. Po chwili, widząc, że O'Dell bacznie rozgląda się po okolicy, Ross dodał: - Wciąż pracujemy nad ustaleniem dokładnej lokalizacji. Obsunięcia terenu są w stanie niszczyć budynki i przemieszczać na wiele kilometrów nawet duże obiekty, takie jak pojazdy, meble, ciała. Sądzimy, że ciało, o którym wcześniej wspomniałem, znajduje się pod wodą, ale może w rzeczywistości być zupełnie gdzie indziej. Czekamy na psa z przewodnikiem, którzy pomogą nam je odnaleźć. Miejmy nadzieję, że nie

zostało zepchnięte przez wodę spływającą w dół zbocza.

- Sądziłam, że pies i jego opiekun są już na miejscu - odezwała się O'Dell. Spodziewała się, że zobaczy Rydera Creeda, a teraz próbowała ukryć rozczarowanie.

- Owszem, odnaleźli nawet już wczoraj niektóre ciała. Potem jednak doszło do kolejnego obsunięcia terenu i przewodnik psa został przysypany. Gdyby nie jego pies, ratownicy pewnie nie odnaleźliby go na czas.

- Nic mu nie jest?

- Najwyraźniej - odparł Ross, sprawdzając coś na telefonie, a po chwili dodał: - Wygląda na to, że wysyłają go z powrotem do nas.

Ażeby dotrzeć w rejon Hillcrest, Creed musiał pokonać szereg objazdów. Vance uprzedzał go, że niektóre drogi i mosty mogą być w nie najlepszym stanie. Było znacznie gorzej, niż sugerował ratownik. Błoto pokrywało asfalt grubą skorupą i momentami Creed nie wiedział, czy w ogóle porusza się jeszcze po szosie. Mimo wszystko cieszył się, że wreszcie siedzi za kierownicą swojego dżipa, a z tyłu za sobą ma Grace. Suka wcisnęła pysk w przerwę między przednimi fotelami i pilnie obserwowała drogę. Od czasu do czasu spoglądała też w oczy swemu panu. Grace była wyraźnie zachwycona, że znowu szykuje się dla niej jakaś robota.

Do samochodu Creed zapakował rzeczy, których będą potrzebowali. Jason co prawda wielokrotnie podkreślał, że Hanna nie spodziewała się, iż Creed wykorzysta teraz Grace do pracy, jednak w bagażniku znalazł worek marynarski, a w nim psi sprzęt. Między innymi dwa różowe piszczące słoniki, będące ulubioną nagrodą Grace za wykonanie zadania.

Vance obiecał, że nikt się nie dowie o tym przedsięwzięciu. A gdyby Creeda spotkały kłopoty ze strony Logana, Vance miał kryć kolegę przed zleceniodawcą. Creed dziwił się, że Logan nadal nie pojawił się w hrabstwie Haywood. Ale dzięki temu może uda im się pomóc rodzinie z Hillcrest i nie ściągnąć na siebie zbędnej uwagi. Na ziemię sprowadził go dopiero widok wozu transmisyjnego i ekipy telewizyjnej, która oczekiwała pod domem należącym do zaginionej kobiety i jej córki.

Zaparkował za rogiem, by przed wzrokiem tłumu zasłonił go sąsiedni budynek. Przed ściągnięciem na siebie uwagi reporterów chciał założyć Grace kamizelkę i przygotować się samemu do pracy. Hanna zawsze mu powtarzała, że powinni zabiegać o darmową reklamę. Ostatniego lata przekonała go nawet, że w ten sposób łatwiej im będzie odnaleźć siostrę Creeda, Brodie. Pod warunkiem oczywiście, że Brodie nadal żyła. Wiara, że tak w istocie jest, była jedną z niewielu rzeczy, które dawały mu chęć do życia. Jednak zarówno sam Creed, jak i Grace w ostatnich miesiącach mieli już wystarczająco dużo reklamy w mediach.

No dobra, takie było wyłącznie jego zdanie, bo Grace merdała ogonem i radośnie podskakiwała na widok wozu transmisyjnego. Creed nie zareagował, gdy ludzie z ekipy telewizyjnej podeszli do niego. Zignorował

też atrakcyjną dziennikarkę, która podsunęła mu pod usta mikrofon.

- Jak zamierza się pan zabrać do poszukiwań pani Hamlet? - spytała, a gdy Creed puścił pytanie mimo uszu i ruszył przed siebie, trajkotała dalej: - Zaginiona zniknęła blisko czterdzieści godzin temu. Czy to pies wytresowany do odszukiwania ciał? Czy pana zdaniem zaginiona już nie żyje?

Wśród ludzi zgromadzonych na trawniku przed domem dostrzegł Vance'a. Na ich widok ratownik szybko skierował się ku chodnikowi. Reporterka jednak nie rezygnowała:

- Pański pies wydaje się taki maleńki - zauważyła, wchodząc mu niemal pod nogi. Creed starał się zachować spokój, choć najchętniej odepchnąłby tę pannę oraz kamerzystę. - Czy zamierza pan sprowadzić tutaj też inne psy?

- Ludzie, przepuście ich. Pies i przewodnik spieszą się do pracy - odezwał się Vance, wchodząc między kobietę a Creeda. Rozłożył przy tym ramiona, odcinając dostęp ekipie telewizyjnej.

Następnie poprowadził Creeda przez pokryty śliskim błotem trawnik. W miejscach, skąd wycofała się woda, widniały rozrzucone cięższe elementy: kamienie i gałęzie, listwy wykończeniowe zerwane ze ścian budynków i kilka gontów. Creed z niepokojem rozglądał się, na co może nadeprnąć Grace. Pies ciągnął pana na wyprężonej smyczy, by przywitać się z oczekującą ich grupą.

Zanim Vance przedstawił ich sobie, Creed dojrzał pośród zgromadzonych kobietę, która była zapewne córką zaginionej. Wszyscy wyglądali na krańcowo wyczerpanych. Ich wilgotne ubrania pokrywała gruba warstwa błota. W środku grupy uwagę przykuwała właśnie córka, Charlene. Jej krótko przystrzyżone blond włosy rozwiewał wiatr. Miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Podczas powitania obgryzała nerwowo paznokcie, a kiedy Creed zwrócił się do niej, podała mu tę samą dłoń, którą przed chwilą trzymała przy ustach. Wydawała się zupełnie nieobecna.

- Szukaliśmy już wszędzie. Boję się, że... - Nie dokończyła, łzy odebrały jej głos. W pewnym momencie, gdy jeden z mężczyzn stojących z tyłu zbliżył się i ją objął, dodała: - To mój brat, Lonnie.

Mężczyzna nie wyciągnął jednak ręki na powitanie. Zamiast tego przez cały czas mierzył podejrzliwym spojrzeniem przewodnika i jego psa. Gest, jakim objął Charlene, był zapewne skierowany raczej do Creeda niż siostry

i miał oznaczać, że nie musi się obawiać tego obcego człowieka.

- Ciągłe się boję, że się zraniła - mówiła Charlene. - Albo że utknęła wśród jakichś gałęzi. To drobniutka kobieta, waży nie więcej niż czterdzieści pięć kilo.

Otarła nos rękawem, a po chwili palec z paznokciem powędrował z powrotem do ust.

- Muszę zadać pani kilka pytań - odezwał się Creed, czekając, aż przestanie przeskakiwać spojrzeniem między psem, znajomymi i bratem, to znów ścianą lasu i ginącą w błocie drogą.

- Panno Hamlet?

W końcu spojrzała na niego i z nieśmiałym uśmiechem powiedziała:

- Mów mi Charlene.

- Charlene, w jakim stadium choroby jest twoja matka? Czy cierpi na alzheimera?

- Tak, bardzo łatwo traci orientację. Zapomina o najprostszych sprawach. Nikogo nie rozpoznaje z wyjątkiem mnie. - Spojrzała na swój palec, z którego sączyła się już krew. - Czasami nie wiem, czy pamięta nawet, kim jestem, czy może tylko udaje.

- A co najczęściej robi, kiedy traci orientację?

Charlene musiała pomyśleć, marszcząc przy tym nieco nos.

- Czasami siada i czeka. Kiedy indziej zaczyna nerwowo krążyć, jakby szukała gdzieś właściwej odpowiedzi.

- Czy wychodziła sama poza dom?

- Nigdy. Chyba martwiła się o mnie, że się spóźnim. Próbowалаm do niej dzwonić, ale czasami matka zapomina nawet, do czego służy telefon - odparła, potrząsając energicznie głową, by stłumić łzy, po czym obejrzała się na brata, jakby próbowała go przekonać. - Czasami nie wie, skąd dobiega dzwonenie. Sam wiesz najlepiej, jak pogorszył jej się słuch. Wcale nie mam pewności, że słyszy nasze wołania.

Grace przycupnęła u stóp Creeda. Kiedy na nią spojrzał, zobaczył, że przypatruje się uważnie Charlene Hamlet, przekrzywiając łeb. Suczka postawiła uszy i podobnie jak pan chłoneła wszystko to, co mówiła kobieta. Zapewne uwagę Grace przykuwał stan emocjonalny córki poszukiwanej.

Creed tłumaczył już Vance'owi, jak pracowała jego ulubienica. Odnajdywała ciała zmarłych, wyłapując w powietrzu zapach, jaki wydawały

ludzkie zwłoki niedługo po śmierci. Ale była też wyszkolona do ratowania tych, którzy przeżyli, tak jak Bolo. Reagowała też na przykład na woń potu. Żywy człowiek wydziela jedyny w swoim rodzaju zapach - miliony cząsteczek unoszących się w powietrzu i niesionych wiatrem albo lgnących do różnych obiektów.

W większości przypadków zaginięci czy uwięzieni ludzie znajdowali się w odludnych okolicach, gdzie nie miało żadnego znaczenia, czy Grace zdoła rozróżnić czyjś konkretny zapach. Wystarczyło, że po prostu odnalazła ludzką woń. Tutaj jednak sytuacja wyglądała inaczej - wszędzie wokół las przeczesywały dziesiątki osób poszukujących pani Hamlet, a każda z nich wydzielała przecież swój zapach. Zapewne w powietrzu było aż gęsto od ludzkiej woni. W przeciwieństwie do psów tropiących oraz łowczych Grace nie nauczono tropić konkretnego zapachu po tym, jak da się jej do powąchania jakiś przedmiot należący do poszukiwanej osoby.

Posiadła za to inną cenną umiejętność - zdolność do rozróżniania zapachów. To właśnie jej zawdzięczała medialną sławę zdobytą zeszłego lata, gdy pokazała, że jest w stanie wywęszyć narkotyki ukryte w słojach z masłem orzechowym albo nawet w żołądku muła. Ostatnio Creed nauczył ją jeszcze innej sztuczki - mianowicie rozpoznawania zapachów konkretnych chorób, łącznie z wirusami i rakiem.

Mimo wszystko nie był pewien, że Grace poradzi sobie w tej sytuacji, o czym lojalnie uprzedził Vance'a. Aby odszukać panią Hamlet, Grace musiałaby doskonale poznać jej zapach, oddzielając go do zapachu wszystkich tych ludzi kręcących się w okolicy. A następnie musiałaby wywęszyć go mimo ciągłych ulew, mgły i wiatru, który mógł ponieść woń daleko od miejsca, gdzie faktycznie przebywała kobieta. Kiedy Creed spojrział znów na Charlene, napotkał utkwione w sobie spojrzenie. Stojący obok niej ludzie wpatrywali się w niego bez słowa, czekając, co powie. Czuł wagę tych spojrzeń - wszyscy mieli nadzieję, że mu się uda.

- Czy pani matka jest prawo-, czy leworęczna?

- A jakie to, do cholery, ma za znaczenie? - wtrącił się Lonnie.

Charlene zerkała nerwowo to na brata, to znów na przewodnika psa.

- Kiedy ktoś ginie - odezwał się spokojnym głosem Creed - zazwyczaj kieruje się w stronę, którą wskazuje mu bardziej sprawna ręka. Praworęczni ludzie zwykle idą w prawo, leworęczni w lewo.

- Nawet jeśli nie umieją odróżnić prawej od lewej strony? - nie dawał za wygraną Lonnie.

Z jego tonu Creed wnosił, że mężczyzna uznał już tę rozmowę za stratę czasu.

- To reakcja bezwarunkowa, niezależna od wspomnień czy myśli. Ponieważ ludzie często podążają przez cały czas w tym samym kierunku, niekiedy wędrują, zataczając kręgi.

- Matka jest praworęczna - odezwała się w końcu Charlene.

Wszystkie spojrzenia nadal były utkwione w Creedzie. Od czasu do czasu tylko ktoś niepewnie zerknął na Grace lub obrzucił spojrzeniem Lonniego. Creed przyzwyczał się już do takich powitań. Ludzie przejawiali najczęściej dwie reakcje: albo jak Lonnie, byli nastawieni sceptycznie, albo spodziewali się zobaczyć jakąś magiczną sztuczkę i niecierpliwie czekali na rozpoczęcie czarodziejskiego występu.

- Będę musiał na chwilę zabrać Grace do waszego domu. Czy jest tam fotel albo łóżko pani matki, przy którym nikt nic nie robił od momentu jej zniknięcia?

- Jasne.

Charlene skierowała się już do domu, ale Creed wyciągnął rękę i powstrzymał ją.

- Przykro mi, ale wejdziemy tam tylko ja i pies.

- Co, do diabła? - wtrącił się znów Lonnie, tym razem stając między siostrą a Creedem.

W tej chwili Creed wyczuł też, jak rośnie podejrzliwość wśród gapiów. Nawet Vance posłał mu pytające spojrzenie.

- Obawiam się, że jeśli wejdzie pani z nami, pies może poczuć się zdezorientowany. Pani też tam mieszka i dom na pewno pełny jest pani zapachu. Chodzi o to, żeby umożliwić Grace skupienie się wyłącznie na woni pani matki.

- Gadanie - odparował Lonnie. - Skąd możemy wiedzieć, czy mamy w ogóle ufać temu facetowi?

- Lonnie! Pan Creed przyjechał tu tylko dlatego, że prosiłam o to pana Vance'a - krzyknęła Charlene, oblewając się rumieńcem. A po chwili dodała, zwracając się do Creeda: - Bardzo przepraszam.

- Nie mogę obiecać, że się uda - uprzedził Creed. - Ale Grace odnalazła

ludzi w kilku beznadziejnych przypadkach.

Charlene spojrzała wtedy na suczkę rasy Jack Russell terrier, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności. Następnie kucnęła, dała Grace do powąchania dłoń, po czym pogłaskała ją po łbie.

- W dużym pokoju znajdzie pan leżankę, której używa matka. Na niej leży kołdra, którą przykrywa nogi. Jej pokój jest na piętrze, pierwsze drzwi po prawej.

Creed podziękował i skierował się do domu, czując wciąż na sobie niechętnie spojrzenia miejscowych. Grace paradowała u jego boku zachwycona, że może zamoczyć łapy w mijanych kałużach.

Nadal doskwierał mu ból głowy. Paliło go też w piersi. Nie minęła nawet doba od wypadku, który niemal przyplącił życiem. Nie cierpiał, gdy na miejscu zdarzenia pojawiały się rodziny. Zachodziło pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że ich zawiedzie. Mógł tylko liczyć, że tym razem mu się poszczęści.

- To, co tu robicie, nie ma nic wspólnego z profesjonalnym wydobywaniem ciał. - Doktor Gunther strofowała czterech rosyłych gwardzistów, którzy ze schyłonymi głowami wysłuchiwali cierpliwie połajanki, mimo że przecież to nie oni decydowali o tym, jak przebiega procedura wydobywania.

Widok tej drobniutkiej kobietki przemawiającej takim tonem do wysportowanych i twardych mężczyzn zaskoczył, a nawet nieco rozbawił O'Dell. Filigranowa lekarka kojarzyła jej się z elfką, a mimo to umiała samym tonem i postawą zmusić do posłuchu grupkę rosyłych gwardzistów.

- Założmy, że pies pana Creeda wskaże nam konkretne miejsce - ciągnęła Gunther. - W jaki sposób razem z agentką O'Dell mamy wydobyć szczątki? Czyżbyśmy miały brodzić po kolana w wodzie i wyławiać je ręcznie?

O'Dell dręczyły te same pytania. Kiedy próbowała to sobie wyobrazić, widziała od razu, jak prąd zbija je z nóg. Z drugiej strony pracowała już przy wydobywaniu ciał z dziwniejszych miejsc. Księżycowy krajobraz, w jakim się teraz znalazły, przypominał inne miejsce zbrodni. I nasuwał myśli o poćwiartowanych zwłokach, które zapakowano do studwudziestolitrowych beczek i zakopano w kamieniołomie.

Brała udział w wielu akcjach wydobywczych, do których nie można by się przygotować, bazując na wiedzy zgromadzonej w książkach. Dlatego zarzuty doktor Gunther wydały jej się nieco głupie. Wiedziała jednak, że koronerzy oraz lekarze medycyny sądowej słynęli z precyzji i zwracania uwagi na szczegóły. Ludzie ci więcej czasu spędzali w laboratoriach niż w terenie.

- Polecono nam zabezpieczyć miejsce zdarzenia i służyć pomocą. - Ross próbował bronić kolegów.

- Nie wątpię - odwróciła Gunther, po raz pierwszy odrzucając maskę stoika i pozwalając sobie na ostrzejszy ton.

- Szef pana Logana poinformował mnie, że to pani dowodzi operacją wydobywczą - powiedziała po chwili, zwracając się do O'Dell. - Jak pani zdaniem powinniśmy teraz postąpić?

Maggie spojrzała na strumień - w paru miejscach pędząca woda utworzyła niewielkie szczeliny w naniesionym błocie. W dolnym biegu koryto było nieco szersze, a na powierzchni unosiły się kawałki gruzu. Woda niosła gałęzie, w które zaplątały się zerwane przewody elektryczne.

Wyżej trudno było zlokalizować miejsce, gdzie strumień brał początek. Świat spowijała gęsta jak mleko mgła. Jedno nie budziło wątpliwości – nie zanosilo się na to, by woda miała opaść w najbliższym czasie. Jakby na potwierdzenie jej przemyśleń z oddali dobiegło głuche dudnienie gromu. O'Dell wyczuwała na sobie spojrzenie Gunther. Również gwardziści oczekiwali cierpliwie na to, co powie, i na konkretne rozkazy.

- Zaczekamy na pana Creeda z psem. Nawet jeśli zawężą obszar poszukiwań, i tak będziemy musieli jakoś powstrzymać tę wodę albo skierować ją gdzie indziej – stwierdziła, po czym zwróciła się do Rossa: - Na pewno dysponujecie sprzętem, który można by wykorzystać do przekierowania wody w inne koryto.

- Zaraz sprawdzę – odparł Ross, sięgając po komórkę.

- Świetnie – powiedziała O'Dell, po czym zwróciła się do Gunther, wskazując namiot: - Tymczasem możemy przyjrzeć się szczątkom, które udało się wydobyć.

Starsza kobieta przystała na propozycję i pokuśtykała we wskazanym kierunku. Ross wysłał esemes i ruszył za lekarką, a po chwili dołączyła do niego O'Dell.

- Widział już pan te zwłoki?

- Tak jest, proszę pani.

- Zwracaj się do niej per „agent” – poinstruowała Gunther, nie odwracając się nawet do rozmówców.

Ross spojrział niepewnie na O'Dell, ale ona po prostu puściła mimo uszu komentarz lekarki.

- Jakim sprzętem dysponujemy? – spytała gwardzistę.

- Kazano mi zabrać łopaty i szpadle. Mamy też brezent i parę worków na ciała.

Z przodu dobiegło ich gniewne prychnięcie pani doktor. Zaniepokojony Ross posłał znów szybkie spojrzenie O'Dell. Nie wiedziała, czy oczekuje od niej instrukcji, czy może rozgrzeszenia.

Postanowiła, że zignoruje również tę reakcję posuwającej się przodem kobiety. Skupiła się na brnięciu przez błoto. Przywiozła ze sobą trochę sprzętu, który mógł się przydać: w plecaczku miała między innymi aparat cyfrowy, gumowe rękawice i woreczki na materiał dowodowy. Wyobrażała sobie, że skórzana torba doktor Gunther kryła wszystko, czego może

potrzebować do pracy lekarka.

Ściany polowego namiotu były przezroczyste. Ross odpiął zamek przy wejściu i odrzucił na bok płachtę materiału, wpuszczając do środka obie kobiety. Posadzkę stanowiła nierówna ziemia, a raczej ubite błoto. Usunięto też większe odłamki gruzu, jednak poza tym ratownicy dołożyli wszelkich starań, by zachować miejsce w takim stanie, w jakim je odnaleźli. Namiot rozbito przy zachowaniu wielkiej ostrożności, aby nie naruszyć oznaczonego terenu na środku, który przykryto płachtą brezentu.

W załamaniach czarnego materiału zebrała się woda, a pod spodem O'Dell również dojrzała połyskujące kałuże. Ciało i brezent musiały leżeć przez długi czas na deszczu, nim w końcu rozpięto nad nimi namiot.

O'Dell zrzuciła z ramion plecak, wyjęła aparat i zrobiła kilka zdjęć. Potem, gdy już naruszą miejsce, będzie na nie za późno. Następnie poprosiła Rossa o zdjęcie płachty.

Gwardzista powoli unosił tkaninę, pozwalając spłynąć wodzie na ziemię. Spod spodu wychynęła niczym niewyróżniająca się sterta ziemi, upstrzona kamieniami i żwirem. Otwór miał średnicę około trzydziestu centymetrów. Przezroczyste ściany namiotu przepuszczały co prawda trochę światła, jednak z powodu zachmurzenia i mgły trudno było cokolwiek dojrzeć. Gunther zapaliła wyciągniętą z torby latarkę, a kiedy Ross odrzucił materiał zasłaniający otwór, skierowała tam snop światła.

Po chwili latarka wyłowiła z ciemności fragment ludzkiego ciała, które przybrało już niebieskoszarą barwę. Nim przykryli je ludzie z ekipy ratowniczej, deszcz zdążył opłukać je do czysta z gliny. W pierwszej chwili O'Dell nie zorientowała się, że spogląda na ludzką twarz. Dopiero gdy snop światła prześlizgnął się po brodzie, ustach i spoczął na wpatrzonym w nich oku, zrozumiała, co ma przed sobą.

- Chryste Panie - jęknęła doktor Gunther, odruchowo cofając się i niemal tracąc przy tym równowagę.

O'Dell wyciągnęła rękę, próbując pomóc, jednak lekarka kolejny raz niecierpliwym gestem odtrąciła jej dłoń. Teraz jednak wyglądała na zawstydzoną własną reakcją. O'Dell z zaciekawieniem obserwowała, jak kobieta bierze głęboki oddech, po czym ostrożnie zbliża się znów do jamy, nakierowując na nią snop światła. A po chwili, nim zdołała stłumić odruchową reakcję, jej twarz wykrzywił grymas obrzydzenia.

O'Dell nie miała już żadnych wątpliwości - wyglądało na to, że jej misja wcale nie będzie tak banalnie prosta, jak zapowiadał Benjamin Platt.

Creed poprowadził Grace prosto do fotela, na którym zwykła przesiadywać staruszka. Następnie kazał psu usiąść naprzeciw mebla. Chciał sprawić, że zwierzę skupi się na nim i przestanie zwracać uwagę na wszystkie te obce dźwięki i zapachy wypełniające dom.

Przez kilka minut Grace mogła do woli rozglądać się po pokojach. Na dźwięk tykania dużego stojącego zegara zastrzygła uszami, a gdy z kuchni dobiegł dźwięk włączającej się lodówki, suczka przekrzywiła łeb i spojrzała w tamtą stronę z zaciekawieniem. W końcu uspokoiła się i wróciła do pana. Stanęła tuż przed nim, przestępowała z nogi na nogę i spoglądała wyczekująco w górę.

Creed powoli podniósł z fotela kołdrę, po czym podsunął ją psu pod nos, zachęcając go, by zapoznał się z jej zapachem. Grace powąchała materiał, z początku nieufnie, ale już po chwili zanurzyła nos w jego fałdach. Z kołdry unosił się delikatny medyczny zapasek. Creed nie wiedział, czy aromat ten pomoże psu, czy może utrudni zadanie. Wyodrębnienie woni konkretnej osoby zawsze nastęrczało spore trudności.

Jak wspominał wcześniej w rozmowie z Vance'em, wprawdzie Grace świetnie radziła sobie z wyszukiwaniem przeróżnych zapachów, jednak nie została wyszkolona na psa tropiącego ani łowczego. Psy takie - zazwyczaj były to tropowce - najpierw wachały jakiś przedmiot albo ubranie należące do danej osoby, wchłaniały przez nozdrza drobinki ludzkiej tkanki albo skóry pozostawione przez tę osobę, a następnie ruszały w teren, poszukując tego konkretnego zapachu. Owszem, Grace umiała ratować zaginionych, jednak postępowała w inny sposób: wychwytywała nawet nieznaczące ślady ludzkiego zapachu unoszącego się w powietrzu. Niewykluczone, że umiała wywęszyć także krew. Nie poszukiwała śladu konkretnej osoby, a jedynie uniwersalnej ludzkiej woni.

Zazwyczaj to wystarczyło, ponieważ ludzie najczęściej ginęli w głuszy. Kiedy Grace udało się wywęszyć ludzki zapach w terenie leśnym, w dalszej kolejności starała się wskazać miejsce, gdzie owa woń występowała w największym stężeniu. Koncentrowała uwagę na takim miejscu i zazwyczaj faktycznie właśnie tam odnajdywano poszukiwaną osobę.

Teraz jednak sytuacja wyglądała inaczej - las otaczający domostwo pani

Hamlet pełen był ludzkich zapachów, jakie pozostawili po sobie ludzie przeczesujący go w poszukiwaniu zaginionej.

- Grace - odezwał się Creed i poczekał, aż pies spojrzy mu w oczy. Następnie podniósł wysoko kołdrę i bardzo powoli powiedział: - Hamlet.

Po chwili odłożył kołdrę na bok i gestem przywołał psa, zachęcając go, by powąchał fotel. Grace wspięła się na zadnie łapy i zajęła węszeniem. Kiedy Creed poklepał siedzisko fotela, zachęczone zwierzę wskoczyło na niego.

- Grace - powiedział znów i odczekał chwilę, nim pies podniósł na niego wzrok, po czym poklepał podłokietnik fotela i powtórzył dobitnie: - Hamlet.

Nozdrza psa zajęły się intensywnym węszeniem, posuwając się od zagniecia materiału z obicia ku guzikom na ścianie oparcia. Creed zauważył tam również przyczepiony kosmyk włosów zaginionej, będący nieocenioną pomocą dla poszukującego tropu psa. Kiedy Grace skończyła zapoznawanie się z zapachami fotela, zeskoczyła na podłogę i usiadła.

Na próbę Creed odzepił smycz od kamizelki, w którą ubrany był czworonóg, po czym wskazał drzwi, którymi niedawno weszli do środka - te same, których musiała użyć pani Hamlet.

- Grace, szukaj pani Hamlet - polecił.

Pies popędził ku drzwiom, jednak po chwili gwałtownie zatrzymał się na wypolerowanej drewnianej podłodze. Odwrócił się, z nosem wzniesionym wysoko, po czym wrócił do pana. Na chwilę przystanął przy niskim stoliku do kawy, jego nozdrza poruszały się szybko. Następnie przysiadł i spojrział wyczekująco na opiekuna. Był to umówiony znak, że Grace coś odnalazła - w ten sposób mówiła swojemu panu, że odszukała to, o co ją prosił.

Wzrok Creeda padł na pilota do telewizora i leżącą obok niego zużytą chusteczkę higieniczną. Oba przedmioty zapewne należały do pani Hamlet, jednak nie mógł nagrodzić psa za ich wskazanie. Nie chodziło o to, by zwierzę odnajdywało należące do staruszki rzeczy, lecz by wskazało miejsce jej pobytu.

Słumił jęk zawodu. Ból w skroni przeszedł w miarowe tępe pulsowanie. Nagle ogarnął go lęk, że ich wysiłki mogą na nic się nie zdać.

Wziął Grace z powrotem na smycz. W zeszłym miesiącu jego podopieczna zaalarmowała obsługę lotniska w Atlancie, gdy wywęszyła duże ilości przemycanej kokainy. Narkotyki przewożono w foliowych woreczkach ukrytych w słoikach pełnych masła orzechowego. Dlatego wiedział, że Grace da sobie radę również tym razem, pod warunkiem jednak, że będzie umiał jej zakomunikować, co konkretnie ma znaleźć. Postanowił, że poszukiwania rozpoczną od miejsca, w którym po raz ostatni widziano panią Hamlet.

Wyprowadził psa na schodki przed domem. Ze względu na zalegający na podwórku gruz nie podobała mu się perspektywa puszczenia Grace luzem. Dlatego wy dobył z plecaka smycz automatyczną, dzięki której pies mógł oddalać się na dwa razy większy dystans, lecz równocześnie pozostawać związany z panem. Grace obserwowała go uważnie, gdy wsuwał ręce do plecaka. Świetnie wiedziała, że jego wnętrze kryje też jej ulubionego różowego słonika.

- Grace, szukaj pani Hamlet! - padła komenda.

Pies obejrzał się na drzwi, jakby chciał powiedzieć, że przecież poszukiwana jest w domu. Creed jednak ani drgnął. Nie obejrzał się też na budynek i w końcu Grace uznała, że musi szukać dalej - uniosła pysk i zaczęła wciągać w nozdrza powietrze. Creed wiedział, że stawia przed nią niełatwe zadanie. Pani Hamlet przechodziła tędy dwa dni temu i przez ten czas deszcze i wiatry musiały już doszczętnie zatrzeć resztki jej woni rozsiane w powietrzu.

W pewnym momencie poczuł szarpnięcie smyczy. Adrenalina momentalnie zaczęła krążyć w jego żyłach - Grace skrzyła w prawo. Był to gwałtowny zakręt. Pani Hamlet była osobą praworęczną, a więc zachowanie psa stanowiło dobry znak.

W następnej chwili zauważył, jak gapie zgromadzeni na trawniku nieopodal poczynają kierować się w jego stronę, i powstrzymał ich gestem.

Grace ciągnęła go teraz z dużą siłą i węszyła zapamiętałe. Przez cały czas jednak trzymała się blisko bocznej ściany budynku. Creed starał się spoglądać jej pod nogi, wypatrując potłuczonego szkła albo ostrych skrawków metalu. Pies wiódł go teraz wzdłuż wąskiego rowu między budynkiem a trawnikiem, którym płynęła woda z przepelnionych studzienek

kanalizacyjnych.

Gdy dotarli do rogu, Grace kolejny raz skręciła gwałtownie w prawo i przyspieszyła kroku, zwinnie przemykając po błocie. Na tyłach domu leżało jeszcze więcej gruzu niż od frontu i Creed musiał dla bezpieczeństwa nieco skrócić smycz.

Około piętnastu metrów od budynku biegła granica lasu. Podwórko otoczone było krzewami wydzielającymi mocny aromat, które tworzyły naturalną barierę oddzielającą siedlisko człowieka od świata przyrody. Wciąż gęsta mgła utrudniała dostrzeżenie czegokolwiek. Zwarte zarośla powstrzymały też strumienie napływającej z góry wody oraz pokruszonych gruzów. Creed niepokoił się, że w trawie pełno jest ostrych odłamków, które mogą pokaleczyć psie poduszki na łapach. Kiedy pod podeszwami jego butów zachrząściło szkło, z nerwów zrobiło mu się niedobrze.

Wtem Grace zatrzymała się w pół kroku. Jej uwagę przykuło coś, co utkwilo w pobliskim krzewie. Obejrzała się na opiekuna i usiadła.

Było to kolejny ewidentny znak, że coś znalazła.

Kiedy Creed podszedł bliżej, ujrzał kilka chusteczek higienicznych, które zatrzymały się na kolczastych gałęziach krzaków. Dla postronnego obserwatora stanowiłyby po prostu zwyczajne śmieci, jednak Grace wyraźnie dawała do zrozumienia, że rozpoznaje w nich ślady pani Hamlet.

Creed obejrzał się na dom. Na szczęście Vance nie pozwolił nikomu ruszyć za nimi. Pamiętał, że córka po powrocie z pracy zastała otwarte frontowe drzwi. Grupa poszukiwawcza całymi godzinami przeczesywała potem najbliższą okolicę. Przeszukano nawet las, który rozpościerał się po drugiej stronie drogi i zamykał zaułek. Zakładano, że w środku burzowej nocy sędziwa kobieta wyszła od frontu i ruszyła w las w poszukiwaniu córki, która spóźniała się do domu.

Poszukujący starali się wczuć w psychikę dotkniętej demencją staruszki i odgadnąć jej ruchy. Nawet gdyby poszukiwania rozpoczęli od podwórka na tyłach, na niewiele by się to zdało – ujrzeliby dokładnie to samo, co on teraz, czyli nic.

- Grzeczny pies - pochwalił Grace beznamytnym tonem. Celowo unikał wysokiego głosu sugerującego podniecenie, który zarezerwowany był dla pochwał, gdy pies odnalazł to, czego naprawdę szukali. Mimo to jednak Grace z nadzieją przeniosła spojrzenie na plecak, w którym czekała jej

ulubiona zabawka.

- Grace - powiedział, skupiając znowu na sobie jej uwagę. - Szukaj pani Hamlet!

Pies wstał i powąchał znalezione chusteczki. Po chwili jego spojrzenie powędrowało znów na opiekuna.

Chusteczki faktycznie mogły należeć do zaginionej, ale też wiatr mógł je tu przywiać skądkolwiek. Creed już podejrzewał, że brną w ślepą uliczkę, kiedy nagle Grace zaczęła energicznie poruszać nosem. Po chwili poczuł, jak smycz się napręża, gdy pies wyrwał do przodu. Kierowali się znów ku ścianie zarośli. Grace skręciła w prawo, szli teraz wzdłuż linii krzewów. W końcu zrobiła jeszcze jeden skręt w prawo i poprowadziła opiekuna z powrotem ku domowi. Nim jednak dotarli w jego pobliże, pies nagle stanął nieruchomo, wyprostował ogon i nadstawił uszu. Wysunięty do przodu nos łąpczywie wciągał powietrze. Po chwili Grace znów skręciła w prawo, lecz nie uszła daleko. Obeszła w koło jakieś miejsce, znów przystanęła. Jednak to nie był jeszcze koniec.

Po chwili ruszyła biegiem z powrotem w kierunku ściany zarośli. Gdy tam dotarli, odnalazła wąski przesmyk wśród krzewów, przez który bez trudu się prześlizgnęła. Ciągnięty na smyczy Creed nie miał tyle szczęścia - kolczaste gałęzie zahaczyły się o jego dżinsy i rozerwały w paru miejscach koszulę, nim zdołał się od nich uwolnić. Po drugiej stronie nie rosła już trawa, podłoże było za to błotniste i momentalnie poczuł, jak ślizgają się na nim buty. Zstępowali teraz ze zbocza i Creed z wielkim trudem zachowywał równowagę. Grace nie chciała ani na moment zwolnić kroku.

W ciągu kilku sekund znaleźli się w gęstym lesie, a korony drzew odcięły dopływ światła. Creed miał wrażenie, jakby mgła ożyła - snuła się między pniami niczym dym poruszany podmuchami wiatru. Owionęła go wilgoć, z gałęzi kapała woda. Zewsząd unosiła się obezwładniająca woń wilgotnej ziemi i sosnowych igieł. Grace wydawała się jednak pochłonięta zupełnie innymi zapachami, jej nos nie przestawał pracować.

Creed zerknął przez ramię, żeby zorientować się, jak daleko zaszli, ale ujrzał tylko zasłone mgły. Po ścianie krzewów oddzielającej las od podwórka za domem Hamletów nie pozostał żaden ślad. Wyczuwał, że Grace nadal prowadzi go na prawo, jednak teraz już delikatnie. Nie robiła gwałtownych skrętów, jak jeszcze niedawno na podwórzu. Powoli zaczynał się niepokoić,

że zapuszczają się za daleko w las. Dokuczał mu ból głowy, a dodatkowo dawała o sobie znać rana nad okiem. Tracił też zmysł orientacji.

Zamierzał przyciągnąć Grace do siebie i zrobić krótki postój w celu uzupełnienia płynów. Grace uprzedziła go jednak - przystanęła nagle, a następnie usiadła i spojrzała mu w oczy.

Serce łomotało mu w piersi jak szalone, oddech stał się urywany. Rozglądał się nerwowo na wszystkie strony - poszycie lasu tonęło w gęstej mgłę. Wytężał wzrok, jednak las wyglądał zwyczajnie - wkoło widać było drzewa, zwalone na ziemię konary, sterty ziemi, liści i sosnowych igieł, sięgające ud krzewy oraz porośla zwieszające się między pniami. Przeczesał wzrokiem wyższe partie, licząc, że dojrzy gdzieś zabłąkane wśród gałęzi chusteczki, fragmenty materiału, cokolwiek, co mogło niegdyś należeć do pani Hamlet.

Przez cały ten czas suczka wpatrywała się w niego intensywnie. Oczywiście psy tropiące podnosiły czasami fałszywe alarmy, jednak ulubienica Creeda dotychczas nigdy się nie myliła. W pewnym momencie zauważył, że wzrok Grace wędruje do jego plecaka. Najwyraźniej traciła cierpliwość i chciała już dostać do zabawy swojego słonika.

Creed rozejrzał się znowu, tym razem powoli przenosząc spojrzenie z miejsca na miejsce i uważnie sondując kolejne wycinki lasu. Pulsujący ból nad okiem sprawiał, że drżała mu powieka. Możliwe, że to w połączeniu z mgłą utrudniało mu dostrzeżenie jakiegoś istotnego szczegółu. Czuł na sobie baczne spojrzenie Grace.

Wtem pies wstał i jakby od niechcienia podszedł do sterty gruzu. Przypominała miejsce, gdzie ktoś regularnie pozbywał się śmieci. Porastały ją jakieś chwasty i dzikie wino. Pod spodem Creed dojrzał trochę tektury, starą poduszkę, puszki, butelki, zwój liny, przemoczone gazety oraz jakieś bliżej niezidentyfikowane stęchłe śmieci.

W miejscu tym musiało roić się od zapachów. A jednym z nich mogła być woń rozkładającego się ciała. Czy pod stertą śmieci kryło się ciało pani Hamlet?

Wtem coś poruszyło się pod tą stertą odpadków.

Creed odskoczył do tyłu, za to Grace zaczęła energicznie merdać ogonem. W pewnej chwili wsadziła nos w śmieci, a wtedy spod ich warstwy wydobyła się czyjaś ręka i poszukała psiej sierści.

Creed momentalnie rzucił się na kolana i zaczął odgarniać dłońmi odpadki. Grace tymczasem lizała brudne palce oswobodzonej dłoni. Po chwili jego oczom ukazała się głowa leżącej na boku kobiety. Była przeraźliwie brudna – twarz miała umazaną zaschniętym błotem, z włosów zwisały przyklejone śmieci. Jej ubranie przypominało łachmany i łatwo je było wziąć za część tej góry odpadków, w której ją odnalazł. Podobnie zresztą jak wątle, kościste ciało zaginionej.

Kobieta usiadła bez pomocy Creeda. Nie chciał niepotrzebnie jej przestraszyć dotykiem. Zamiast tego przypatrywał się tylko jej skórze w poszukiwaniu ran i krwi. Dokładnie obejrzał też jej ramiona i nogi, aby wykluczyć otwarte złamania.

- Jak się pani czuje, pani Hamlet?

Nie zabrzmiało to może zbyt mądrze. Jak mogła się czuć kobieta, która dwie ostatnie noce przespąła w stercie śmieci?

Jasnymi, zalęknionymi oczami spoglądała uparcie na Grace, podczas gdy jej zabłocone i poznaczone błękitnymi żyłami dłonie głaskały psa po grzbiecie. Głaskała go raz za razem, kierując się od głowy do ogona.

- Ależ z ciebie ślicznotka – powiedziała, na co Grace zamerdała jeszcze energiczniej ogonem. Najwyraźniej zapomniała nawet na chwilę o różowym słoniku.

Wtem kobieta przeniosła spojrzenie na Creeda, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie jego obecność.

- Dłużej żeś się nie mógł guzdrać?

Daniel Tate leżał na brzuchu i obserwował teren przed sobą. Znajdował się w kanale wentylacyjnym, wypełnionym teraz pogiętym żelastwem. Dumą napełniała go myśl, jak cicho umiał się poruszać w ciemności. Gogle z noktowizorem dawały mu przewagę nad intruzem, który musiał się zdać na światło zapewniane przez latarkę stroboskopową. Tylko raz metal zatrzeszczał pod ciężarem ciała Tate'a. Przestraszył się wtedy, że szyb wentylacyjny go nie utrzyma i runie na dół. Astronauta na dole nie przejął się hałasem. Zerknął tylko na górę, po czym skupił się z powrotem na swym zadaniu.

Kiedy Tate pierwszy raz zobaczył jego wielki biały skafander, do głowy natychmiast przyszło mu, że patrzy na astronautę. Twarz mężczyzny kryły kaptur i przeszklona kłapa przednia, stopy ginęły w czarnych gumowych buciorach, a dłonie w takich samych rękawicach. Tate wiedział jednak, że patrzy na kombinezon do pracy z substancjami niebezpiecznymi.

Kiedy udawało mu się odsunąć paranoiczne myśli i stłumić niepokój, zdołał nawet wyobrazić sobie, że intruz nie przybył tu z misją zgładzenia go. W gruncie rzeczy wydawał się bardziej skupiony na uszkodzonej podczas lawiny metalowej szafce i czarnej walizeczce, którą odnalazł pośród gruzu.

Astronauta położył latarkę na stercie odłamków, tak by przyświecała mu podczas pracy. Następnie otworzył zamek szyfrowy w metalowej szafce, wsunął do niej dłoń i po chwili odnalazł chyba to, czego szukał. Na koniec skupił się na czarnej walizece.

Próbował kilkakrotnie ją unieść, ale była za ciężka. Spróbował też przeciągnąć ją za sobą po podłodze, jednak posadzka zawalona była gruzem. Zdołał przesunąć ją o pół metra, po czym walizka ugrzęzła w rumowisku.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Tate widział cyfry na wyświetlaczu umieszczonym z boku walizki. Obok miarowo migała też czerwona lampka, sprawiająca wrażenie, jakby walizka miała puls. Astronauta przez chwilę majstrował coś przy wyświetlaczu, w końcu rozległ się głośny trzask, lampka zaświeciła się na zielono i wieko ustąpiło.

Tate miał ochotę zmienić nieco pozycję. Był cały mokry od potu, w metalowym przewodzie wentylacyjnym panował zaduch. Bardzo chciał zobaczyć to, do czego dostał się mężczyzna w skafandrze. Ten jednak nie

tracił czasu - momentalnie wziął coś z wnętrza walizki i umieścił to w przyniesionym przez siebie pojemniku, po czym go zamknął. Na ściankach obu zbiorników rozbłysły czerwone lampki. Pulsowały w tym samym rytmie, przez co wydawały się częścią tego samego żywego organizmu.

A potem facet w kombinezonie zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego. Odłożył na bok drugi pojemnik, następnie przewrócił na niego metalową szafę, z której wysypała się zawartość. Rozległ się dźwięk trących o siebie metalowych powierzchni i trzask tłuczonego szkła. Po chwili walizka została pogrzebana pod potrzaskanymi odłamkami.

Wyraźnie zadowolony z wykonanego zadania mężczyzna zrobił ręką gest, jakby ocierał pot ze schowanego pod kaskiem czoła. Następnie podniósł latarkę i skierował się w stronę, z której przyszedł.

Tate odprowadził go wzrokiem, gdy klucząc, przemierzał tunel, by w końcu zniknąć za rogiem. Odczekał potem długą chwilę. Chciał się upewnić, że przybysz nie zawróci. Kiedy uznał, że nic mu już nie grozi, spróbował wydostać się z szybu. I właśnie wtedy usłyszał pod sobą kolejny zgrzyt metalu.

Momentalnie wycofał się do szybu i omiótł wzrokiem salę niżej. Noktowizor pokazywał świat skąpany w dziwnej zieloności. W końcu zrozumiał, co spowodowało hałas. Z przewróconej na bok szafy wypadł duży zbiornik i roztrzaskał się na podłodze.

Zanim jeszcze dojrzał jego zawartość, usłyszał niskie brzęczenie. W miejscu uderzenia podłoga pokryła się ciemnymi punkcikami, które w pewnym momencie ożyły, błyskawicznie uniosły się w powietrze, zbiły w wielki kłęb i zaczęły się poruszać w skoordynowany sposób. Nad podłogą przemieszczał się teraz ciemny rój. Brzęczenie narastało, gdy rój poruszał się to w jedną stronę, to w drugą, jakby poszukiwał drogi ucieczki.

Kiedy rój mijał jego kryjówkę, Tate odruchowo zaszył się głębiej w przewodzie wentylacyjnym. Nim rój przepadł w ciemności, zdołał rozpoznać dźwięk, jaki wydawał, i przyjrzeć się owadom. Nie mieściło mu się w głowie, po jaką cholere ktoś miałby trzymać rój komarów zamknięty w szafce laboratoryjnej.

- Minęło już sporo czasu, odkąd musiałam odkopywać jakieś ciało - stęknęła doktor Gunther, zwracając się do Maggie O'Dell.

Obie klęczały i z najwyższą ostrożnością nabierały dłońmi ziemię. Kiedy jeden worek się zapełniał, Ross wraz z drugim gwardzistą podawali kobietom następny, a sami szli na tyły. Tam oddawali się zmuśnionej robocie przeczyszczenia przyniesionego błota. Liczono, że w ten sposób natrafią na coś, co może posłużyć jako materiał dowodowy. O'Dell nie miała jednak złudzeń - niezależnie od tego, jak nastąpiła śmierć - czy doszło do morderstwa, czy też nie - obsunięcia terenu zazwyczaj unicestwiały wszelkie dowody.

- Pewnie była pani zaskoczona, gdy pan Logan poprosił panią o udział w tym projekcie - zagadnęła O'Dell.

Z trudem powstrzymała się przed zadaniem tego pytania bardziej wprost: skąd, u diabła, wzięła się na terenie, gdzie prowadzona jest tajna misja? Gunther musiała jednak wyczuć coś w tonie, bo posłała jej zdenerwowane spojrzenie.

- To nie Logan mnie tu przysłał - rzekła. - Nawet nie znam go osobiście. Wiele lat temu pracowałam za to z jego szefem.

O'Dell skinęła głową - mniej więcej tego właśnie się spodziewała. W gruncie rzeczy nie różniło się to zbytnio od jej sytuacji i prośby Bena, by zaangażowała się w tę sprawę. Chodziło zapewne o to samo - oddawanie przysług, spłacanie długów zaciągniętych przed laty. Zabawne, jak niewiele różni taką przysługę od zemsty.

- Pani przygotowanie w dziedzinie medycyny sądowej... - zaczęła Gunther, ale umilkła i po chwili ubrała myśli w inne słowa. - Domyślam się, że pracuje pani dla FBI. Ale widzę też, że ma pani duże doświadczenie przy wydobywaniu ciał.

O'Dell zawahała się przez moment - zastanawiała się, czy powinna udzielić krótkiej i dyplomatycznej odpowiedzi. W ciągu ostatnich lat jakimś cudem przyłgnęła do niej etykieta wybitnej ekspertki w dziedzinie zachowań kryminalnych, specjalizującej się w sprawach związanych z ćwiartowaniem zwłok i zabójstwami o charakterze rytualnym. Pracowała przy morderstwach, które często okazywały się dziełem seryjnych zabójców.

Pani doktor jednak chciała tylko wiedzieć, dlaczego O'Dell została zaangażowana do tej sprawy.

- Kiedy ktoś zawodowo zajmuje się ściganiem zabójców, prędzej czy później styka się z bliska z ich dziełami.

- Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś założył, że ten człowiek nie padł ofiarą lawiny błotnej - powiedziała Gunther, wycierając ściereczką twarz i ramię denata. Starła się przy tym zachować taki nacisk, by pozbyć się błota, równocześnie nie naruszając tkanki skórnej. - W ciele dają się zauważyć jedynie niewielkie zmiany wskazujące na rozkład.

- Błoto znacznie spowalnia procesy gnilne.

Nagle lekarka sięgnęła po latarkę.

- To ciekawe.

Włączyła ją, jednak zamiast skierować snop światła na ramię, nakierowała go wyżej, gdzie coś przykuło jej uwagę. Powoli przesunęła światło po odsłoniętej części głowy mężczyzny. Kobiety mogły widzieć jego twarz tylko z boku. Połowa twarzy nadal zagrzebana była w rozmokłej ziemi.

Kiedy Gunther poświeciła latarką, na skórze ogolonej głowy denata ukazały się koliste wgłębienia. Trzy okręgi były nieco jaśniejsze niż reszta skóry, jakby nasączono je jakąś tłustą substancją, która nie pozwalała przylgnąć w tych miejscach brudowi.

O'Dell czekała, aż doktor Gunther przedstawi jakąś teorię, jednak lekarka milczała. O'Dell domyślała się jednak, że ślady na skórze to pamiątka po podłączonych do głowy zmarłego elektrodach. Zastanawiała się, czy włosy ogolono specjalnie z myślą o przeprowadzeniu jakiegoś rodzaju badania neurologicznego.

Lekarka nadal się nie odzywała i w końcu O'Dell zerknęła na nią z zaciekawieniem. Dostrzegła, że czoło kobiety przecina teraz pionowa bruzda, a wąskie usta są zaciśnięte. Gunther bez słowa skierowała snop światła z powrotem na ramię i zaczęła delikatnie zdrapywać pokrywające je błoto. Teraz w jej ruchach dało się wyczuć pewne wahanie. W miarę jak odsłaniało się przed nimi ciało zabitego, pracowała coraz wolniej.

Zanim jeszcze lekarka skupiła uwagę na głowie ofiary, O'Dell dostrzegła częściowo już widoczny tatuaż na jego ramieniu. Zgodnie z jej przewidywaniami spod warstwy błota wyłonił się rysunek żółtego orlego dzioba. Uytuowane nad nim litery układały się w napis: *U.S. Airborne*.

Tatuaże często okazywały się niezwykle pomocne przy identyfikacji ciał. Tusz wnikał na tyle głęboko w skórę, że nawet gdy rozkład naruszył naskórek, tatuaż był nadal świetnie widoczny. Wytatuowany orzeł wskazywał, że ofiara służyła w wojsku.

Nagle doktor Gunther zamarła na chwilę, po czym znów chwyciła latarkę. Jej zachowanie zdradzało teraz zaskakującą nerwowość. Nadal jednak nie odzywała się słowem, co stopniowo zaczynało irytować O'Dell. Czyżby lekarka nie dzieliła się z nią swymi przypuszczeniami, ponieważ O'Dell, jako agentka FBI, była dla niej osobą z zewnątrz?

- Co tam pani znalazła? - spytała w końcu.

W tej samej jednak chwili zrozumiała, co przykuło uwagę lekarki. W niższej części ramienia ofiary, niedaleko łokcia, na skórze widniały bąble. Spomiędzy nich wyzierały czerwono-brązowe pasma.

- To ślady po oparzeniach? - zainteresowała się O'Dell.

- Zapewne po oparzeniach chemicznych - potwierdziła Gunther, spoglądając na rozmówczynię.

O'Dell omiotła wzrokiem teren wokół namiotu o przezroczystych ścianach. Czy wyczułyby chemikalia, gdyby powietrze nadal było skażone? I dlaczego, u diabła, nikt ich nie ostrzegł, że mogą mieć tu do czynienia z wyciekami niebezpiecznych substancji?

- Myśli pani, że może mieć to jakiś związek ze zniszczeniami na skutek obsunięcia terenu?

- Nie, nie wydaje mi się - odparła lekarka, potrząsając głową. - Wygląda to, jakby raczej ktoś celowo naraził tego mężczyznę na kontakt z niebezpieczną substancją, aby wyrządzić mu krzywdę. Najprawdopodobniej było to coś toksycznego.

- Czy przypadkiem nie powinniśmy mieć na sobie kombinezonów do pracy z substancjami niebezpiecznymi?

Gunther znów potrząsnęła głową bez słowa. Wyłączyła latarkę i z wysiłkiem podniosła się z kolan. Otrzepała ziemię ze spodni, po czym spojrzała na agentkę. I właśnie wtedy O'Dell dojrzała w jej spojrzeniu coś nowego - z szarych oczu pani doktor prócz wściekłości wyzierał teraz lęk.

- O co chodzi? Co pani myśli o tym wszystkim? - dopytywała O'Dell.

Lekarka zajęta już była pakowaniem swojego sprzętu. W końcu jednak uniosła głowę i odparła:

- Uważam, że młodzi panowie, którzy nam towarzyszą, powinni dołożyć wszelkich starań, by możliwie delikatnie wydobyć to ciało z ziemi i w coś zawinąć. Zanim przyjrę się temu biedakowi dokładniej, muszę lepiej go oczyścić. A do tego potrzebuję znośniejszych warunków pracy niż dziura w ziemi.

- A co z dotykaniem go? Czy powinniśmy się obawiać kontaktu z jego ciałem?

Lekarka przez chwilę coś rozważała, w końcu jednak wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może powinnaś zadać to pytanie temu swojemu Loganowi.

- Wypraszam sobie - odwróciła natychmiast O'Dell, dając się ponieść złości. Chciała wytłumaczyć tej kobiecie, że nigdy się z nim nie spotkała ani nawet nie zamieniła słowa. Szybko jednak zreflektowała się, że dla doktor Gunther i tak nie miałyby to żadnego znaczenia. Dlatego spytała po prostu: - A co z ciałem, które znajduje się pod wodą?

- Niech je też wydobędą i zawiną.

- Tak po prostu?

- To nie jest miejsce zbrodni - wyjaśniła lekarka. - Cokolwiek spotkało tych nieszczęśników, nie wydarzyło się tutaj.

- A może powie mi pani przynajmniej, gdzie ten mężczyzna mógł nabawić się tak paskudnych oparzeń?

- Może będę mogła podać pani więcej szczegółów, kiedy dokładniej go zbadam - zapowiedziała, wskazując na prowizoryczne schronienie, w jakim się znajdowały. - Tutaj to niemożliwe.

Zanim O'Dell zdążyła zgłosić jakieś zastrzeżenia, Gunther połączyła się z Rossem i wyjaśniła mu, jakie ma podjąć kroki. Tym razem nie próbowała nawet uzgadniać tego z agentką. Najwyraźniej widok tych dziwnych ran napędził jej sporego stracha. O'Dell wiedziała, że nie doczeka się teraz żadnych odpowiedzi.

Gunther kończyła pakować swój sprzęt, jej drobne dłonie co chwilę znikwały w licznych kieszonkach torby. W końcu bez słowa pożegnania wyszła na ścieżkę, którą niedawno doszły do namiotu. Tym razem pozwoliła, by pod rękę ujął ją jeden z gwardzistów. Kiedy O'Dell odprowadzała ją wzrokiem, zauważyła, że starsza kobieta utyka bardziej niż przedtem, jakby

w pośpiechu przestała przywiązywać wagę do ukrywania swego inwalidztwa.

W momencie gdy lekarka oddalała się, znikając za zasłoną mgły, O'Dell dostrzegła kształt jakiegoś mężczyzny wspinającego się w górę zbocza. Po chwili dojrzała też, że u jego boku podąża pies. A w następnej sekundzie poczuła, jak przepełnia ją dziwne i nieco irytujące podniecenie. Kiedy jednak mężczyzna podszedł bliżej, zobaczyła, jak na wietrze powiewa luźny prawy rękaw jego kurtki. Facet z psem, który przed nią stanął, nie był Ryderem Creedem.

34.

- Jak się czuje Ryder? - O'Dell spytała Jasona, głaszcząc Bola. - Słyszałam, że został wczoraj porwany przez lawinę.

- Było, jak pani mówi. Przysypało go porządnie. Wszyscy myśleli, że już po nim - wyjaśnił Jason, jednak mimo wysiłków O'Dell, by nie okazywać żadnych uczuć, musiał dojrzeć w jej twarzy nagły niepokój, bo szybko dodał: - Wygląda, jakby wpadł pod pociąg. Złamał sobie chyba kilka żeber. Ale poza tym wszystko z nim w porządku. Razem z Grace pojechali w inny rejon katastrofy, żeby poszukać staruszki, która zgubiła się podczas burzy.

O'Dell wróciła myślami do doktor Gunther. Czyżby sprawa, w którą się tutaj mierzyły, po prostu ją przerastała?

- Wygląda na to, że na razie jesteś skazany na towarzystwo Bola i moje - powiedziała.

O'Dell pracowała z Jasonem i Creedem zaledwie miesiąc wcześniej, gdy musieli odszukać miejsce zbrodni w leśnej głuszy na terenie Alabamy. Zdążyła się przekonać, że młody weteran był zdolnym chłopakiem, choć wciąż miał przed sobą sporo nauki. Jeśli Loganowi zależało na najlepszych zawodowcach, powinien sam zjawić się na miejscu i nadzorować akcję. O'Dell wiedziała, że teraz musi się zadowolić tym, co ma.

Pod palcami wyczuwała sprężyste, mocne mięśnie Bola. Miała okazję obserwować go w akcji, i wiedziała, że ten pies jest w stanie wychwycić zapach nawet nad wodą. A mimo to łapała się na tym, że spogląda na ścieżkę, którą nadszedł Jason, i czuje rozczarowanie. Nie chodziło o to, czy będzie mogła liczyć na pomoc wybitnego specjalisty w danej dziedzinie. Powód był inny - sama myśl, że ujrzy Rydera Creeda, sprawiała, że krew poczynała szybciej krążyć w żyłach.

W sprawach sercowych stała się niezwykle wstrzemięźliwa. Po rozwodzie obiecała sobie raz na zawsze: żadnych więcej romantycznych poplątanych sytuacji. Właśnie tak myślała o romansach - skomplikowane relacje, które dławiliły i wysysały z niej życie. Z Benem było zresztą podobnie, częściej czuła ulgę, że nie są „parą”, niż tęsknotę za nim.

Jednak Ryder Creed budził w niej uczucia, o których wolała zapomnieć. Całowali się dwukrotnie - pierwszy raz pocałował ją z zaskoczenia, ale przy drugim pocałunku dorównywała mu zaangażowaniem. Nie chodziło jednak

tylko o fizyczny pociąg - istniała między nimi jakaś dziwna więź, której nie umiała w żaden sposób wyjaśnić. Nie dawała spokoju, a równocześnie podniecała. Na razie udawało jej się nie angażować, jakby w obawie, że wywołałoby to spięcie i nieuchronny szok porównywalny z porażeniem elektrycznym.

Zaprowadziła Jasona do Rossa. Gwardzista znajdował się pod namiotem, nadal zajęty odkopywaniem ciała. Jeden z jego kolegów odprowadzał doktor Gunther, pozostałych dwóch wyjechało, żeby załatwić sprzęt, którego mieli wkrótce potrzebować.

Z góry nadal toczył się wzburzony strumień, żłobiąc coraz szersze koryto. Woda, gęsta od błota, niosła ze sobą kamienie i kawały potrzaskanych betonowych murów, a mimo to nurt był rwący. Nie dało się przewidzieć, jak długo jeszcze będzie płynąć ani czy utworzy teraz nowy odpływ rzeki, której koryto biegło w wyższych partiach góry.

O'Dell stała obok Jasona i Bola, bez słowa przypatrując się okolicy. Nagle uświadomiła sobie, że nie miała prawa oczekiwać od psa, iż wywęszy ciało pogrzebane głęboko pod wodą. Mogli zapomnieć o wydobyciu czegokolwiek z terenu zalewowego, chyba że udałoby im się skierować strumień w inną stronę.

Długie milczenie przerwał w końcu Jason.

- Jedną z rzeczy, jakich nauczył mnie pan Creed, jest zasada, by nigdy nie narażać psa na niebezpieczeństwo.

Jakby na przekór słowom opiekuna, Bolo uniósł w tej samej chwili nos i zaczął węszyc.

- Czy to możliwe, żeby odnalazł trop? Czy może wyczuwa tylko ciało w namiocie? - spytała O'Dell, choć stali plecami zwrócenii do namiotu, a Bolo wyraźnie wciągał w nozdrza powietrze dochodzące od strony wody.

- O ile dobrze rozumiem, cała ta woda, która napływa w naszą stronę, może nieść ludzkie zapachy - oznajmił Jason, spoglądając na O'Dell, po czym dodał: - Zapewne wie pani, że obsunięcie terenu może doprowadzić do rozczłonkowania ciała.

Nie wiedziała. Tylko raz pracowała na miejscu klęski żywiołowej, gdy przyszło jej ścigać zabójcę podczas huraganu. Teraz miała przecież tylko wyświadczyć przysługę znajomemu. Przyjechać na miejsce i sprawdzić, czy wszystko gra.

- Dla psa akcje w takich miejscach są szczególnie wymagające - wyjaśnił Jason. - Na skutek obsunięć terenu często dochodzi do odsłonięcia ludzkich szczątków na cmentarzach, a Bolo był szkolony zarówno do akcji ratunkowych, jak i szukania ciał. Od jak dawna ci ludzie są martwi?

- Człowiek, którego zwłoki zaczęliśmy odkopywać, zapewne nie żyje od niespełna tygodnia. Ale to tylko moje przypuszczenia. Kiedy wspinałeś się do nas, musiałeś minąć lekarza medycyny sądowej. Uznała, że nie zostanie tu dłużej.

Po ustach Jasona przemknął nieznaczny uśmiech.

- Wcale mnie to nie dziwi. System medycyny sądowej stanu Karolina Północna może dać w kość.

- Co masz na myśli?

- Kilka miesięcy temu w wypadku samochodowym zginął mój kumpel. Ustalono, że stracił panowanie nad pojazdem i runął do rowu. Nie zapiął pasów bezpieczeństwa. Wszystko się zgadza, prawda? Wypadek na drodze, sprawa wyjaśniona. Dopiero dyrektor zakładu pogrzebowego przyjrzał się ciału dokładniej - na plecach odnalazł cztery rany klute. Jedna z nich była na tyle głęboka, że narzędzie przebiło płuco.

Tęgo rodzaju sprawy zawsze przyprawiały ją o mdłości, jednak dochodziło do nich wszędzie.

- Ludzie popełniają błędy - zauważyła ostrożnie.

- „Charlotte Observer” przeprowadził śledztwo dziennikarskie, dokopano się do nowych faktów. Przesłuchali mnie, ponieważ byłem jednym z ostatnich, z którymi się widział przed śmiercią. Aresztowano jego żonę, choć wcześniej nie słyszałem, by kiedykolwiek powiedział coś złego na jej temat.

- Nie wydaje mi się, by doktor Gunther podchodziła lekko do swoich obowiązków.

- Może ma pani rację. Proszę mi przypomnieć, kiedy zginął ten człowiek, którego ciało jest w namiocie.

- To tylko moje przypuszczenie, ale na pewno mniej niż tydzień temu.

- I raczej nie z powodu obsunięcia terenu, prawda?

Nie chciała na razie wypowiadać na głos tej diagnozy.

- Nie jestem pewna.

- Jeśli zatem ludzie ci nie zginęli podczas lawiny błotnej, skąd w takim

razie wzięły się ciała?

Przeczesała palcami włosy wilgotne od mgły. Nie mogła z całą pewnością stwierdzić, że mężczyzna znajdował się w ośrodku badawczym, opierając się tylko na przesłance, iż znaleziono tam zamordowanego naukowca. Przecież Ross wyjaśnił jej, że na skutek pierwszego obsunięcia różne obiekty mogły zmienić położenie i zostać zawleczone nawet półtora kilometra dalej.

A nawet jeśli ten facet faktycznie znajdował się na terenie placówki badawczej, i tak nie miała jak ustalić, czy on również padł ofiarą zabójstwa. Poza tym morderca nie mógł przewidzieć wystąpienia obsunięć terenu i liczyć, że zwłoki zamordowanych zostaną w efekcie potraktowane jako ciała ofiar klęski żywiołowej. O'Dell rozważała inny scenariusz - czy to możliwe, by naukowiec został zabity na skutek jakiejś spontanicznej reakcji na katastrofę? Czyżby zabójca wykorzystał chaos, jaki rozpętał się, gdy ruszyły lawiny błotne? Chroniąc w ten sposób coś lub kogoś?

- Jestem tutaj, żeby się tego dowiedzieć - odparła w końcu, zwracając się do Jasona.

Powoli jednak zaczynało do niej docierać, że Benjamin Platt winien jest jej parę słów wyjaśnienia.

O'Dell spodziewała się, że nagra się Benowi na skrzynkę. Dlatego kiedy odebrał po trzecim sygnale, była całkowicie zaskoczona.

- Maggie, nic ci nie jest? Widziałem przed chwilą najnowszą prognozę pogody i myślałem o tobie.

- Słuchaj, Ben, jeśli dotychczas zatajałeś przede mną jakieś informacje na temat tych zabitych, teraz jest dobry moment, żeby się nimi podzielić.

Stała po kostki w błocie, mgła zdążyła ustąpić i czuła na ciele smagnięcia chłodnego wiatru. Gdyby zależało jej na przesłuchaniu doniesień pogodowych, na pewno nie dzwoniłaby do Bena. Owszem, zaczynał ją odrobinę niecierpliwic. I była przy tym nieco wkurzona.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem. Co się dzieje?

- Jedno z ciał nadal tkwi w błocie. Drugie zatopione jest wśród progów górskiego strumienia. Jak dla mnie niezbyt przypomina to sytuację, w której wysyła się kogoś na miejsce, „by po prostu sprawdził, jak się sprawy mają”.

- Odczekała chwilę, by jej słowa odniosły zamierzony skutek, po czym dorzuciła: - I uważam, że wiedziałeś o tym od samego początku.

Z drugiej strony zapadła cisza. Czy poczuł się urażony jej oskarżeniami, czy może czuł wyrzuty sumienia, że posłał ją tam, nie tłumacząc, w co tak naprawdę się pakuje?

- Zobaczę, co da się ustalić - odparł w końcu, a nim zdążyła zareagować złością na tę wymijającą odpowiedź, spytał: - Jak się czujesz?

Pytanie zadane było szczerym, przejętym tonem. Tak brzmiał głos zaniepokojonego przyjaciela.

- Ben, nie lubię, gdy każe mi się działać po omacku. - Mówiła teraz nieco mniej napastliwym głosem, jednak wiedziała, że jej złość nadal jest wyraźnie wyczuwalna.

- Zrozumiano.

- Dlaczego nie ma tu Logana?

- Jak to? Nie dołączył do ciebie? - Tym razem to Ben nie umiał ukryć zdziwienia.

- Od dłuższego czasu przebywam na terenie operacji i dotąd go nie widziałam.

Znów ta cisza. Tym razem odsunęła komórkę od ucha i sprawdziła, czy

przypadkiem nie straciła zasięgu. Na wyświetlaczu widać było jedną kreskę. Więc może połączenie zostało przerwane. Ponownie zbliżyła telefon do ucha i czekała.

- Dowiem się, o co chodzi. Na pewno coś zatrzymało Logana. Skontaktuję się z tobą, jak tylko się czegoś dowiem.

Miała już wcisnąć klawisz kończący połączenie, gdy usłyszała, jak Ben mówi:

- Maggie.

Podniosła szybko komórkę do ucha, mimo woli wstrzymała oddech.

- Słucham?

- Uważaj na siebie, dobra?

Tylko tyle? Dlaczego spodziewała się, że usłyszy coś innego? Coś w stylu „kocham cię”?

- Jasne - odparła, przewracając oczami.

To „jasne” brzmiało równie beznadziejnie jak jego prośba. Co, do cholery, było z nimi nie tak? Czyżby oboje byli aż tak wycofani, tak emocjonalnie poturbowani, że nie ważyli się choćby na chwilę obnażyć przed sobą prawdziwych uczuć?

Wsunęła komórkę do kieszeni, na samo dno, jakby chciała w ten sposób ją pogrzebać. Jason z Bolem zdążyli odejść niemal trzysta metrów dalej, posuwali się wzdłuż strumienia, przeszukując teren przy brzegu. Jason stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Wielkie psisko poruszało szybko ogonem to w jedną stronę, to w drugą.

Czyżby coś znaleźli?

O'Dell ruszyła ku nim, czując, jak gdzieś na dnie pustego żołądka mości się strach. W pewnym momencie dojrzał ją Ross i obejrzał się, by sprawdzić, co przykuło jej uwagę. Po chwili powiedział coś swojemu koledze i wyszedł z namiotu. Następnie zaczął się wspinać pod górę, po linii przekątnej względem kierunku marszu O'Dell.

Gdy Jason uniósł spojrzenie i napotkał utkwiony w sobie wzrok O'Dell, sięgnął szybko do kieszeni, jakby nagle przypomniał sobie, że musi czym prędzej dać psu jego sznurową zabawkę. Psy zawsze oczekiwały nagrody. O'Dell nieraz widziała, jak Creed nagradzał czworonożnego pomocnika, upewniwszy się tylko, że to nie fałszywy alarm. Wyraz twarzy Jasona nie pozostawiał złudzeń - to na pewno nie był fałszywy alarm. Kiedy jednak

zbliżyła się do nich, nadal nie mogła się zorientować, co właściwie znaleźli.

Jason rzucił zabawkę, a Bolo chwycił ją w pysk i zaczął paradować dumnym krokiem, zachwycony nagrodą. O'Dell i Ross dotarli do miejsca, gdzie stał Jason, w tym samym momencie. Oboje przystanęli około metra od niego i wpatrzyli się w ziemię.

Pod nogami mieli kłębowisko porośli i mokrych liści. O'Dell spodziewała się, że zaraz ujrzy kolejne, częściowo zagrzebane w ziemi ciało. Coś porównywalnego z tym, nad którym rozbili namiot - z twarzą skrytą częściowo w błocie. Jednak tego znaleziska nie skrywała już ziemia, pokrywało je tylko trochę splątanych roślin i liści.

Dłoń została odcięta tuż za linią nadgarstka, a palce wciąż zaciskały się w pięść. Wyglądało to niemal, jakby właściciel dłoni chwycił się czegoś kurczowo, a po chwili został odepchnięty pod wpływem jakiejś gigantycznej siły. Albo po prostu dostał się w porywisty nurt.

O'Dell zerknęła na Jasona, który pobladł, jednak jego spojrzenie nadal było skupione. Nagle przypomniała sobie o jego pustym rękawie i poczuła, jak robi się jej gorąco.

- W porządku? - spytała.

- Widywałem gorsze rzeczy - zapewnił chłopak, po czym wytrzymał spojrzenie Rossa, gdy ten w końcu zrozumiał, o czym pomyślała O'Dell.

Nie zamierzała utrudniać mu tej sytuacji i szybko zmieniła temat.

- Czy to ślady po zębach? - spytała, kucając nad oderwaną dłonią.

Obaj mężczyźni podążyli jej śladem, choć nieco mniej ochoczo i z większym ociąganiem. O'Dell zdążyła wyciągnąć z kieszeni komórkę i zrobić kilka zdjęć.

- W Karolinie Północnej roi się od kojotów - odezwał się Ross.

O'Dell schowała komórkę do kieszeni wiatrówki, a z innej wyciągnęła parę lateksowych rękawiczek.

- I pewnie patrzymy właśnie na ślady ich uctowania, prawda, panowie? - powiedziała.

Chronionym przez lateks palcem wskazującym dotknęła zagłębienia na wierzchu dłoni. Faktycznie przypominały ślady, jakie zostawiają po sobie zwierzęce kły.

- Ale czy kojot umiałby oderwać dłoń od reszty ramienia? - zainteresował się Jason.

Miejsce, w którym urywała się dłoń, pokrywały strupy zaschniętej krwi i ziemia, przez co O'Dell nie mogła dokładnie się mu przyjrzeć. Jedno nie ulegało jednak wątpliwości - dłoń nie została odcięta od ręki za sprawą pojedynczego czystego ciosu.

- Wspomniałeś wcześniej, że obsunięcia terenu mogą rozerwać ciało na kawałki - przypomniała Jasonowi.

- Tutaj wygląda to, jakby ten biedak walcząc o życie, uczeplił się czegoś kurczowo.

Nie zamierzała spierać się z tym spostrzeżeniem.

- Kojoty nie żywią się świeżym mięsem - zauważył Ross.

- Słucham? - O'Dell pomyślała, że może się przesłyszała.

- Zwykle zostawiają ofiarę na szereg dni, czasami nawet do tygodnia.

Pozwalają jej dojrzeć, zapewne zepsute mięso łatwiej im potem strawić. Pewnie dlatego porzuciły tutaj tę dłoń.

Potwierdzało to przypuszczenia O'Dell - cokolwiek spotkało tych mężczyzn, musiało mieć miejsce jeszcze przed katastrofą.

Waszyngton

- Panie Sadowski. - Z sali konferencyjnej wynurzyła się młoda kobieta i ruszyła ku miejscu, gdzie w milczeniu siedzieli Frankie i jego córka.

Przez całe popołudnie nikt się nimi nie zainteresował. Czas ten spędzili na oczekiwaniu, raz tylko posilając się kilkoma kanapkami i niezbyt smaczną kawą.

- Bardzo mi przykro, ale dzisiaj nie uda się wysłuchać pana zeznań.

- Jak to? - zachnęła się Susan. - Przecież czekamy tu cały dzień.

- Wiem. Zeznania niektórych ekspertów zajęły więcej czasu, niż zakładano. Zapewne będzie mógł pan złożyć zeznania jutro z samego rana.

- Na pewno? - Susan była bardziej poirytowana od Frankiego, który z całego serca żałował, że zabrał ją ze sobą i skłonił, by marnowała swój czas. - Jeśli do południa nikt nas nie wysłucha...

- Proszę się nie obawiać. Jestem przekonana, że pani ojciec będzie mógł wystąpić przed komisją w godzinach porannych.

- Ale oczywiście nie jako pierwszy, prawda?

Podczas gdy jego córka sprzeczała się z urzędniczką, Frankie obserwował senatorów i inne osoby wysypujące się z pomieszczenia, w którym odbywało się przesłuchanie.

- Zaraz wracam - zwrócił się do Susan i podszedł w stronę tłumu.

Wiedział, że w komisji zasiada senator reprezentująca stan, z którego pochodził. Jako ochotnik wstąpił nawet do jej sztabu wyborczego, gdy ubiegała się o reelekcję. Kilka lat temu przedstawiono go jej podczas spotkania przedwyborczego w Pensacoli, ale nie oczekiwał, że pani senator będzie go pamiętać.

- Pani senator Delanor! - zawołał, gdy wyłoniła się z sali konferencyjnej.

Ruszył ku niej niespiesznym krokiem, z kapeluszem w dłoni. Uśmiechnęła się na jego widok, jednak wyraz jej twarzy zdradzał, że siłą woli powstrzymuje się przed kontynuowaniem marszu korytarzem. Musiała przecież wiedzieć, że Frankie nie stanowił zagrożenia - aby dostać się do tej części budynku, każdy miał obowiązek poddać się dokładnym oględzinom.

- Nazywam się Frankie Sadowski - przedstawił się, wyciągając do niej rękę. - Pochodzę z Pensacoli.

Pani senator uściśnęła mu dłoń, jednak jej oczy ani na chwilę nie przestały wypatrywać czegoś w oddali, jakby spodziewała się, że ktoś ją wyratuje od natręta albo że pojawi się jakiś pretekst, by szybko go pożegnać.

- W lipcu odpisała pani na mój list - powiedział Frankie. - Zachęcała mnie pani do złożenia zeznań.

Szukał jakiegoś znaku w wyrazie jej twarzy, który podpowiedziałyby mu, że faktycznie go rozpoznała. Na próżno. Poczuł się zażenowany. Czyżby list był dziełem jednego z pracowników jej sztabu, po czym trafił na biurko, jak cała sterta różnych dokumentów oczekujących tylko jej podpisu?

- Cieszę się, że pan przybył - odparła. - Komisja bez wątpienia powinna wysłuchać historii takich jak pańska.

- Pani senator Delanor! - zawołał ktoś zza pleców Frankiego. - Ktoś na panią czeka.

Zanim udało jej się opanować emocje, Frankie dojrzał na twarzy senator wyraz ulgi.

- Muszę pana przeprosić - odezwała się, po czym umilkła na chwilę, próbując chyba sobie przypomnieć jego imię. W końcu jednak uznała, że nie będzie to konieczne. - Nie mogę się doczekać pańskiego jutrzejszego wystąpienia.

Frankie odprowadził ją wzrokiem, gdy podeszła do modnie ostrzyżonego mężczyzny, który oczekiwał na nią z kilkoma listami w jednej dłoni i dużym kubkiem kawy w drugiej. Sprawiał wrażenie jednego z pracowników jej sztabu. Zwracała się do niego per Carter. Przy jego uchu wisiała słuchawka, dzięki której mógł rozmawiać przez telefon, nie zajmując sobie rąk. Ani na chwilę nie zamykał ust. Wyglądało to tak, jakby nie tracąc czasu, zdawał pani senator relację z wielu różnych wydarzeń ostatnich godzin.

Frankie ruszył już z powrotem w kierunku córki, gdy jego uwagę przykuło dwóch mężczyzn w galowych mundurach marynarki wojennej, którzy opuszczali właśnie salę konferencyjną. Jeden był stosunkowo młody, drugi posunięty w latach, może nawet starszy od Frankiego, przygarbiony i całkiem siwy. Przystanęli obok innego wojskowego - ten również był młody, ubrany w spodnie koloru khaki i krótką skórzaną kurtkę lotniczą. Frankiego od wojskowych dzieliło ponad piętnaście metrów, jednak nawet z tej odległości mężczyzna w skórzanej kurtce wydał mu się dziwnie znajomy. W pewnym momencie tamten obejrzał się przez ramię i zobaczył Frankiego.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę, po czym wojskowy szybko odwrócił wzrok. Powiedział coś jeszcze do swych towarzyszy, po czym ruszył przed siebie korytarzem.

Frankie stanął jak wryty i wpatrywał się w oddalającego się mężczyznę. Poznawał ten oficerski, pewny siebie krok. W tej samej chwili poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba, a żołądek podchodzi do gardła. Był to ten sam typ, który przestrzegał Frankiego przed składaniem zeznań. A teraz znajdował się tutaj, w asyście wojskowych, którzy uczestniczyli w przesłuchaniu przed komisją.

W głowie Frankiego tłukło się jedno rozpaczliwe pytanie: Co, u diabła, to wszystko ma znaczyć?

Ellie odczekała, aż oddała się na tyle, by nikt ich nie usłyszał, po czym spytała Cartera:

- Poznajesz tego człowieka?

- Tego staruszka?

Zauważyła, że Carter, nie chcąc zdradzać zainteresowania, nie zaryzykował drugiego spojrzenia w stronę mężczyzny. Ona jednak nie miała takich skrupułów - otwarcie przyjrzała się wysokiemu leciwemu jegomościowi z siwą czupryną, gdy zajmował miejsce obok córki, która najwyraźniej dotrzymywała mu towarzystwa.

- Ma zeznawać przed komisją - powiedziała w zamyśleniu Ellie.

- Mam dla pani długą listę telefonów, na które trzeba odpowiedzieć. Od czego mam rozpocząć?

Ruszyli do gabinetu, jednak Ellie nie zerknęła nawet na papiery, które wręczył jej asystent. Minęła siedemnasta. Wszystkie sprawy mogły zaczekać, natomiast Frankie San - ależ nie, nie San, tylko Sadowski. Nie umiała nawet rozpoznać jego nazwiska.

- Twierdzi, że odpisałam na jego list i zachęcałam go do składania zeznań.

- Wysyłamy z kancelarii mnóstwo listów - odparł z westchnieniem Carter.

- Ale to standardowa korespondencja, formułki. Z jego słów wynikało, że dostał list pisany osobistym stylem.

- Wysyłamy też sporo tego rodzaju listów.

Carter zarzucał właśnie jej biurko stertą nowych akt i dokumentów, równocześnie próbując je posegregować.

- Powiedział, że przyjechał z Pensacoli. Dziwne, choćby z tego powodu powinnam go pamiętać, nie uważasz?

Asystent nanosił teraz krótkie notatki na samoprzylepne karteczki i przyklejał je do kopert porozkładanych na biurku. Ellie widziała, że Carter zupełnie nie przejmował się Frankiem Sadowskim. Ale przecież ten staruszek miał nazajutrz stanąć przed komisją. Ilu jeszcze osobom opowiedział, że to senator Delanor nakłaniała go, by złożył zeznania w tej sprawie?

- Znajdź sposób, by do mediów wyciekła informacja, że namówiłam jednego z moich wyborców, który padł ofiarą Projektu 112, by podzielił się

z komisją swoją historią.

To podziałało na Cartera – momentalnie unióś głowę znad papierów.

- Chyba pani żartuje.

- Dlaczego? Ludzie pikietujący pod Kapitołem domagają się, byśmy wreszcie zaczęli słuchać poszkodowanych weteranów.

- Czym innym jest wysłuchiwanie, czym innym nakłanianie do składania zeznań. Nie wie pani nawet, o czym ten mężczyzna chce opowiedzieć. A co, jeśli to jakiś obłąkaniec?

- Obłąkaniec? – Ellie uśmiechnęła się. W ustach tego młodego człowieka to słowo zabrzmiało osobliwie.

- Wie pani, o co mi chodzi. Ten miły staruszek pewnie nie ma co robić z czasem, więc spędza całe dni, rozsiewając teorie spiskowe w internecie. A jeśli należy do jednego z tych radykalnych ugrupowań?

- Przyjechał tu, żeby zeznawać. Senator Quincy nie zezwoliłby na to, gdyby ten facet był radykalnym obłąkańcem. Jego sztabowcy prześwietlają przecież każdego ze świadków.

- Nie mam pojęcia, co robią ani czego nie robią ludzie senatora Quincy'ego.

Z trudem zносиła ludzi w stolicy, którzy przyklejali łatkę radykała każdemu, kto ośmielił się mieć inne zdanie niż oni. Coś w panu Sadowskim przypominało jej Jimmy'ego Stewarta i jego role w starych filmach, na przykład „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu”. Wydał jej się typem dżentelmena, co w tych czasach było rzadkością, zwłaszcza w tym mieście.

- Carter, zawsze tyle mówisz o kontrolowaniu przekazu, jaki puszcza się w świat. Znajdź wobec tego sposób, by do mediów wyciekło coś pozytywnego. Na litość boską, ten staruszek pochodzi z mojej rodzinnej miejscowości. Zwróć przynajmniej na to uwagę dziennikarzom, zanim media zrobią to same, przy okazji obracając całą sprawę w coś głupiego.

W końcu Carter dał się chyba przekonać, na jego ustach pojawił się ostrożny uśmiech, właściwie jego cień.

- Zobaczą, co da się zrobić.

- Aha, jeszcze jedno – powstrzymała go, gdy kierował się już do drzwi. – Znajdź te listy.

- Słucham?

- Zachowujemy przecież kopie całej korespondencji – przypomniała,

wskazując sterty pudeł piętrzące się we wszystkich kątach jej gabinetu. Były to kopie dokumentów z Departamentu Obrony, pochodzące ponoć aż z lat pięćdziesiątych. – Chciałabym rzucić okiem na list pana Sadowskiego.

– A skąd pewność, że ten facet naprawdę przysłał jakiś list?

– Musimy mieć kopię mojej odpowiedzi. Znajdź mi ją.

– To pewnie był standardowy list.

– Pewnie tak. Ale go odszukaj.

Carter wyszedł z marsową miną. Ellie zerknęła na zegarek i niechętnie sięgnęła do równiutko ułożonej sterty papierów, które asystent pozostawił na jej biurku. Karteczki z dopiskami zostały doczepione w taki sposób, by mogła jednym spojrzeniem zorientować się, co gdzie leży.

Nagle uderzyła ją pewna myśl – Frankie Sadowski stwierdził, że otrzymał odpowiedź od niej w lipcu. Jak to możliwe? Przecież wtedy nie wiedziała jeszcze nawet, że dojdzie do przesłuchania przed komisją. A w każdym razie na pewno nie zajmowała się jeszcze tą sprawą. Dopiero miesiąc temu zaczęła ciosać Quincy’emu kołki na głowie, żeby dopuścił ją do udziału w obradach.

Ellie wyszła z gabinetu, chcąc dogonić Cartera i dowiedzieć się, co ma do powiedzenia w tej sprawie. W pewnym momencie jednak zamarła w pół kroku, po czym wycofała się i ukryła za filarem nieopodal drzwi swojego gabinetu.

Carter stał na drugim końcu korytarza, zajęty rozmową z senatorem Quincym. Obaj spoglądali w stronę drzwi wejściowych, przy których pan Sadowski wraz z towarzyszącą mu kobietą rozmawiali z urzędniczką.

W pewnej chwili Carter wyciągnął z kieszeni swój ulubiony notatnik i zaczął coś pospiesznie notować, podczas gdy Quincy dyktował. Na koniec, wyraźnie zadowolony, poklepał szefa sztabu Ellie po ramieniu. Carter, wyszczerzony od ucha do ucha, przytakiwał energicznie. Po chwili obaj mężczyźni rozeszli się i skierowali w przeciwnie strony.

Gdy Quincy mijiał biuro Ellie, pani senator skryła się znów za zamkniętymi drzwiami swego gabinetu. Do aktówki pakowała wszystko, co mogło jej się przydać. Na biurku położyła otwartą niczym niewyróżniającą się teczkę akt, obok umieściła notatnik i długopis. Obrazu dopełniał kubek po kawie – wszystko to miało sprawiać wrażenie, jakby pani senator wyskoczyła tylko na chwilę i nadal przebywała w budynku. Kiedy wszystko

było gotowe, Ellie wymknęła się z biura i ruszyła ku tylnym schodom.

Dla Benjamin Platta rozmowa z Maggie była niczym uderzenie obuchem po głowie. Brzmienie jej głosu nie pozostawiało złudzeń - nie ufała mu. A znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że zaufanie przychodzi jej z trudem i nader łatwo je stracić. Świadomość, że zyskał je tylko po to, by tak głupio je postradać, budziła w nim gniew. A gniew na samego siebie obracał się w gniew na pułkownika Abrahama Hessa.

To Hess zaprosił Platta na obiad. Platt wiedział, że pułkownik jest zadowolony z przebiegu spotkania przed Kongresem. Wiedział też, że w oczach wojskowego przesłuchania były jedynie pretekstem do przeprowadzenia cięć w wydatkach na Departament Obrony. Dotychczas Kongres zajmował się już dwukrotnie Projektem 112 oraz Projektem SHAD i nie podjął w tej sprawie żadnych kroków.

Platt obserwował, jak jego mentor składa zeznania, dając oratorski popis, którym nie tylko zjednał sobie sympatię słuchaczy, ale też utrzymał w ryzach senatora Quincy'ego oraz pozostałych członków komisji. Teraz pułkownik Hess chciał świętować udane wystąpienie, jednak Platt nie był w triumfalnym nastroju. W gruncie rzeczy nie miał nawet apetytu. Zgodził się na spotkanie w nadziei, że uda mu się zdobyć informacje na temat tego, co dzieje się w Karolinie Północnej.

Gdy wcześniej po przesłuchaniu spotkali się z Peterem Loganem, również on sprawiał wrażenie człowieka, który niewiele wie. Nie dostał wiadomości od swojej asystentki pracującej na miejscu katastrofy, Isabel Klein, i choć winą za to obarczał zawałone wieże przekaźnikowe, Platt wyczuwał, że to tylko wymówka. Czując narastającą frustrację, Ben wspomniął w końcu, że nie miał żadnych problemów z dodzwonieniem się do Maggie O'Dell.

Jeszcze większy niepokój wzbudziło w nim odkrycie, że Hess i Logan nie koordynują swoich poczynań. Kiedy Hess wspomniął o specjalnym oddziale działającym na terenie dotkniętym katastrofą, Logan sprawiał wrażenie zaskoczonego. Próbował ukryć podenerwowanie, jednak Platt był bystrym obserwatorem. To właśnie wtedy Hess zaprosił go na obiad, po czym odprawił lekkim skinieniem głowy. Na odchodnym usłyszał, jak Logan tłumaczy się pułkownikowi, sięgając po kolejne wymówki i usprawiedliwienia. Kiedy zerknął przez ramię, Platt dostrzegł, jak gestem

uniesionej dłoni Hess przerwał Loganowi w połowie zdania, po czym nakazał swemu zastępcy „piorunem udać się na miejsce katastrofy”.

Po upływie kilku godzin Platt zastał pułkownika w ich zwyczajowym miejscu spotkań, czyli przy narożnym stoliku w restauracji Old Ebbitt's. Hess raczył się już ulubionym alkoholem - nierozcieńczoną szkocką whisky. Kiedy Platt zajął miejsce naprzeciw przełożonego, ten przywołał gestem kelnera, który niemal natychmiast pojawił się przy stoliku.

- Czego się pan napije?

- Czarnej kawy.

Hess uniósł brwi.

- Czy życzy pan sobie jeszcze jedną szkocką?

Hess potrząsnął głową, a gdy młody człowiek oddalił się od stolika, zwrócił się do Platta:

- Co cię gryzie, Benjaminie?

- Chcę wiedzieć, co się dzieje w Karolinie Północnej. Logan sprawiał wrażenie, jakby nie miał żadnych informacji. A przecież od pierwszego obsunięcia terenu minęło już wiele dni.

- Logan. - Hess wypowiedział nazwisko zastępcy takim tonem, jakby pozostawiało w jego ustach gorzki posmak. - Ten facet ma potencjał. Dobry był z niego żołnierz. Poznałem go, gdy dowodził plutonem w Afganistanie. Pomógł nam przetestować w terenie niektóre z naszych nowych produktów. Wiesz, jak ważną sprawą to wówczas było?

Przy tych słowach pułkownik wpatrzył się w rozmówcę. Platt nie chciał, by Hess odbiegł za daleko od tematu Karoliny Północnej. Skinął głową, jednak zaraz potem spytał:

- Okazał się do tego stopnia pomocny, że mianowałeś go zastępcą w DARPA?

Hess przypatrywał mu się przez chwilę zmrużonymi oczami. Oczywiście nie był zachwycony, że Platt ośmiela się kwestionować jego decyzję.

- Na miejscu odkopywane są kolejne ciała - ciągnął niezrażony Platt. - Znalezione zwłoki badacza pracującego w twojej placówce naukowej. Być może padł ofiarą morderstwa. A Logan nawet się tam nie pofatygował.

Chciał mówić dalej, ale Hess uciszył go gestem uniesionej dłoni, tak jak wcześniej uciszał senatora Quincy'ego.

- Niech cię o to głowa nie boli. Na miejscu działa mój specjalny zespół,

który nie czekając na Logana, zabezpiecza już teren.

- Dysponuje pan nowymi informacjami na temat ośrodka badawczego?

- Wszystko wskazuje na to, że został pogrzebany pod ziemią. Nic z niego nie zostało. Został zmieciony z fundamentów i rzucony gdzieś u podnóża góry.

Platt przetarł dłonią twarz i zaczekał, aż kelner ustawi przed nim filiżankę kawy na spodeczku.

- Ależ drogi Benjaminie, nie przejmuj się tak - powiedział Hess, upijając niewielki łyk whisky. - Tutaj nadal jesteście panami. Za to tam, u góry, rozszarpią nas sępy, jeśli tylko im na to pozwolimy.

W słowniku pułkownika „sępy” oznaczały polityków. Platt zachodził w głowę, jakim cudem Hess zachowuje się tak spokojnie, skoro lawina błotna pochłonęła cały ośrodek badawczy, jego personel był zaginiony, a jeden z naukowców prawdopodobnie został zamordowany.

- Czy zdołał pan nawiązać kontakt z doktor Shaw?

- Jeszcze nie - odparł Hess.

- Na pewno wie pan już, co przechowywano w ośrodku.

- Moi ludzie się tym zajmą.

- Abrahamie, poprosiłeś mnie, bym posłał tam agentkę FBI. Czy istnieje ryzyko, że zostanie narażona na działanie jakichś niebezpiecznych substancji?

- Dobrze wiesz, że wszystkie nasze placówki przestrzegają wszelkich środków bezpieczeństwa. Nie mamy żadnych powodów do obaw, że nie dopilnowano protokołu bezpieczeństwa.

- Nad czym pracował personel?

Wreszcie Platt dojrzał niepokój w twarzy pułkownika. Hess omiółł spojrzeniem gwarne wnętrze restauracji, nachylił się nad krawędzią fotela i obie dłonie złożył na szklance.

- W latach pięćdziesiątych próbowaliśmy wyhodować specjalny szczep komarów *Aedes aegypti*, który miał posłużyć jako nośnik broni biologicznej. Armia amerykańska przeprowadziła nawet próbę, wypuszczając owady na wolność w Georgii na Florydzie. Owadów było jednak zbyt mało, by dało się oszacować ich skuteczność. Tylko pomyśl: czyż to nie wspaniała perspektywa? Gdybyśmy umieli wyhodować owady roznoszące określone choroby, na przykład dengę albo chikungunya, albo zarazić je chorobami bądź wirusami, moglibyśmy potem wypuszczać je na terytorium wroga

i uśmiercać go bez jego wiedzy. Doktor Shaw fascynowała się różnymi metodami przenoszenia chorób, szczególnie przy tym ceniąc żywe stworzenia.

- Abrahamie, chcesz powiedzieć, że ta kobieta pracowała nad wykorzystaniem rojów komarów jako metody przenoszenia śmiertelnej broni?

- Benjaminie, mów ciszej.

- Wiesz, do jakich wirusów mieli dostęp naukowcy z tego ośrodka?

- Usiłuję uzyskać...

- Nie - przerwał mu Platt podniesionym głosem, wprawiając pułkownika w osłupienie. - Musisz wiedzieć już teraz.

Platt zniósł milczenie i miazdzące spojrzenie mężczyzny, którego szanował i podziwiał przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć - odezwał się w końcu Hess.

- Kazałeś mi posłać kogoś, komu ufam, abym mógł sprawować kontrolę nad przebiegiem śledztwa i nad informacjami, które są przekazywane na zewnątrz.

- Zapewniam cię, że nie ma żadnego zagrożenia ze strony wszystkich potencjalnie niebezpiecznych patogenów. Moi ludzie w tej chwili zabezpieczają pojemnik, w którym przechowywane są te mikroorganizmy.

- Skąd pewność, że pojemnik nie został rozszczelniony na skutek przesunięć mas ziemskich? Wszystkie osoby, które znajdują się w okolicy, mogły zostać narażone na kontakt z tymi patogenami.

- Pojemnik wysłał sygnał, który oznacza, że nie został naruszony. Nadal go odbieramy.

Platt potrząsnął głową z niedowierzaniem. Będąc pułkownikiem armii i dyrektorem agencji USAMRIID, wiedział doskonale, że stąpają po kruchym lodzie, chroniąc ludność cywilną, a równocześnie próbując opracować nowe metody podniesienia skuteczności żołnierzy i zapewnienia im bezpieczeństwa. Całe życie stykał się ze ściśle tajnymi informacjami. W Fort Detrick pracował nad wirusami i patogenami, które mogły zmieść z powierzchni ziemi populację wielkiego miasta, gdyby przypadkowo wydostały się na zewnątrz. To on kilka lat temu dyrygował kontrolowanym wybuchem epidemii eboli, która mogła pochłonąć setki ofiar, gdyby doszło do paniki na szeroką skalę.

- Dwadzieścia cztery godziny - odezwał się Blatt. - Tylko tyle czasu ci daję.

- Benjaminie, czy ty mi grozisz?

- Daję ci tylko szansę postąpienia słusznie.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Nim zjechali w dolinę, mżawka przerodziła się w ulewny deszcz. Ross podrzucił O'Dell, Jasona i Bola do liceum. Maggie rozglądała się już za innym miejscem do spania, ale najbliższy motel znajdował się osiemdziesiąt kilometrów stąd. Żeby tam dotrzeć, trzeba było korzystać z niezliczonej liczby objazdów. Podróż byłaby szaleństwem.

Ross poinformował ich, że kościół jednej z parafii przyjmuje pod swój dach i żywi rodziny, których domostwa ucierpiały podczas katastrofy. Ponieważ odwołano lekcje, w szkolnej sali gimnastycznej można było rozstawić łóżka polowe dla ratowników. Szkolne szafki posłużyły do składowania sprzętu, ratownicy mogli też brać prysznic w łazience. W stołówce serwowano ciepłe śniadania i obiady. A o ósmej rano czekały na nich torebki z drugim śniadaniem, które mogli zabrać do pracy.

- Wpiszcie się tylko na listę - poradził im jeden z gwardzistów, a następnie wskazał na tyły długiej sali gimnastycznej i dodał: - Zanim będziecie mogli wejść do budynku, cała wasza trójka musi przejść przez Dekon.

- To znaczy?

- Przepraszam, chodziło mi o dekontaminację. Zakładamy, że całe to błoto, w którym się nurzamy od rana do wieczora, może być zatrute. Na skutek obsunięć terenu zazwyczaj tworzą się zbiorniki toksycznych odpadów. Większość miejscowych trzyma w domach butle z propanem, a na terenie posiadłości ma wpuszczone w ziemię zbiorniki na szambo. Nie wiemy, ile z nich zostało uszkodzonych. Nie wspominając już o materiałach izolacyjnych, azbestie i innych substancjach, które przenikają teraz do gleby. Cały proces polega w sumie na tym, że zostanieie dokładnie umyć wodą pod ciśnieniem - wyjaśnił, a po chwili dodał: - Chociaż chyba i tak jesteśmy już wystarczająco przemoczeni.

O'Dell uświadomiła sobie, że gwardzista ani razu wcześniej nie próbował silić się na humor. Przez chwilę przyglądała się jego profilowi i w końcu uznała, że jest znacznie młodszy, niż początkowo sądziła. Był wykończony, podobnie zresztą jak wszyscy jego koledzy.

Gdy jechali do szkoły, próbowała dodzwonić się do doktor Gunther. Nagrała dwie wiadomości i zostawiła numer, pod który lekarka powinna

oddzwonić. Ross poinformował ją, że gwardziści, zgodnie z instrukcjami, przewiozą odkopane ciało oraz dłoń do prowizorycznej kostnicy. Liczyła, że Gunther jak najszybciej przystąpi do ich badania, jednak teraz zaczynała w to wątpić.

O'Dell, Jason i Bolo ruszyli ku zapleczu długiego budynku mieszczącego salę gimnastyczną. Na rogu tłoczyły się już grupki ratowników, ludzie wpisywali się na listę i oddawali sprzęt. Do zachodu słońca pozostała godzina, jednak zachmurzenie i deszcz miały go przyspieszyć.

- Rano dali nam pyszne śniadanie - odezwał się Jason, podążający u boku O'Dell.

Rzut oka wystarczył jej, by stwierdzić, że Jasonowi z trudem przychodzi prowadzenie niezobowiązującej rozmowy. Następnie zauważyła, że Bolo idzie obok niego na tak krótkiej smyczy, że musi dotykać nogawki spodni opiekuna. Zaraz też zrozumiała, dlaczego chłopak trzyma tak krótko psa. Linia sierści, która zazwyczaj sterczała na grzbiecie w przeciwnym kierunku, teraz była najeżona. Tak samo jak reszta włosów na grzbiecie i karku.

Przypomniała sobie, jak Creed mówił, że Bolo jest wobec niego nadopiekuńczy. Wyglądało na to, że owa nadopiekuńczość dotyczyła też Jasona. Pies zerknął na mężczyzn wysiadających z ciężarówek. Ich pokrzykiwania sprawiły, że przekrzywił łeb. W jego oczach stanowili zagrożenie. Ta pozornie prosta przechadzka bynajmniej nie dawała mu poczucia bezpieczeństwa. Znacznie pewniej Bolo czuł się w lesie, wśród wody powodziowej, gdzie mógł skoncentrować się wyłącznie na woni, za którą nakazano mu podążać.

- Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy - odezwała się O'Dell, dostrzegając dopiero teraz swój samochód. - Muszę wziąć z auta torbę podróżną, mam w niej trochę suchych ciuchów.

- Jasne - odparł Jason. - Widzimy się w Dekonie.

Ton, jakim to wypowiedział, nadal był spokojny i niezobowiązujący, jakby chciał dać do zrozumienia, że wszystko gra. Zastanawiała się, czy chłopak wiedział, że jego napięty krok i sztucznie wyprostowana postawa dla Bola oznaczały, że coś jest nie tak. Pies był silnej, muskularnej budowy. Czy Jason obawiał się, że nie zdoła go kontrolować przy użyciu jednej ręki? Jej własny pies Jake - olbrzymi czarny owczarek niemiecki - byle szarpnięciem mógł zwalić ją z nóg.

Chciała spytać Jasona, czy na pewno sobie poradzi. Równocześnie jednak musiałyby odnieść się jakoś do napięcia przejawianego przez psa, a tym samym wzmogłaby tylko skrępowanie Jasona. Zapowiedziała więc tylko, że spotkają się potem, i ruszyła w przeciwną stronę, tłumiąc ochotę, by obejrzeć się przez ramię.

Uciekając przed deszczem, schroniła się w kabinie terenówki i natychmiast wyjęła komórkę. Nie znalazła jednak żadnych wiadomości od Bena. Starła się stłumić irytację. Przecież i tak nie miała ochoty z nim rozmawiać. Wybrała za to numer swojego szefa, zastępcy dyrektora Kunzego, i nagrała mu wiadomość. Następnie odnalazła kolejny numer.

Gwen od wielu miesięcy ukrywała przed światem depresję, a niedawna operacja tylko ją pogłębiła. O'Dell chciała po prostu usłyszeć, że przyjaciółka jakoś się trzyma. Kompletnie nie była przygotowana na radosny szczebiot, który popłynął z głośnika telefonu.

- Widziałas się już z nim? - Gwen brzmiała teraz jak podekscytowana nastolatka.

To było silniejsze od niej - poczuła, jak opada z niej zmęczenie po całym dniu pracy, i nareszcie się uśmiechnęła.

W zatłoczonej strefie, gdzie zorganizowano Dekon, Creed z radością dojrzał doktor Avelyn. Dekon znajdował się na parkingu za budynkiem sali sportowej, gdzie rozstawiono trzy wielkie namioty. Kolejka osób oczekujących na przebycie procedury dekontaminacyjnej ciągnęła się i ginęła za rogiem budynku. Ratownicy kończyli już pracę, zmoknięci i ubłoceni ustawiali się w kolejce w oczekiwaniu na to, aż ktoś spryska ich wodą pod ciśnieniem.

Z nieba lały się strumienie deszczu i nic nie zapowiadało poprawy pogody. Wkrótce miał zapaść zmierzch. Creed czuł się tak samo jak większość zebranych tu mężczyzn - zmęczony, głodny, a mimo to niechętnie przerywał robotę, ponieważ przez cały czas tliła się w nim nadzieja, że gdzieś u góry nadal na ratunek czekają przysypani ludzie, z coraz większym trudem walczący o każdy oddech. Tacy sami jak pani Hamlet, przeczekujący kolejną noc.

Wcześniej tego dnia zostawił Grace z odnalezioną staruszką, a sam ruszył z powrotem w górę zbocza. Wpisał współrzędne tego miejsca do przenośnego urządzenia z nawigacją GPS. Nie miał zamiaru trwonić czasu, by znowu go szukać, gdy będzie wracał. W końcu dotarł do Vance'a i córki pani Hamlet i opowiedział, gdzie ją znalazł. A po jakimś czasie udało im się odnaleźć skrót.

Następnie przenieśli kobietę do miejsca, gdzie oczekiwała jej wystraszona córka, i poczekali z nimi na przyjazd karetki. Przez cały ten czas Grace nie odstępowała staruszki na krok. Odeszła, dopiero gdy odnaleziona zniknęła za zamykanymi drzwiczkami karetki. Niewielki pies nie uskarżał się nawet na odłamki szkła, które utkwily mu między poduszkami łap.

Creed z niecierpliwością czekał, aż ktoś zbada Grace. W kolejce oprócz niej oczekiwały też trzy psy. Przez chwilę kluczył wśród tłumu ratowników, jednak w końcu Avelyn dostrzegła go i gestem pokazała, by podszedł, nie zważając na kolejkę.

Grace dumnie kroczyła pośród nóg ratowników w ciężkich buciorach, pozdrawiając ich radosnymi wymachami ogona. Niektórzy uśmiechali się na jej widok i pochylali się, by ją pogłaskać. Inni ustępowali z drogi Creedowi, gdy ich wzrok padał na psa. Kiedy dotarł do namiotu, w którym pracowała,

lekarzka skończyła akurat badanie ostatniego spośród trzech czworonogów. Kiedy Grace ją rozpoznała, jej ekscytacja sięgnęła zenitu.

- Spokój - poinstruował ją Creed.

Doktor Avelyn natychmiast zrobiła coś, co przeczyło komendzie opiekuna. Ukucnęła, rozłożyła ramiona i przywołała Grace do siebie. Creed odczepił smycz, a pies rzucił się radośnie ku lekarce, nie zważając na poranione i krwawiące łapy.

- Dosłownie kwadrans temu przebadalam Jasona i Bola - powiedziała Avelyn.

- To dobrze. Cieszę się, że już wrócili. Nic im nie jest?

- Bolo jest nieco przerażony z powodu wszystkich tych mężczyzn.

- Założę się, że tym bardziej ucieszył się na twój widok.

Lekarzka podziękowała mu uśmiechem.

- Grace, słyszałam o twoich dzisiejszych przygodach - zwróciła się do małego pieska, przesuwając równocześnie dłonie po jego ciele w poszukiwaniu ran. W pewnym momencie zerknęła znów na Creeda i posłała mu kolejny uśmiech. - Wygląda na to, że ostatnie dni miałeś całkiem interesujące.

- Istne wariatkowo.

- Wyglądasz strasznie - powiedziała, po czym dodała, wskazując ranę nad okiem. - Podczas pracy w terenie musisz mieć opatrunek.

Wyciągnął już palec, żeby dotknąć miejsca, na które spoglądała, ale widząc jej gniewny wzrok, powstrzymał się.

- Nie dotykaj tego! - ostrzegła lekarzka.

- Wyciągnąłem trochę szklanych odłamków z jej łap - odezwał się Creed, chcąc sprowadzić rozmowę z powrotem na Grace. - Obawiam się jednak, że zostało ich tam jeszcze trochę.

Uklęknął obok pani weterynarz, próbując znaleźć dla siebie najlepszą pozycję, by z bliska widzieć obrażenia, jakich doznał zwierzak. Pod sufitem namiotu zawieszono lampy, które rzucały zbyt dużo cieni. W pewnym momencie lekarzka włączyła lampkę czołową, a do ręki wzięła butelkę wody utlenionej i szczypce chirurgiczne.

Creed uniósł Grace. Przycisnął jej grzbiet do swej piersi, a brodą oparł się na czubku jej głowy. Dzięki temu Avelyn zyskała łatwiejszy dostęp do łap psa.

- Grace, to może być nieco nieprzyjemne.

- Jest niesamowicie odporna na ból - powiedział lekarce, która sprawnie usuwała niewielkie odłamki szkła i gruzu. Za każdym razem gdy upuszczała taki kawałek na stalową tacę, mimo woli się wzdrygał.

- Tak jak jej pan - zauważyła weterynarz, a gdy Creed nie reagował, dodała: - Słyszałam, że możesz mieć złamanych kilka żeber. Mam tu ze sobą przenośną maszynę do rentgena. Możemy cię prześwietlić, jeśli sobie życzysz.

- Jestem już i tak obwiązany bandażem. Gdyby okazało się, że mam połamane żebra, pewnie nie mogłabyś zrobić o wiele więcej, prawda?

- W przypadku psa faktycznie nie miałabym wielkiego pola manewru. W przypadku człowieka musiałabym sprawdzić, co mi pozostaje. Prześwietlenie mogłoby na przykład wykazać, czy złamane żebro nie wbiło się w jakiś ważny organ, albo przynajmniej wykluczyć takie niebezpieczeństwo. Jak ci się oddycha?

- Chyba normalnie. Już kończymy, maleńka - odezwał się do Grace, trącając lekko nosem czubek jej głowy. Pies powoli zaczynał się niecierpliwić, że każą mu stać nieruchomo w tej nienaturalnej pozycji. Następnie Creed zwrócił się do Avelyn: - Boli mnie głowa. Może połamałem sobie coś tam.

Uśmiechnęła się, ale równocześnie posłała mu zaniepokojone spojrzenie. Momentalnie pożałował, że o tym wspomniał.

- Przebadano cię na okoliczność wstrząsu mózgu, prawda?

- Chyba tak. Nie mam pewności. Niewiele pamiętam. Po wypadku przez jakiś czas byłem nieprzytomny.

- Ryder! Przecież to jeden z podstawowych objawów wstrząsu mózgu. Czujesz mdłości? Jak sprawuje się twój wzrok?

- Mój wzrok jest bez zarzutu.

- Pamiętasz, co się wtedy wydarzyło?

- Masz na myśli czas, kiedy byłem przysypany?

Skinęła głową, zajęta oczyszczaniem ran na łapach Grace.

- Nie wszystko.

- Czy ktoś w ogóle cię dziś zbadał, zanim wróciłeś do pracy?

- Nie.

- Jak się teraz czujesz? Kręci ci się w głowie? Słyszysz dzwonienie

w uszach?

- Dzwoni chwilami, potem cichnie. Nie odczuwam już zawrotów głowy.

- Już? To znaczy, że doświadczałaś ich wcześniej?

- Odrobinę. Teraz doskwiera mi przede wszystkim ból głowy. Czuję się, jakby ktoś walił mnie po czaszce młotkiem.

- Niektóre objawy wstrząsu mózgu pojawiają się nawet z kilkugodzinnym opóźnieniem. Czasami nawet po kilku dniach. Wygląda, że tak właśnie jest z tobą. Najwyraźniej w tej chwili doświadczasz jednego z symptomów.

- Mogłabyś mi podać coś przeciwbólowego?

- Tak - odparła natychmiast. Po chwili dokończyła opatrywanie Grace i posłała jej jeszcze jedno uważne spojrzenie. - Dla Grace to koniec pracy, musisz dać jej co najmniej dobrą noc na odpoczynek.

- Naturalnie.

- Sobie też - dodała, po czym dojrzała kogoś stojącego za plecami Creeda i powiedziała: - Mam nadzieję, że tym razem nie przynosisz ze sobą żadnych skorpionów.

Creed odwrócił się i ze zdziwieniem ujrzał przed sobą Maggie O'Dell.

- Żadnych - zapewniła lekarkę O'Dell.

Avelyn nawiązywała do ich ostatniego spotkania. Maggie wpadła wtedy do dołu pełnego skorpionów. Na wspomnienie tamtych wydarzeń najczęściej przechodziły ją ciarki, jednak teraz skupiona była bez reszty na Ryderze Creedzie.

Ze złością wyczuła, że wbrew sobie wstrzymała oddech, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały. Ubranie Creeda było w opłakanym stanie - wyglądał, jakby wytarzał się w błocie. Włosy lepiły mu się do czaszki. Twarz pokrywały siniaki i rany, a szczęka ginęła pod zarostem. Oczy lśniły jednak jasno. Dojrzała, jak na jej widok uśmiecha się kąciakiem ust. Był poobijany i brudny, ale mimo to nadal prezentował się niczym model z okładki kolorowego magazynu, choć wyraźnie z numeru poświęconego panom lubiącym spędzać czas w dziczy.

- Co cię sprowadza do tego piekielka?

- Polecenie służbowe - odparła krótko. Wiedziała, że potem przyjdzie czas na podzielenie się zawodowymi szczegółami.

Creed nadal trzymał w ramionach Grace i gdy ta rozpoznała przybyłą, zaczęła się energicznie wiercić, próbując się wyrwać i popędzić na powitanie. Poprawił uchwyt i podszedł bliżej, próbując zadośćuczynić pragnieniom suczki. A w każdym razie O'Dell pomyślała, że zrobił to z myślą o czworonogu.

Podążyła Grace dłoń, którą pies momentalnie obwąchał i oblizał, a następnie pogłaskała go po łbie. Uważała przy tym, by nie musnąć zanurzonych w sierści palców Creeda.

Idiotka. Skończona kretynka. Najwyraźniej zapomniała już, jak potężny wpływ na nią wywierał. Nienawidziła się za to, że puls jej przyspieszył i unikała jego spojrzenia.

- Odnależliście tę zaginioną kobietę?

- Grace ją znalazła. Pani Hamlet powinna się z tego wylizać. Po dwóch dobach spędzonych w lesie, w nieprzyjaznych warunkach atmosferycznych, jest oczywiście odwodniona i wyczerpana. Skręciła też nogę w kostce. Poza tym chyba nic jej nie dolega.

Poczuła na sobie jego uważne spojrzenie.

- Wyglądasz, jakbyś też cały dzień spędziła na dworze.

- Faktycznie, tak było.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak ubłocone są jej dżinsy. Brunatne plamy widniały na wysokości kolan i kostek. Błoto oblepiało jej buty, a włosy miała tak samo przemoczone jak Creed, mimo że chowała je pod służbową czapkę z napisem FBI. Przyniosła ze sobą torbę podróżną. Wiatrówkę wprawdzie zapięła pod samą szyję, ale i tak zaczynała marznąć.

- Jason opowiedział mi o twoim wczorajszym wypadku. Nic ci nie jest?

- Spotkałaś Jasona?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do rozmowy włączył się mężczyzna, który właśnie wyszedł bocznymi drzwiami z budynku sali sportowej.

- Psiarzu! - zawołał w kierunku Creeda. - Czekałem, aż wrócisz.

Mężczyzna nie dorównywał Creedowi wzrostem. Szczupły i muskularny, wydawał się też nieco starszy. Blond włosy miał przycięte króciutko po bokach w wojskowym stylu, a z przodu zostawioną grzywkę. Nosił skórzaną wojskową kurtkę, spodnie w kolorze khaki i drogie buty do wspinaczki. O'Dell zauważyła, że buty były nieskazitelnie czyste, nie przyłgnęła do nich ani drobina błota.

- Peter Logan - przedstawił się, wyciągając do niej rękę i po chwili zamykając jej dłoń w mocarnym uścisku.

- A więc to pan jest tym Loganem - odparła niezrażona, odwzajemniając jego stalowy uścisk i obserwując, jak na jego twarzy odmalowuje się zdziwienie. W sumie nie przeszkadzała jej siła, z jaką ujął dłoń. Nie cierpiała tych przesadnie delikatnych, protekcyjnych uścisków dłoni, jakimi większość mężczyzn piastujących kierownicze stanowiska witała się z niżej postawionymi w hierarchii kobietami. - Mam do pana kilka pytań.

Przekrzywił głowę i nie pozwolił spełznąć przyklejonemu do ust sztucznemu uśmieškowi, równocześnie posyłając szybkie spojrzenie w stronę Creeda.

- Nazywam się Maggie O'Dell. Jestem agentką FBI.

Na twarzy przybyłego odmalowała się ulga.

- A zatem to pani jest tą dziewczyną Bena.

Po tych słowach Maggie poczuła, jak robi się jej gorąco.

Peter Logan zawsze był dupkiem i Creed bez większego zdziwienia odkrył, że niewiele się zmienił przez ostatnie siedem lat, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania.

- To wy się znacie? - spytał Logan, tocząc zdumionym spojrzeniem między Creedem a O'Dell. Nosił przy tym brwi i robił taką minę, jakby w ich znajomości dostrzegł coś wysoce nieestosownego.

- Pracowaliśmy razem przy kilku sprawach - poinformowała Maggie.

Creed nie wiedział, co wkurza go bardziej - czy to, że Logan zawstydził publicznie Maggie, czy może to, że najwyraźniej znał osobiście mężczyznę, który nie był obojętny Maggie.

W pewnym momencie Logan dojrzał Grace.

- Ejże, psiarzu, co to ma znaczyć? Zlecam ci zadanie, a ty przywozisz mi tu najmniejszego psiaka? To nie waży chyba nawet siedmiu kilogramów.

Grace zareagowała warknięciem, a Creed poczuł pod palcami, jak jeży się sierść na jej karku.

- Wabi się Grace. I nie, nie pracuje dla ciebie.

- Doszły mnie słuchy, że nie pojawiłeś się dzisiaj na terenie, w którym operujemy.

Mówiąc to, Logan wsparł ręce na biodrach. Jego postawa przywodziła na myśl zachowanie dowódcy, który nadal ma do dyspozycji czekający na rozkazy pluton.

- Jason i Bolo spisali się na medal - wtrąciła Maggie, nim Creed zdołał odpowiedzieć.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, z jakim zadaniem przysłano tu Maggie. Była agentką FBI, która miała nadzorować tajny projekt Logana.

- Tak, słyszałem już, że mieliście całkiem niezłe popołudnie. - Słowom tym towarzyszyło nieznaczące skinięcie głową. Creed pamiętał ten gest - na nic więcej Logan nie umiał się zdobyć, gdy musiał kogoś pochwalić.

Czuł, że Grace nadal jest napięta. Wbijała mu w ramię wyprężoną łapę. Wyczuwał delikatne wibrowanie cichuteńkiego, niemal niedosłyszalnego warczenia. Zapewne Grace wychwytywała niechęć, jaką żywił wobec Logana.

- Dopóki nie powstrzymamy walącej z góry wody powodziowej, niewiele

tu wskóramy - oznajmiła Maggie.

Logan omiótł spojrzeniem teren wokół. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Nawet doktor Avelyn wycofała się do przyczepy, którą przygotowano dla niej i pozostałych członków personelu medycznego. Mimo to widać było, że przybyły nie chce omawiać tych spraw publicznie.

- Porozmawiamy o tym później - zwrócił się do Maggie.

- Byłoby świetnie, gdybyśmy mogli pomówić. Mam kilka pytań.

- Nie wątpię. - Przy tych słowach wybuchnął śmiechem, jakby właśnie powiedział coś zabawnego, co tylko ich dwoje mogło wyłapać. - Proszę się umyć. Pogadamy jutro rano.

- Jutro rano? - W głosie Maggie pobrzmiewała irytacja. Spojrzała na ratowników oczekujących w kolejce na Dekon. Ich tłumek wyraźnie się przerzedził. - Za dwadzieścia, najwyżej trzydzieści minut będziemy gotowi. Może moglibyśmy porozmawiać przy kolacji? Podobno czeka już na nas posiłek i łóżka polowe.

Logan wyszczerzył zęby w uśmiechu i potrząsnął głową.

- Obawiam się, że noc spędzę w innym miejscu. Przygotowano już dla mnie zakwaterowanie gdzie indziej. Widzimy się rano - zapowiedział, po czym dodał, zwracając się do Creeda: - A ty masz się jutro zameldować w naszym obozie. Tym razem staw się osobiście, nie chcę jednego z twoich zastępców. Ale fajnie, że znów pracujemy razem, psiarzu.

Po tych słowach wyciągnął rękę, by poklepać Creeda po ramieniu. Grace zareagowała błyskawicznie - wyciągnęła szyję, zbliżając pysk do ręki intruza. Błysnęły obnażone kły, z gardła dobył się niski warkot.

- Dobry Boże, psiarzu, odpraw tę małą bestyjkę z powrotem.

- Grace uratowała dziś kobietę w podeszłym wieku.

Nie rezygnując ze sztucznego uśmiechu, Logan wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- Nie płącę ci za ratowanie staruszek.

Następnie ruszył w kierunku ulicy, gdzie Creed dostrzegł zapalone przednie światła samochodu czekającego na Logana.

Maggie odprowadziła go wzrokiem, po czym odwróciła się do Creeda.

- Obrzydliwy typ. Znacie się?

- Nie bardzo. Po prostu jestem mu winien przysługę.

Kilka kobiet ratowników skończyło się myć i O'Dell została sama - teraz miała całą damską łazienkę tylko dla siebie. Tęgo właśnie jej brakowało - uczucia czystości i suchych ubrań. Żałowała, że nie pomyślała o zabranii do Karoliny Północnej dodatkowej pary górskich butów. Te, w których pracowała, wymagały wielu zabiegów, nim nadawały się znów do założenia. Musiała długo zdrapywać i wycierać z nich błoto, następnie wciągnęła je na stopy, na które wcześniej założyła parę grubych i suchych skarpet.

Wpół do ósmej miała spotkać się przy obiedzie z Creedem. Panie pracujące w stołówce poprosiły klientów, by podzielili się na dwie grupy: osobno mieli zasiąść zawodowi ratownicy, osobno ochotnicy. W ten sposób obsługa mogła dostosować menu do konkretnych potrzeb. Maggie próbowała dodzwonić się do doktor Gunther, jednak za każdym razem natykała się na pocztę głosową. Po nagraniu kilku wiadomości dała sobie spokój. Kiedy jednak wkładała do szafki sprzęt i torbę podróżną, dostała esemes.

W pierwszej chwili nie rozpoznała numeru, wystarczyło jednak odczytać wiadomość, by się domyślić, kto ją wysłał.

„Spotkajmy się w sklepie mięsnym Ralpha. Wejść tylnymi drzwiami”.

Przypomniała sobie, że w sklepie mięsnym urządzono tymczasową kostnicę, gdzie umieszczano ciała odnalezione na terenie rządowego ośrodka badawczego. Szybko wpisała odpowiedź:

„Będę za 10 minut”.

Zapytała jedną z wolontariuszek, jak dotrzeć do sklepu Ralpha. Wystarczyło pójść na skróty z parkingu, by po chwili znaleźć się przed głównymi drzwiami sklepu. Drzwi zamknięte były na kłódkę, wywieszono na nich tablicę z napisem NIE WCHODZIĆ. Poszła na zaplecze budynku i odnalazła tylne wejście. Kiedy pchnęła ciężkie drzwi, rozległo się skrzypnięcie, a po chwili okryła ją ciemność.

- Doktor Gunther? To ja, agentka O'Dell.

Wtem uchyliły się drzwi na drugim krańcu korytarza, błysnęło światło.

- Jesteś sama? - rozległ się głos starej lekarki.

- Tak, oczywiście.

- Chodź, nie będę tu czekać całą noc.

W pomieszczeniu urządzono niewielkie prosektorium - wkoło ustawiono

wózki ze stali nierdzewnej i liczne małe umywalki, a pod ścianami trzy lodówki. Gunther w workowatym kitlu stała chwiejnie oparta o podnózek podsunięty do jednego ze stołów. Na nim spoczywało ciało mężczyzny o wygolonej czaszce. Na jednym ze stołów O'Dell dostrzegła odnalezioną wcześniej oderwaną dłoń. Ułożono ją na stalowej tacce.

Starsza kobieta wysunęła brodę w kierunku szafki, gdzie ustawiono kartony z rękawiczkami lateksowymi, ochraniaczami na buty oraz maseczkami chirurgicznymi. Na krześle leżało kilka kitli. O'Dell sięgnęła po przygotowany sprzęt i podeszła do Gunther.

- Sukinsyny założyły tu kłódki. Ciekawe, jak wyobrażali sobie, że się dostaną do środka. Poskarżę się ich przełożonemu - stwierdziła, po czym parsknęła głośno pod chirurgiczną maseczką. - Oni chyba naprawdę nie chcieli, by ktokolwiek tutaj wszedł.

- Jak zatem udało się tego pani dokonać?

- Ralph dał mi klucz do tylnych drzwi. Zamknęła je pani za sobą, prawda? - spytała, posyłając O'Dell nerwowe spojrzenie.

Maggie przytaknęła szybko.

- Po co mieliby prosić panią o pomoc przy odkopywaniu ciała, a potem zniechęcać do przeprowadzenia sekcji zwłok?

- Może dlatego, że nie chcą, by ktokolwiek dowiedział się, co tak naprawdę przytrafiło się tym ludziom.

Gunther wcześniej zdążyła oczyścić ciało denata. Na tacy leżały przygotowane narzędzia chirurgiczne. W oczy rzucało się narzędzie przypominające nożyce do żywopłotu. O'Dell wiedziała, że użyte zostanie do przecięcia żeber. Nie zrobiono jeszcze wstępnego nacięcia, nie pobrano żadnych próbek. Na stole czekały puste fiołki, które dopiero należało napełnić i opisać.

Po zmyciu błota w pełni widoczny stał się tatuaż *U.S. Airborne* z umieszczonym poniżej rysunkiem orła. Ślady w dolnej części ramienia, które z początku wzięła za oparzenia, teraz wyglądały raczej na duże czerwone siniaki. Nie przypominały wysypki, lecz podskórne wybroczyny po stłuczeniu. Na krawędziach widniały niewielkie białe pęcherzyki przywodzące na myśl ziarenka tapioki. Duże czerwone plamy pokrywały większą część ciała denata. O'Dell przypominały one oparzenia, ponieważ w niektórych miejscach skóra łuszczyła się i odchodziła. Jednak to nie były

oparzenia.

- Co musiało się stać, żeby skóra zareagowała w taki sposób? - spytała, wiedząc, że takie zmiany nie mogły zajść po śmierci.

- Tylko raz w życiu widziałam coś podobnego. Całe wieki temu, pod koniec lat sześćdziesiątych. Mój mąż służył wtedy w Eglin Air Force Base na obrzeżach Pensacoli na Florydzie. Studiował medycynę i czasami zabierał mnie ze sobą na zajęcia. Przeprowadzali wtedy jakieś testy. Polegało to na tym, że rozpylano substancję nazywaną znacznikiem BG. Miał to być nieszkodliwy związek chemiczny, w którego skład wchodziły fluorescencyjne cząsteczki. Dzięki nim mogli śledzić, jak wiatr wpływa na wrogi atak przy użyciu broni biologicznej. Pamiętam, że zgłosiło się wtedy do nas około trzydziestu żołnierzy, którzy pluli krwią i krwawili z uszu. Oprócz tego na ich skórze pojawiły się bąble i czerwone plamy, niemal identyczne jak te tutaj.

- Wie pani, co tak naprawdę rozpylano?

- Ależ skąd. Nigdy nie zdradzali nam takich rzeczy, nawet gdy staraliśmy się pomóc tym biedakom. Powtarzali, że objawy wkrótce ustąpią, a użyte substancje są całkowicie nieszkodliwe. Były do tego stopnia bezpieczne, że przeprowadzili jeszcze dziewięć testów. Mój mąż nie posiadał się z wściekłości. Mało brakowało, a przez tę całą sprawę straciłby najlepszego przyjaciela.

- Czy możliwe, aby zniszczona placówka badawcza testowała podobną substancję?

- Nie mam pojęcia. Jednak czymkolwiek to było, ma znacznie większą siłę działania. Proszę spojrzeć.

Gunther delikatnie dotknęła opuszką palca wskazującego czerwonej wybroczyny na brzuchu denata, lekko nacisnęła i przesunęła palec kilka centymetrów w prawo. Skóra ustąpiła pod naciskiem i w miarę jak przesuwawa palec, odchodziła od ciała.

W pewnym momencie lekarka spojrzała na O'Dell spod szkieł okularów ochronnych.

- Może mi pani wyjaśni, jak w takich warunkach mam przeprowadzić sekcję?

- Może nastąpiła reakcja alergiczna na przypadkowy kontakt z jakąś substancją?

- Niewykluczone. Choć byłyby to niesamowicie silna reakcja. To jeszcze nie wszystko - powiedziała i pochyliła się nad twarzą zmarłego. Tym samym palcem wskazującym, pomagając sobie kciukiem, uniosła górną wargę denata nad zęby, odsłaniając dziąsła. W miejscach, gdzie dziąsła zaczęły luszczyc się i krwawić, zęby przybrały intensywnie rdzawy kolor.

Lekarka odczekała, aż O'Dell dokładnie się temu przyjrzy, po czym wypuściła wargę z palców, przy okazji jednym nieostrożnym ruchem odrywając kawałek ciała.

- Można by pomyśleć, że gdyby nie powłoka z błota, to ciało dawno by się już rozleciało - zauważyła O'Dell.

- Podłączono mu jakieś elektrody - powiedziała Gunther, wskazując koliste ślady na skroniach, po czym odchyliła lewe ramię denata, na którym widoczne były czerwone miejsca po ukłuciach. - I zrobiono wiele zastrzyków.

- To był zwyczajny ośrodek badawczy - odezwała się O'Dell, jednak jej słowa zabrzmiały dziwnie blado, jakby sama nie wierzyła w to, co mówi. - Podejrzewaliśmy już wcześniej, że ten mężczyzna nie zginął podczas obsunięcia terenu.

- Śmierć na pewno nastąpiła wcześniej - potwierdziła stanowczo lekarka.

- Czy ta... substancja, z którą się zetknął, mogła go zabić?

- Nie wydaje mi się.

- Dlaczego tak pani sądzi?

- Pomóż mi go posadzić.

O'Dell wpatrzyła się niepewnie w starszą kobietę, ale ta ciągnęła już za prawe ramię mężczyzny.

- No dalej - popędziła. - Uważaj tylko, żebyś nie dotknęła skóry. Nie chcemy jej uszkodzić.

O'Dell przeszła na drugą stronę stołu i chwyciła lewe ramię denata. Po chwili udało im się go podźwignąć i posadzić.

- Proszę spojrzeć na jego plecy - poleciła Gunther.

Nie puszczając ciała, O'Dell nachyliła się, by zobaczyć to, co chciała jej pokazać kobieta. Jej oczom ukazało się więcej siniaków, jednak Gunther chodziło o coś jeszcze innego. W połowie wysokości jednej z łopatek Maggie dostrzegła niewielką czarną dziurkę.

Po chwili kobiety położyły z powrotem ciało na stole.

- A więc on też został zastrzelony.

- Tak.

- Czy przypadkiem pierwsze z odnalezionych ciał, należące do członka personelu badawczego, nie miało rany postrzałowej głowy? - spytała O'Dell.

- Też mi tak powiedziano, ale tutaj go nie ma - odparła lekarka, rozglądając się po sali. - Sprawdziłam wszystkie lodówki. Jest tylko to jedno ciało.

- Ross wspominał chyba, że zwłoki naukowca przewieziono tutaj.

- Może są w domu pogrzebowym - zastanowiła się lekarka. - Tam trafiają ciała ofiar obsunięcia terenu.

- A może już zostały stąd zabrane?

- Tak czy inaczej, na razie mamy tutaj tylko tego jegomościa. Oraz dłoń jakiejś kobiety.

- Skąd pewność, że należała do kobiety?

- Musiałabym się bliżej przyjrzeć, ale jest niewielka i ma cechy dłoni kobiecej. A na kciuku znalazłam złotą obrączkę z diamentami.

- Mężczyźni czasami też noszą obrączki na kciuku.

- To prawda - nie dała się zbić z tropu lekarka - ale niewielu maluje paznokcie na czerwono.

Kiedy Creed przedzwonił do Hanny, chciał przede wszystkim uspokoić ją, że wszyscy są bezpieczni.

- Nie posyłałam Grace z myślą, że będzie pracować.

- Wiem o tym - odparł. Teoretycznie mógł próbować zataić przed nią niektóre szczegóły, ale Hanna miała swoje sposoby, by dowiedzieć się prawdy. - Nic jej nie jest.

- Mam nadzieję. Posłałam ją z Jasonem, żeby nie snuła się osowiała, wyglądając twojego powrotu. Nie jechała do pracy.

Spoglądając na Grace, powoli uzmysławiał sobie, jak dobrze się czuł, gdy była w pobliżu. Suczka spała zwinięta w kłębek w legowisku tuż przy jego łóżku polowym. Próbowła śledzić poczynania pana jednym okiem, ale w końcu zmęczenie okazało się silniejsze. Po chwili oddychała głęboko, pogrążona w głębokim śnie.

Bolo położył się na podłodze w nogach polowego łóżka. Jeden z wolontariuszy rozłożył dla Creeda dwa łóżka w zacisznym rogu sali. Dzięki temu miał teraz nieco prywatności, a Bolo mógł się odprężyć. Wystarczyło jednak, by ktoś poruszył się na jednym z bliżej stojących łóżek, a zaalarmowany pies natychmiast podnosił łeb. Spoglądał w kierunku, z którego dobiegał hałas, następnie obrzucał spojrzeniem opiekuna, po czym znowu opuszczał łeb na podłogę.

Jason i Avelyn zajęli miejsca pięć łóżek dalej. Zjedli obiad, a potem, gdy Creed się mył, nakarmili psy. Leżeli naprawdę niedaleko - Creed mógł ich dojrzeć, kiedy staną.

Piętnaście po siódmej machnięciem ręki dał znać Jasonowi, żeby podszedł. Umówili się, że chłopak przypilnuje śpiących psów, w czasie gdy Creed spotka się przy obiedzie z Maggie. Kiedy jednak znalazł się w stołówce, nigdzie nie mógł jej wypatrzeć. Wydawało się, jakby przepadła gdzieś bez śladu. A może po prostu zmieniła zdanie co do wspólnego posiłku.

Maggie O'Dell nadal stanowiła dla niego zagadkę. Zazwyczaj z kobietami szło mu dosyć łatwo. Wchodzenie w poważne związki to co innego, ale jednego był pewien - większość kobiet, z którymi się spotykał, nie mogła narzekać.

W ostatnim półroczu pracował z Maggie przy dwóch sprawach. W jednej,

która zaprowadziła ich do Blackwater River State Forest, oboje, razem z Bolem, niemal nie stracili życia.

Maggie go pociągała. Domyślał się, że podziela jego uczucia. Był jednak również ten trzeci, którego Logan nareszcie nazwał po imieniu - Ben, facet, do którego Maggie miała słabość. W gruncie rzeczy Creedowi nie robiło to wielkiej różnicy, ponieważ kierował się jedną zasadą: nigdy nie sypiał z kobietami, z którymi pracował.

Mimo to przyłapywał się na tym, że co chwilę zerka w kierunku drzwi.

W pewnym momencie poczuł, jak ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. A po chwili stanął przed nim Oliver Vance. W rękach trzymał tacę, na której piętrzyły się brudne naczynia.

- Jeszcze raz dzięki, że nam dzisiaj pomogłeś.

- Jakies wieści o pani Hamlet? - zainteresował się Creed.

- Podobno czuje się całkiem dobrze. Tę noc spędzi jeszcze w szpitalu na obserwacji - wyjaśnił, po czym wskazał stół w kącie stołówki, od którego wstawali właśnie ludzie z jego ekipy, i dodał: - Weź obiad, przynieś mi z łaski swojej filiżankę kawy, a ja przytrzymam dla nas miejsce.

Creed zerknął na drzwi - do sali napływali zgłodniaли ratownicy, jednak nadal nie było wśród nich Maggie.

- Z mlekiem czy cukrem?

- Z tym i tym. I weź dla mnie kawałek placaka z wiśniami, jeśli jeszcze coś zostało.

- Mają tu placek z wiśniami? - zdziwił się Creed.

- Domowej roboty.

Entuzjazm przejawiany przez tego olbrzyma sprawił, że twarz Creeda rozjaśnił uśmiech. Uśmiechał się nadal, gdy zajął miejsce w kolejce. I właśnie wtedy dojrzał, jak do sali wchodzi Maggie. Przystanąła i przez chwilę wypatrywała wśród jedzących Creeda. Ubrana była w tę samą co wcześniej służbową wiatrówkę z literami FBI, ale zdążyła wziąć prysznic i przebrać się w suche ciuchy. Na jej głowie panował jednak bałagan - włosy miała potargane i wilgotne, a na twarzy wypieki, jakby przed chwilą biegła. Kiedy ich spojrzenia wreszcie się skrzyżowały, uśmiechnęła się do niego. Creed zaczekał, aż podejdzie do niego, manewrując między stolikami i przeciskając się pośród ratowników. Gdy się zbliżała, kilku obejrzało się za nią.

Na parę następnych minut Creed zapomniał nawet o miarowym łupaniu, które rozsadzało mu czaszkę.

Creed liczył, że nawet w zatłoczonej stołówce znajdą chwilę, by pomówić sam na sam. Skończyło się jednak na tym, że Vance pochłonął trzy filiżanki kawy, zjadł dwa kawałki ciasta i zasypał Maggie opowieściami. Sprovokowało go pytanie, czy jego rodzina nie ucierpiała podczas obsunięć terenu. Nic podobnego. Okazało się, że mieszkał na przeciwnym krańcu stanu, ale i tak wykorzystał okazję, by pochwalić się zapisanymi na komórce zdjęciami żony i dwóch córeczek, za którymi strasznie już tęsknił. Kiedy dotarł do zdjęć swojego psa, uświadomił sobie, że chyba się zagalopował. Wyłączył komórkę i schował ją do kieszeni koszuli.

- Twoje psy są niesamowite - zwrócił się do Creeda, jakby nagle zawstydził się, że skupiał na sobie całą uwagę. - Jason zdradził mi, że wszystkie przygarnęliście po tym, jak podrzucili wam je poprzedni właściciele. Faktycznie tak było?

- Tak, w przypadku wielu psów to prawda. Kilka zabrałem też ze schronisk. Często rasa nie jest wcale najważniejsza, znacznie istotniejszy jest charakter danego zwierzaka.

- Oraz osoba opiekuna - wtrąciła Maggie.

- Wielu treserów bardziej przeszkadza niż pomaga.

Vance wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokiwał ochoczo głową.

- Jeden z moich ludzi pracował dziś z facetem przysłanym przez FEMA^[5] oraz jego psem. Pies podniósł alarm podczas poszukiwań i ludzie przez trzy godziny przekopywali miejsce, w którym sądzono, że znajduje się ciało. Okazało się, że pies wyczuł zdezelowaną lodówkę pełną zgnitego mięsa.

- Jaką nagrodę miał dla psa jego opiekun? - spytał Creed, ale Vance wzruszył tylko ramionami. - Jeśli na co dzień używają do tego celu mięsa, tłumaczyłoby to, dlaczego pies wywęszył akurat lodówkę z mięsem. Dlatego właśnie najlepiej wykorzystywać zabawki.

- Szkoda, że jutro nie będę już mógł liczyć na twoją pomoc. Wiem, że twój szef oraz agentka O'Dell oczekują, że będziesz pracował na miejscu, które zabezpieczył ich zespół.

- Niewiele zdziałamy, o ile nie zdołają skierować wód powodziowych w inną stronę - zauważyła Maggie.

- Pewnie w tym celu ściągnięto ciężki sprzęt, który widziałem niedawno -

wtrącił Vance. - Zabawne: FBI stanie na głowie, byle wydobyć ciała kilku ofiar. Ale kiedy ja próbuję wyprosić u nich parę dodatkowych buldożerów i psów tropiących, słyszę tylko wykręty.

Kiedy rozstali się z Vance'em, zdążono już przygasić nieco światła w sali sportowej. Creed poprowadził Maggie pośród rzędów łóżek, z większości których dobiegało już pochrapywanie. Jason leżał na łóżku Creeda i oglądał mecz na komórce. Na ich widok usiadł i w milczeniu zebrał swoje rzeczy.

Legowisko Grace znajdowało się między dwoma łózkami polowymi. Pies spojrzął na przybyłego opiekuna i zamerdał ogonem. Następnie dojrzał Maggie i próbował wstać, jednak Creed nakazał mu gestem, by został na swoim miejscu. Maggie obesła legowisko, po czym usiadła na przygotowanym dla siebie łóżku i pogładziła sukę po łbie.

Creed odbył krótką szeptaną rozmowę z Jasonem. Omawiali plany na następny dzień - chłopak miał zostać na miejscu z Grace. Dostał też kartkę papieru, którą Creed wydobył z torby. Widniało na niej imię i numer telefonu.

- Ten gość powinien coś dla mnie mieć. Zadzwon do niego.

- W porządku - odparł Jason, jednak po chwili upewnił się: - A może wolałbyś zostać jutro tutaj i odpocząć? Chętnie wrócę na górę z Bolem.

- Miło mi to słyszeć, ale Logan wyraźnie stwierdził, że to ja mam jutro zjawić się na miejscu,

Jason nie naciskał. Umówili się, że spotkają się nazajutrz przy śniadaniu. Potem chłopak poszedł do swojego łóżka.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Bolo trzyma już łeb na kolanach Maggie, a Grace zdążyła wdrapać się na jej łóżko i złożyć głowę na poduszce.

- Grace...

- Sama ją zawołałam - uspokoiła go Maggie. Następnie przytuliła Bola i wskazała mu jego legowisko w nogach łóżek, a pies posłusznie poczępał w tamtą stronę.

Była już bez butów. Wiatrówkę rzuciła na koc, ściągnęła bluzę z kapturem. Została w samym T-shircie i dzinsach. Po chwili ułożyła się na powrót obok Grace i przytuliła się do niej.

- Wciąż krwawisz? - spytała, wskazując plamę widoczną na wysokości piersi Creeda.

- Może odrobinę.

Po prysznicu, zmieniając opatrunek na żebrach, otworzył przypadkowo kilka ran. Uniósł teraz podkoszulek, żeby przyjrzeć się tym miejscom.

- Nie powinieneś wiązać tak mocno bandaża.

- Lekarz wiązał go jeszcze mocniej.

- To pewnie ktoś wykształcony przed laty. Tak ciasny opatrunek utrudnia oddychanie. W ten sposób możesz nabawić się zapalenia płuc. Masz może więcej bandaża?

Sięgnął do torby leżącej w nogach łóżka i wyciągnął z niej nową rolkę. Nie miał ochoty zakładać nowego opatrunku. Za pierwszym razem sprawiło mu to sporo problemów.

Maggie wyciągnęła rękę, wtedy podał jej rolkę.

- Zdejmij koszulę - poleciła, a widząc jego wahanie, dodała zachęcająco: - Zrobimy to tak, żebyś poczuł więcej luzu.

Uśmiechnął się na te słowa i poczekał, aż dotrze do niej, jak to zabrzmiało. Kiedy Maggie zorientowała się, co powiedziała, przewróciła tylko oczami, ale dojrzał też, że oblała się lekkim rumieńcem.

Ściągnął koszulę i zabrał się za odwijanie starego bandaża, ale w pewnym momencie mu przerwała.

- Pozwól mi to zrobić.

Przez następne kilka minut problemy z oddychaniem zeszyły na plan dalszy, ponieważ praktycznie przez cały czas wstrzymywał oddech. Odwijanie starego bandaża i nakładanie świeżego oznaczało, że co chwilę dotykały go dłonie Maggie. Musiała nachylić się nad nim tak nisko, że łaskotały go jej włosy. Unikała jego spojrzenia, on jednak nie mógł oderwać od niej oczu. Nim opatrunek znalazł się na miejscu, Creed był krańcowo wyczerpany. Zaprzeczanie temu, co czuł, kosztowało go zbyt wiele.

Maggie położyła się na swoim łóżku, nadal nie odrywając oczu od swego dziecka. Od Creeda dzieliło ją zaledwie pół metra. Między nimi leżał też pies rasy Jack Russell terrier, oddychający miarowo i pogrążony w głębokim śnie. Creed był pewien, że gdyby znalazł się na miejscu Grace, nie zmrzyłby oka. Co chwila jednak próbował sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby Maggie przytuliła się do niego.

- Dzięki - powiedział w końcu.

- Dzięki za znalezienie mi łóżka.

- Myślisz, że Ben jakoś to znieśie?

Otworzyła jedno oko i uniosła brew w niemym pytaniu.

- To, że śpimy ze sobą - odpowiedział.

Nie udzieliła żadnej odpowiedzi. Zamknęła oczy, lecz nawet w przyćmionym świetle Creed dostrzegł, że się uśmiecha.

Waszyngton

Ellie przemknęła się tylnymi schodami i zaczekała, aż Carter wyjdzie z gmachu. Następnie poprosiła jednego z członków swego sztabu o pomoc i wspólnymi siłami załadowali kartony z dokumentami do bagażnika jej wozu. Teraz była już w domu, a podłogę jej salonu zaścilały strony niektórych akt.

- Mamo, a George je pizzę w bawialni!

Ellie podniosła wzrok znad papierów. Na progu zarzuconego dokumentami pokoju stała jej córeczka. Najwyraźniej cały ten bałagan nie robił na niej żadnego wrażenia, jakby jej mama każdego dnia przywoziła do domu kopie ściśle tajnych dokumentów sprzed czterdziestu lat i rozrzucała je po podłodze.

- Pozwoliłam mu.

Ellie sięgnęła po następny plik teczek i zaczęła je przeglądać.

Córka ani drgnęła. Ellie spojrzała znów na nią i czekała na jakąś reakcję.

- Mamo, wszystko gra? - spytała, omiatając wzrokiem pokój i marszcząc nosek, jakby dopiero w tej chwili zobaczyła, co się w nim dzieje.

- Oczywiście, kochanie - odparła Ellie, jednak dziewczynka dalej stała nieruchomo.

Ellie wiedziała, że dzieci tęsknią za ojcem. George Ramos był kłamcą, a wkrótce miał zostać skazany i osadzony w więzieniu, ale jednego nie mogła mu odmówić - zawsze bez zarzutu wywiązywał się z roli ojca. Dla dzieci ostatni rok był naprawdę trudny. Czasami zastanawiała się, czy przypadkiem nie wypatrują oznak, które podpowiedziałyby im, że mama niedługo się załamie albo też je porzuci, jak ich ojciec.

- Mogę zjeść pizzę w swoim pokoju?

- Oczywiście.

- Serio? - Dziewczynka wpatrywała się w nią podejrzliwie, jakby za przyzwoleniem kryła się jakaś sztuczka albo test.

- Zanim pójdziesz na górę, przynieś mi kawałek, dobrze?

Mała skinęła głową, ale jeszcze na odchodnym obrzuciła mamę podejrzliwym spojrzeniem.

Ellie rozparła się wygodnie na sofie, wyciągnęła przed siebie nogi i wygięła plecy w koci grzbiet. Przekopywanie się przez te papiery to była robota dla kilkunastoosobowego zespołu. A przecież nadal nie wiedziała, czego tak naprawdę powinni szukać. Departament Obrony dosłownie zasypał ich dokumentami, przy czym wiele z nich okazało się zupełnie bezwartościowe. Ellie podejrzewała, że jest to celowe działanie, które ma ich zdezorientować i sparaliżować. Przypominało to sytuację, w której ktoś prowokuje komisję, by szukała igły w stogu siana.

A zresztą jakie to wszystko miało znaczenie? Przecież wiele lat temu odbyły się przesłuchania przed Kongresem. Ich rezultatem było zlecenie przeprowadzenia specjalnych badań w tej sprawie. Przecież członkowie ówczesnej komisji musieli zapoznać się już z tymi dokumentami. Gdyby zawierały jakieś obciążające dowody, na pewno ujrzałyby światło dzienne.

Cisnęła trzymane w ręku papiery na stos. Nie miała nawet pojęcia, czego szuka. Czy naprawdę zależało jej na poznaniu prawdy, czy może była po prostu zła na Quincy'ego, że zataja przed nią pewne sprawy? Ten facet skaptował w tym celu nawet szefa jej sztabu.

Ale dlaczego mieliby ukrywać przed nią osobę Frankiego Sadowskiego? Był weteranem i pochodził z Florydy, jej rodzimego stanu. Uważał się za poszkodowanego przez Projekt 112. Naturalnie, gdyby spytał ją o zdanie, nakłaniałaby go do złożenia zeznań. Jednak w lipcu nie wiedziała przecież, że w ogóle dojdzie do przesłuchań w tej sprawie. Czyżby Sadowski był jedynym powodem, dla którego senator Quincy dopuścił ją do zasiadania w komisji? Czyżby założył, że jeśli Sadowski będzie przekonany, iż ma w komisji przychylną mu panią senator, łatwiej będzie Quincy'emu kontrolować zeznania leciwego weterana? W co grał senator Quincy i do czego potrzebował jej szefa sztabu?

Zachodziła w głowę, czy Quincy w ogóle zamierzał traktować ją jak pełnoprawnego członka komisji. Z drugiej strony - jak mogła się uskarżać na swój los? Wykorzystała pozycję jedynej kobiety w komisji, by w ogóle zagwarantować sobie w niej udział. A co ją motywowało? Chciała po prostu poprawić swoje notowania przed ubieganiem się o reelekcję. Nie było w tym nic szlachetnego. Zwyczajny egoizm.

Przeczesała palcami długie włosy i opadła na oparcie sofy.

Boże, nie jestem wcale lepsza niż cała reszta tego towarzystwa.

Gierki, kompromisy, kierowanie się zasadą „coś za coś”, bo w tym świecie nic nie było za darmo. Od samego początku powinna reagować na ich seksistowskie zagrywki i uwłaczające komentarze. Podczas jej pierwszego miesiąca w roli pani senator jeden z bardziej doświadczonych senatorów oznajmił, że ma „naprawdę świetny tyłek”. I tak dobrze, że jej nie uszczypnął. Ale ta odzywka dla innych była sygnałem, ile można sobie wobec niej pozwolić.

Z początku sądziła, że cała seksistowska otoczka straci na znaczeniu i oedzie w zapomnienie, niczym upokarzające rytuały inicjacyjne przy wstępowaniu do bractwa studenckiego. Nic z tego – w zeszłym tygodniu inny doświadczony senator spytał ją, jak znosi rozłąkę z latynoskim mężem. W podtekście kryła się insynuacja, że musiała przywyknąć do częstego uprawiania seksu. Następnie senator zaproponował swoje usługi. Ellie zareagowała śmiechem, jakby właśnie usłyszała najzabawniejszy dowcip, ale tak naprawdę nie miała pojęcia, co innego mogłaby zrobić.

Przecież tym właśnie trudnili się wszyscy mężczyźni – opowiadaniem sobie prymitywnych, sprośnych dowcipów, a następnie zaśmiewaniem się z nich do rozpuku.

Sięgnęła po następny stos teczek, jednak coś ją powstrzymało. Przecież to absurd. Całkowita strata czasu. Zaczęła wkładać papiery z powrotem do kartonu, gdy nagle na podłogę sfrunęła szara koperta. Zanim jeszcze się po nią schyliła, zorientowała się już, że pochodzi sprzed wielu lat. Na odwrocie widniała metalowa klamerka, wokół której zebrała się otoczka rdzy. Kiedy wzięła ją do ręki, wydała jej się krucha. W środku wyczuła coś grubszego od papieru.

Ellie zerknęła na pudło, z którego wypadła koperta. Wszystkie te papiery były kopiami dokumentów. Czy to możliwe, by pośród nich znalazł się jeden oryginał?

Spróbowała ostrożnie i powoli otworzyć metalowy zatrzask. W pewnym momencie jedna z części ułamała się i Ellie poczuła nagle przyływ paniki. Odłożyła na bok kawałeczek metalu. Złapała się na tym, że już planuje, jak przyklei go z powrotem.

Skończona idiotka! Po prostu otwórz tę cholerną kopertę!

Wyciągnęła zawartość i położyła na stoliku do kawy. I w tej chwili jej ręka, trzymająca opróżnioną kopertę, zamarła w powietrzu. Ukazały się czarno-

białe zdjęcia w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, wyglądające na dzieło zawodowego fotografa. Odciski pieczęci z datami miały ząbkowane krawędzie, widniały na nich lata: 1953, 1958, 1962, 1965.

Ellie wzięła do ręki jedną z nich. Spodziewała się czegoś zupełnie innego. Tyle się mówiło o spryskiwaniu chemikaliami całych okrętów i baz marynarki, o marynarzach i żołnierzach narażonych na działanie broni biologicznej. Tymczasem wcale nie miała przed sobą zdjęć marynarzy i okrętów. Na fotografiach uwieczniono jakichś uczniów.

Wsunęła ręce do kartonu i po chwili wyciągnęła z niego teczkę, z której – jak sądziła – wypadła koperta. Teczka ta różniła się od pozostałych – brakowało na niej jakiegokolwiek etykiety.

W sumie Ellie znalazła pięć zdjęć. Dzieci ustawiono w szeregu i kazano się uśmiechać. Obok nich widać było mężczyznę w garniturze. W ręku trzymał dziwnie wyglądającą różdżkę, z której wynurzał się snop jasnego światła. Nie zdołała rozpoznać w tym obrazie żadnej znanej sobie sztuczki magicznej, którą popisywali się cyrkowi sztukmistrze.

Na jednym ze zdjęć mężczyzna trzymał różdżkę u stóp dzieci. Na kolejnym uczniowie byli zwróceni tyłem do kamery, a mężczyzna machał różdżką na wysokości ich pleców.

W kopercie nie znalazła żadnej kartki, która mogłaby zawierać jakieś wyjaśnienie. Na każdym zdjęciu widniał natomiast odcisk pieczęci z datą. Wyjęła z teczki połówkę strony jakiejś starej gazety. Po chwili umiała już je zidentyfikować – pochodziły z „Chicago Tribune”, „The New York Timesa” oraz wydawanego w Minneapolis „Star Tribune”. Dwa wycinki pochodziły z 1994 roku, jeden był całkiem nowy – odnalazła na nim datę: 2012 rok. Ze wszystkich krzyczały niepokojące nagłówki:

W MINNEAPOLIS W 1953 ROKU PRZEPROWADZANO TESTY BRONI BIOLOGICZNEJ

WNIESIONO OSKARŻENIE, POSZUKIWANE SĄ DANE DOTYCZĄCE TAMTYCH WYDARZEŃ

ARMIA ROZPYLAŁA NA TERENIE ST. LOUIS TOKSYCZNE SUBSTANCJE

– Mamo, nie tknęłaś pizzy. – Głos córki gwałtownie wyrwał Ellie z rozmyślań. Dziewczynka stała tuż obok. Ellie zamknęła teczkę i rzuciła ją na stertę fotografii.

– Zaraz ją zjem. Zamyśliłam się.

– Co ty właściwie tu robisz?

Zazwyczaj córeczka nie zwracała uwagi na to, co robi mama, chyba że w jakiś sposób dotyczyło to również jej. Tak właśnie działał umysł dwunastolatki.

– Mam trochę pracy.

– Naprawdę?

- Tak.

Dziewczynka odeszła, potrząsając głową.

Ellie ponownie otworzyła teczkę i sięgnęła po jeden z gazetowych artykułów. W 1953 roku armia wypuściła w powietrze całe obłoki siarczku cynkowo-kadmowego - związku będącego zdaniem wojskowych ekspertów zupełnie niegroźnym dla zdrowia. Celem akcji było zbadanie, jak rozpylone chemikalia będą się roznosić w powietrzu w razie ataku przy użyciu broni biologicznej. Test przeprowadzono w szeregu wielkich miast amerykańskich, a w ich obrębie wytypowano dodatkowo konkretne dzielnice. W Minneapolis chemikalia rozpylano sześćdziesiąt jeden razy w czterech różnych częściach miasta, używając w tym celu generatorów umieszczonych na pakach ciężarówek oraz dachach budynków.

Jednym z takich miejsc była szkoła podstawowa w Minneapolis. Ponieważ siarczek cynku ma właściwości fluorescencyjne, uczniów w różnych porach poddawano testom przy użyciu „specjalnych świateł”, które miały wykazać, czy rozpylone chemikalia przylgnęły do ich butów, ubrań i skóry. Jeśli odnajdywano ich ślady, starano się ustalić, jak długo się utrzymują.

W tym miejscu Ellie przerwała lekturę i wzięła głęboki oddech. Czuła młodości, a kielbasa pepperoni ze zjedzonej pizzy tylko pogarszała jej samopoczucie.

W artykule mowa była o konieczności ujawnienia przez armię wszelkich danych na temat tej sprawy. Obecnie siarczek cynkowo-kadmowy uważano za związek trujący, rakotwórczy i grożący powstaniem wad płodu. Mimo to w 1997 roku Krajowa Rada Badawcza uznała, że użyto znikomą ilość chemikaliów, więc nie można było mówić o szkodliwości dla zdrowia.

Członkowie Rady przyznali równocześnie, że ich badanie miało charakter „pobieżny” i jeśli chodzi o „ilości rozpylonej substancji” oraz „dokładne właściwości chemiczne fluorescencyjnych cząsteczek”, opierało się na niekompletnych informacjach dostarczonych przez armię oraz zarząd Fort Detrick.

Rada stwierdziła również, że w okresie 1952-1969 armia bez wiedzy opinii publicznej przeprowadziła ponad sto podobnych testów skuteczności broni biologicznej zarówno na terenach miejskich, jak i wiejskich. W niektórych wykorzystano siarczek cynkowo-kadmowy, w innych *Bacillus globigii*, czyli laseczkę sienną, lub też *Serratia marcescens*, czyli pałeczkę

krwawą, a więc bakterie występujące powszechnie w wodzie, pożywieniu i ściekach.

Ellie odłożyła wycinki z powrotem do teczki, ostrożnie wsunęła zdjęcia do koperty i dopiero wtedy zauważyła, że w środku utknęła jeszcze jedna fotografia. Rozchyliła kopertę, a wtedy zdjęcie wypadło na stół.

Na fotografii widniała data 1968. Przedstawiała grupkę innych dzieci, którym tym razem towarzyszyli trzej mężczyźni w mundurach. Stali tuż przy dzieciach i uśmiechali się do zdjęcia. Wtem coś ją tknęło - przypatrzyła się dokładniej wojskowym. Rozpoznawała dwóch z nich.

Nie, to przecież niemożliwe.

Podniosła zdjęcie do światła, potem spojrzała na drugą stronę, gdzie znalazła podpis. Teraz miała pewność - mężczyzną w środku był młody pułkownik Abraham Hess. Po jego lewej ręce stał lekarz wojskowy doktor Samuel Gunther. Natomiast po prawej ręce Hessa stał ojciec Ellie.

Dzień 3.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

W środku nocy Creeda obudziło bębnienie kropel deszczu uderzających o dach sali gimnastycznej. Dlatego gdy nazajutrz rano ujrzał wodę na ulicach, nie był zbyt zdziwiony. Zdażył już przywyknąć do myśli, że każdego dnia będzie pracował po kolana w błocie. Nie spodziewał się jednak chłodu.

Nocą spadła temperatura. Jak tylko wyszedł z budynku, poczuł na twarzy podmuch chłodnego powietrza. Spojrzeli po sobie z Maggie i bez słowa wrócili po dodatkowe ubrania.

Wkrótce spotkali się z Peterem Loganem. Podjechał po nich land roverem, za kierownicą siedział gwardzista Ross. Creed, Maggie i Bolo zapakowali się do samochodu, który był po sam dach utaplany w błocie. Brunatna skorupa zalepiła nawet okna, znacznie ograniczając widoczność. Bolo zrobił się nerwowy – wyboista droga pod górę i dwóch obcych mężczyzn na przednich siedzeniach niezbyt mu odpowiadały. Creed pozwolił mu zasiąść na skórzanym fotelu między nim a Maggie. Zignorował przy tym niechętnie spojrzenie Logana.

Na szczęście przestało padać i nadal nie podnosiła się mgła. Niebo zasławi jednak szare chmury, z których w każdej chwili mogło lunąć.

Samochód dowiózł ich do miejsca, gdzie kończyła się droga, po czym wszyscy pasażerowie wzięli swoje torby i ruszyli za Rossem tam, gdzie prowadzono akcję wydobywczą.

Logan wydawał się przygaszony. Nie wygłaszał głupich dowcipów, nie klepał nikogo po ramieniu i darował sobie niewłaściwe komentarze. Zniknęła też skórzana kurtka, w której pojawił się wczoraj. Ubrany był tak, jakby naprawdę ruszał do brudnej roboty. Obserwując go, Creed zastanawiał się, czy szef Logana zaczął tracić cierpliwość.

Dlaczego Logan potrzebował dwóch dni, zanim dotarło do niego, że musi tu przylecieć? Przepadła też bez śladu jego asystentka, Isabel Klein. Ani ona, ani jej przełożony nie przejmowali się losem potencjalnych ocalonych – członków personelu badawczego obecnych na terenie ośrodka, gdy rozpoczął się kataklizm. Nikt nie wspominał, czy ciała, których mają dzisiaj szukać, należeć będą do pracowników placówki. Creed pamiętał, jak Vance mówił, że ekipom ratowniczym odmówiono wszelkich informacji na temat ośrodka.

W całej tej sprawie roiło się od sekretów. Wszystko objęto ścisłą tajemnicą. Creed wiedział, że był to ulubiony sposób działania Logana. Poza tym przypuszczał, że DARPA mogła mieć swoje powody, by utrzymywać wszystko w sekrecie. Został wynajęty do wykonania konkretnego zadania. Miał prawo zadawać tylko takie pytania, które mogły go przybliżyć do osiągnięcia celu. Priorytetem było dla niego bezpieczeństwo czworonogów.

Z doświadczenia wiedział, że lepiej jest, gdy zna możliwie najmniej szczegółów, niezależnie od tego, czy szukali narkotyków, czy ciał ofiar. Unikał nadmiaru informacji, które mogłyby wpływać na emocje, a więc postawić go w jednym rzędzie ze stróżami prawa, z którymi pracował. Przewodnik, który wiedział zbyt wiele i miał zbyt duże oczekiwania, mógł sprawić, że jego pies będzie wskazywał fałszywy trop. Zamiast pozwolić, by prowadził ich węch psa, człowiek taki kierował się zbyt oczywistymi znakami i sam narzucał zwierzęciu, na co powinno zwracać uwagę.

Gdy brnęli przez muł, Creed uświadomił sobie nagle, że ta potrzeba zachowania zawodowego dystansu odniosła teraz niezamierzony skutek - nie wiedział nawet, jaką rolę w całej sprawie odgrywała Maggie. Wiedział tylko, że jej tak zwany facet, Ben, znał się dobrze z Loganem i że to on ją tu przysłał. Creeda nie obchodziło, co ją tu sprowadziło. Wystarczyło, że budził się rano i widział ją leżącą tuż obok.

Poprzedniego dnia Maggie pracowała razem z Rossem i teraz oboje opowiadali na zmianę Creedowi, co udało im się znaleźć. Ross poinformował, że ludzie z jego oddziału przez całą noc wznosili w górnej partii góry zapórę, która ma przekierować nurt strumienia. Creed nie mógł się jednak opędzić od myśli, że osobliwym pomysłem jest angażowanie tylu sił do wydobycia kilku ciał, podczas gdy w innych sektorach dotkniętych kataklizmem na ratunek mogli czekać żywi poszkodowani.

Z miejsca, w którym się znajdowali, nie byli w stanie dojrzeć zbudowanych przez noc zapór ani sprowadzonego sprzętu. Creed nasłuchiwał pomruku pracujących silników, ale na próżno. W powietrzu unosiła się tylko delikatna woń benzyny. Najbardziej interesowało go, co pozostawiła po sobie woda, gdy skierowano ją w inny kierunek.

Ziemia poprzecinana była głębokimi rowami, wśród mułu tkwiły odłamki betonu - niektóre wielkie niczym głazy - oraz uczezione gałęzi, porwane fragmenty linii wysokiego napięcia i kawały metalu o ostrych,

postrzępionych krawędziach.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na wysuniętej półce skalnej widział tysiące kawałków potłuczonego szkła, które połyskiwały w mule. Wcześniej spryskał poduszki na łapach Bola aerozolem tworzącym warstwę ochronną, która miała powstrzymać wchłanianie toksycznych substancji. Był to prezent od doktor Avelyn. Nie mógł jednak zapomnieć o skaleczeniach na łapach Grace po ostatniej akcji w lesie. Zakładanie na łapy ochraniaczy było ryzykowne, ponieważ zwierzę potykałoby się w nich. Creed musiał przez cały czas bacznie przyglądać się Bolowi i nie pozwalać mu na dłuższe spacerowanie po błocie.

Po wymianie szeptem jakichś uwag z Loganem Ross ruszył przodem w górę zbocza. W pewnym momencie Creed miał wrażenie, że usłyszał, jak Logan gniewnym głosem przypominał młodemu gwardziście, że nadal tu dowodzi. Były to osobliwe słowa w ustach zastępcy szefa agencji DARPA.

Gdy Ross poszedł, do Logana podeszła Maggie. Creed wyłapywał skrawki jej pytań, słyszał, jak nalegała, gdy nie była zadowolona z odpowiedzi wojskowego. W końcu postanowił nie zwracać uwagi na ich rozmowę i skupić się na przygotowaniach.

Wprowadził współrzędne do przenośnego urządzenia GPS, a drugi nadajnik umieścił w siatkowej kieszonce na kamizelce Bola. Wokół psa unosiła się już woń, jaką wydzielal, gdy niecierpliwie na coś czekał. Creed nazywał ją „zapachem spoconego łba”, choć przecież psy nie pocily się jak ludzie. Dla Bola niższa temperatura mogła okazać się korzystna, ale nie oznaczało to, że łatwiej mu będzie odszukać trop. Chłód spowalniał procesy gnilne.

Creed mógł wyczuć w powietrzu woń pleśni zmieszaną z czymś kwaśnym. Woń rozkładającego się ludzkiego ciała do tego czasu musiała już zostać zanieczyszczona przez dodatkowe składniki – błoto i muł.

W końcu Maggie skończyła przepytawać Logana, rozmawiała teraz z kimś przez telefon. Logan natomiast podeszedł do Creeda i dojrzał, jak ten przygląda się zajętej rozmową agentce.

- Ach, te kobiety, zwykle więcej z nich szkody niż pożytku - zagaił.

- Po co w takim razie ją tu zaprosiłeś?

- To nie ja. Mój szef zażyczył sobie kogoś z przygotowaniem w dziedzinie medycyny sądowej, a do tego działającego z ramienia FBI. Zapewne sądził, że federalni będą grali w naszej drużynie. Mało prawdopodobne, by

podejrzewał, że Benjamin Platt przyśle tu pannę, którą posuwa.

Creed poczuł zalewającą go falę gorąca. Łupanie w głowie nie zniknęło, a gniew tylko je potęgował.

- Pracowałem z nią wcześniej - powiedział, próbując uspokoić głos, ponieważ Bolo wpatrywał się już w niego bacznie, posyłając nerwowe spojrzenia w kierunku Logana. Gdyby pies uznał, że Logan stanowi zagrożenie dla jego opiekuna, rzuciłby się na niego bez żadnego ostrzeżenia.

- Ma duże doświadczenie w tej dziedzinie.

- Czyżby? Nie potrzeba mi tu kogoś, kto będzie podważał moje decyzje i oczerniał mnie przed moim przełożonym.

- Logan, może wreszcie uchyłisz rąbka tajemnicy i zdradzisz, o co tu chodzi? Dlaczego te ciała są dla was takie ważne?

Spodziewał się odpowiedzi w stylu „nie twój interes”, jednak Logan tylko wpatrywał się w niego bez słowa. Creed nie mógł się pozbyć wrażenia, że ten arogancki dupek naprawdę za chwilę wyjawি mu prawdę. Logan uciekł spojrzeniem w górę zbocza, potem spojrzał przez ramię na Maggie.

- DARPA ma swoje placówki badawcze na terenie całego kraju - stwierdził cichym głosem. - Cieszą się dużą niezależnością. Taki system pracy odpowiada ludziom na górze. Jeśli coś pójdzie źle, nikt nie może pociągnąć ich do odpowiedzialności, bo przecież nie wiedzą nawet, co się dzieje w tych ośrodkach. Logiczne, co nie?

- Chcesz mi powiedzieć, że nie wiedzieliście, nad czym pracują ludzie w tym ośrodku?

- Mamy ogólne wyobrażenie.

- Nie zdołaliście odszukać jeszcze szefa tej placówki?

Twarz Logana, zanim odpowiedział, stężała niczym maska.

- Wczoraj twój pies odnalazł fragment jej ciała. Być może to wszystko, co z niej pozostało.

Wieczorem Jason opowiedział Creedowi o odkopanej kobiecej dłoni.

- Skąd wiecie, że to jej dłoń?

- Spotkałem się z doktor Shaw zaledwie kilka razy, ale rzucił mi się w oczy czerwony lakier, jakim malowała paznokcie. Na kciuku nosiła obrączkę z diamentami. Oczywiście przeprowadzimy jeszcze badanie odcisków palców.

- Reszta jej ciała zapewne jest pogrzebana pod ziemią - domyślił się

Creed.

- Wiem tylko tyle, że mój szef strasznie się piekli. W tym tygodniu odbywają się przesłuchania przed Kongresem. Trwają w tej chwili, gdy rozmawiamy. Właśnie dlatego nie ma z nami Bena Platta. Senat szuka kozłów ofiarnych w sprawie sprzed ponad pół wieku.

- A jaki to ma związek z naszą sprawą?

- Nie rób sobie jaj. Psiarzu, chyba nie jesteś aż tak naiwny. Obsunięcie terenu nie mogło się zdarzyć w mniej sprzyjającym momencie. Jestem nowym człowiekiem w agencji, nie mam nawet rocznego stażu, ale to właśnie moja przeszłość teraz się waży.

- Ale przecież sam przed chwilą powiedziałeś, że nie możesz odpowiadać za coś, o czym nie wiedziałeś.

- Umknął ci ważny szczegół: mówiłem o „ludziach na górze”, których nie sposób pociągnąć do odpowiedzialności.

- Logan, o co tu chodzi? Jeśli próbujesz wciągnąć mnie w kolejny spisek, zbieram manatki i wyjeżdżam.

- Kolejny spisek? - spytała Maggie, która podeszła po cichu od tyłu i zatrzymała się metr od nich.

Waszyngton

- Panie Sadowski, komisja jest gotowa wysłuchać pańskich zeznań.

Frankie nie zmrugał oka przez całą noc. Zbyt wiele dziwnych hałasów dobiegało zza drzwi pokoju hotelowego. Nie pomagała też świadomość, że nie wiedział już, czy może komuś ufać. Żałował, że zabrał ze sobą Susan.

Światła oślepiły go, gdy znalazł się w sali. Gdyby nie pomoc prowadzącej go urzędniczki, być może nie trafiłby na swoje miejsce. Cały się spocił, podskoczyło mu ciśnienie.

Senator Quincy zadał mu na początek kilka podstawowych pytań. Następnie zaczął mówić o Projekcie 112 oraz Projekcie SHAD. Raz za razem powtarzał, że pragnie, by dla wszystkich, łącznie z Frankiem, stało się jasne, czym były owe projekty zdaniem Departamentu Obrony.

- Była to seria testów przeprowadzonych między rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym przez Departament Obrony. Przedstawiciele Departamentu przyznali, że wykorzystano wówczas szereg rodzajów broni chemicznej i biologicznej, między innymi gaz VX, sarin czy bakterie pałeczki okrężnicy.

Senator czytał z jakiegoś obszernego dokumentu. Frankie widział, jak przewraca kartki.

- Zdaniem Departamentu Obrony celem owych testów - ciągnął Quincy - było zidentyfikowanie słabych punktów w systemie obrony Stanów Zjednoczonych na wypadek ataku przy użyciu broni chemicznej i biologicznej. Wyniki testów miały posłużyć do opracowania procedur odpowiedzi na takie ataki. Planowano zbadanie, jak zmienne warunki klimatyczne, środowiskowe i inne oddziałują na skuteczność ataku chemicznego i biologicznego. Podczas testów z samolotów wojskowych rozpylano chemikalia lub substancje je udające. W ramach Projektu SHAD chemikalia rozpylano nad okrętami. Przeprowadzono też szkolenia marynarzy dotyczące dekontaminacji jednostki pływającej oraz pobierania próbek powietrza. W niektórych przypadkach substancje te rozpylano nad konkretnym obszarem i prowadzono pomiar ich ruchów w powietrzu. Jeden z tego typu testów nosił nazwę *Shady Grove* i został przeprowadzony w ramach Projektu SHAD na terenie Eglin Air Force Base na obrzeżach miasta Pensacola w stanie Floryda. O ile dobrze

rozumiem, panie Sadowski, był to jeden z tych testów, podczas których został pan narażony na kontakt z niebezpieczną substancją, przy czym działo się to bez pana wiedzy ani przyzwolenia. Czy to się zgadza?

- Mało tego. Nie tylko odbywało się to bez mojej wiedzy i zgody, ale dodatkowo nie wiedziałem nawet, że w ogóle biorę udział w jakimś teście. Nigdy nas o tym nie poinformowano.

- Jak zatem tłumaczyliście sobie pobieranie próbek powietrza, skoro nie wiedzieliście o testach?

- Osobiście nigdy nie pobierałem takich próbek. Ale w czasie realizacji testu przebywałem w bazie.

- Skąd może pan o tym wiedzieć, skoro w tamtym czasie nie dysponował pan wiedzą o tym, na czym polega ów test?

Frankie otarł pot z czoła. Spodziewał się, że czeka go tu nie lada przeprawa. Nie podejrzewał jednak, że będą go przesłuchiwać.

- O *Shady Grove* dowiedziałem się niedawno, z gazet.

Salę wypełnił nagle gniewny pomruk, jakby przyłapano go na kłamstwie. Jednak taka właśnie była prawda - wraz z kolegami nie tak dawno przeczytali o tych testach i nazwach, jakie im nadano.

- Senatorze Quincy - odezwała się senator Delanor - wszyscy znamy szczegóły dotyczące tych testów. Wiemy z całą pewnością, kiedy je przeprowadzano. Znamy też przebieg służby wojskowej pana Sadowskiego.

Frankiemu rzuciło się w oczy, że senator Delanor sprawia wrażenie przemęczonej. Starannie nałożony makijaż nie był w stanie ukryć ciemnych obwódok pod oczami. Pani senator ciągnęła:

- Wczoraj pozwoliliśmy doktorowi Hessowi długo przemawiać. Uważam, że jesteśmy to samo winni panu Sadowskiemu. Wysłuchajmy jego historii. Czekał bardzo długo, by się nią z nami podzielić. Bardzo mi zależy, by jej wysłuchać. I mam nadzieję, że państwo mają takie same odczucia.

- Naturalnie - odparł krótko senator Quincy.

Frankie przez chwilę się wahał, jednak w końcu opowiedział im to, z czym tu przybył. Mówił o samolocie, który latał nad głowami żołnierzy. O tym, jak zaraz potem zaczęły mu doskwierać problemy z oddychaniem. Opowiedział o spotkaniu weteranów po latach, o dolegliwościach, na jakie wszyscy się skarżyli, operacjach, nowotworach. Opowiedział im historię Gusa, a na koniec postanowił wspomnieć też o raku, z którym sam walczył.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

O'Dell popatrzyła wyczekująco na Creeda, jednak jego spojrzenie podpowiedziało jej, że nie chce albo nie może zaspokoić jej ciekawości. Przeniosła wzrok na Logana.

- Nie ma to nic wspólnego z tobą - odezwał się Logan. - Proszę, weźmy się po prostu do roboty. Zwróć uwagę, że używam słowa „proszę”. Niezbyt często mi się to zdarza.

Po tych słowach ruszył przed siebie ciężkim krokiem, wyciągając z kieszeni kurtki komórkę. Kiedy Maggie spojrzała na Creeda, ściągał pasy mocujące na psie kamizelkę i kończył przygotowania. Nie podnosząc na nią wzroku, odezwał się:

- Nie mam prawa o tym mówić.

- Racja. To też jest ściśle tajne - sarknęła. Powoli zaczynała ją wkurzać cała ta otoczka tajemnicy. Przecież Ben również nie raczył zdradzić jej żadnych szczegółów.

- Nie twierdzą, że to ściśle tajne - zaprotestował Creed, przypinając do psiej kamizelki smycz i wstając. - Maggie, jak to się stało, że się tu znalazłaś?

Pytanie zdziwiło ją, tym bardziej że nie umiała udzielić na nie jasnej odpowiedzi.

- Sama zacznę się zastanawiać.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, w nadziei, że usłyszy parę słów wyjaśnienia. Kiedy w końcu domyślił się, że czeka na próżno, odwrócił się do niej plecami. Ten gest był aż nadto wymowny - niczym zatrzęsnięcie komuś drzwi przed nosem.

Zanim opuścili salę sportową, Maggie odbyła rozmowę z wicedyrektorem Raymondem Kunzem, w trakcie której poinformowała przełożonego o znaleziskach doktor Gunther i o tym, co miała do powiedzenia na ich temat. Następnie poczekała, jaka będzie reakcja rozmówcy i jakie da instrukcje. W przeszłości szef bez zmrużenia oka wysyłał ją tam, gdzie działo się coś niebezpiecznego. Raz nawet sprawił, że znalazła się na terenie, gdzie szalał huragan. Tym razem jednak wydawał się autentycznie zaniepokojony.

Zdążyła już przywyknąć, że ocena sytuacji przez szefa zmieniała się

w zależności od uwarunkowań politycznych. Kunze miał wyraźną słabość do kilku urzędników i senatorów, między innymi pani senator Ellie Delanor. Zazwyczaj to ich interesy stawiał na pierwszym miejscu, dlatego Maggie ze zdziwieniem przyjęła jego słowa:

- Nie podoba mi się to. Dokładnie w tej chwili odbywają się przesłuchania przed Kongresem.

Miała takie same przecucia, ale żadne z nich nie śmiało wypowiedzieć ich na głos w rozmowie telefonicznej. Najwyraźniej komuś zależało na kontrolowaniu śledztwa dotyczącego tych zabójstw. Czy wśród decydentów był też Ben, czy może tylko ktoś wykorzystywał go do swoich celów?

Kunze poradził, by na siebie uważała. Obiecał, że popyta i poinformuje ją, czego się dowiedział.

Na razie jednak Maggie nie wiedziała, komu może zaufać. Opowiedziała Loganowi o ranie postrzałowej, którą odkryły zeszłej nocy z doktor Gunther. Przede wszystkim chciała zobaczyć jego reakcję i dowiedzieć się z niej czegoś o motywach. Logan jednak wydawał się bardziej wkurzony faktem, że włamały się do prowizorycznej kostnicy, niż stanem ciał ofiar.

- Moim obowiązkiem jest chronienie tych ciał. Żadna z was nie ma prawa przebywać tam beze mnie.

- Jak pana zdaniem Gunther miała wykonywać swoje obowiązki, skoro nie zapewnił jej pan dostępu do ciał?

- Powinna była zaczekać, aż na miejscu pojawi się ktoś upoważniony do otwarcia lokalu.

- Ja tam byłam - stwierdziła O'Dell.

Nie odezwał się ani słowem, ale spojrzenie, jakie jej posłał, było najlepszym potwierdzeniem, że ona i Kunze mieli rację. Ben poprosił ją o zaangażowanie się w tę sprawę, ponieważ potrzebowali kogoś dyskretnego, komu mogliby zaufać. Zależało im na kimś, kto umiał trzymać język za zębami. Przynajmniej do chwili, gdy zakończą się przesłuchania przed Kongresem.

Wyglądało na to, że zaufaniem obdarzyć mogła tu jedynie Rydera Creeda oraz jego czworonożnych podopiecznych.

Zauważyła, że jak tylko Creed sprowadził psa z półki skalnej do rowu, który wyglądał jak wyschnięte koryto rzeczne, Bolo zaczął węszyć. Koryto poprzecinane było w miejscach, gdzie z góry napływała rwącymi

strumieniami woda powodziowa. Na ziemi nadal mieniły się gdzieniegdzie kałuże. Creed skrócił smycz, pozwalając, by pies go prowadził. Równocześnie starał się tak nim manewrować, by omijać miejsca zasypane odłamkami gruzu. Maggie domyślała się, że gdyby dać psu możliwość wyboru, pognałby przed siebie w podskokach.

Ich wspinaczka trwała około dwudziestu minut, gdy nagle z góry dobiegł donośny huk. O'Dell momentalnie poczuła, jak pod stopami drży ziemia. Brzmiało to jak odległy wybuch. Wyteńczyła wzrok i starała się wypatrzeć wśród drzew kłęby dymu. Creed biegł w jej stronę. Wykrzykiwał coś, czego nie mogła dosłyszeć. Wypuścił z dłoni smycz Bola i gestem nakazywał psu, by też ruszył biegiem.

Maggie obejrzała się w kierunku Logana i zobaczyła, że zaszedł dalej pod górę korytem rzeki. Stał odwrócony do niej plecami, do ucha wciąż przyciskał komórkę.

- Biegnij! - doleciał ją krzyk Creeda.

W pierwszej chwili pomyślała, że zwraca się do Bola, jednak najwyraźniej chodziło teraz o nią. Jego twarz wykrzywił grymas przerażenia. Ślizgał się w mule, zbiegając po własnych śladach. W pewnym momencie Bolo przewrócił się i Maggie ujrzała, jak Creed stara się postawić wielkie psisko na łapach. Opiekun i pies nadal znajdowali się w wyschniętym korycie rzeki.

O'Dell ruszyła biegiem w ich stronę, ignorując rozpaczliwe gesty Creeda, który nakazywał jej biec w przeciwnym kierunku. Przystanęła na półce skalnej i starała się domyślić, jak najlepiej może im pomóc. Gdyby Creedowi udało się donieść psa do półki, mogłaby pomóc im się wspiąć po wilgotnym i śliskim brzegu.

Kolejny huk. Tym razem bliżej.

I wtedy uświadomiła sobie, co tak naprawdę się stało. To wcale nie były dźwięki eksplozji - załamały się tamy ustawione przez noc w wyższych partiach zbocza. Po chwili dobiegł ją ryk uwolnionego żywiołu, a w następnej sekundzie ujrzała, jak nadciąga ku nim wysoka ściana wody.

Z początku Creed był przekonany, że są świadkami kolejnego obsunięcia terenu. Puścił rękojeść smyczy i nakazał Bolowi, by puścił się biegiem. Psie łapy ślizgały się jednak w mule, zahaczały o siebie. Bolo co krok potykał się i lądował w błocie. Creed przystanął. Żałował, że nie może po prostu chwycić psa pod ramię jak małej Grace i zanieść go w bezpieczne miejsce.

- Spokojnie, mały - powiedział, biorąc w ramiona ważące niemal czterdzieści kilogramów zwierzę.

Maggie nie posłuchała jego nawoływań, by uciekała - nadal czekała na krawędzi półki skalnej. Dzieliło go od niej półtora metra, gdy runęła na nich ściana wody. Siła uderzenia była tak wielka, że wypuścił psa z rąk, a sam został przewrócony do góry nogami. Starał się trzymać złączone stopy i nie dać się przewrócić na brzuch, gdy porwał go rozpędzony nurt. Jego szaleńcza jazda trwała tylko chwilę. Fala rzuciła nim na betonową ścianę i zdołał się uchwycić jakiegoś wystającego elementu.

- Bolo! - zawałał, jednak uszy wypełniał mu ogłuszający ryk wody.

Złapał się krawędzi głazu i wygramolił się na szczyt. Z bezpiecznej odległości wyglądało to jak woda wałająca w dół progów na rzece. Starał się wypatrzeć Bola, a gdy nigdzie go nie dojrzał, poczuł przyływ paniki. Następnie rozejrzał się za Maggie - jej również nie zobaczył.

Wtem został uderzony kłębem splątanych gałęzi i niemal dał się zepchnąć z głazu. Kopnął gałęzie i zdołał się od nich uwolnić. Przewalały się nad nim kolejne fale, grożąc, że w każdej chwili zrzucą w kiel u dołu. Gdy ryk nieco ucichł, Creed podciągnął się wyżej. W pewnym momencie poczuł przeszywający ból w piersi i musiał się zatrzymać.

- Creed!

W górze rzeki dojrzał Maggie. Trzymała się na nogach, nadal uczipiona półki skalnej. Dojrzał coś nad jej ramieniem. Otarł twarz, żeby lepiej widzieć, a gdy cofnął rękę, zobaczył na niej plamy krwi. Skupił się na przeczesywaniu spojrzeniem linii brzegowej w dolnym biegu strumienia.

Nadal ani śladu po Bolu. Poczuł, jak ogarniają go mdłości.

Powinien trzymać psa ze wszystkich sił. Oczami wyobraźni widział już skulone psie ciało, ciśnięte pod którąś z betonowych płyt. Ta myśl sprawiła, że automatycznie rozluźnił uścisk. Chciał się poddać i dołączyć do

podopiecznego.

- Creed!

Maggie była teraz naprzeciw niego. Stała na brzegu i dzieliły go od niej jakieś trzy metry. Z pozoru niewiele, jednak zbyt daleko, by móc wyciągnąć rękę i się schwycić.

Ramię obwijała sobie liną i stopniowo uwalniała jeden jej koniec. Po chwili przywiązała go do pnia drzewa. Creed oparł policzek na chłodnym kamieniu. Bolały go ramiona. Nurt zwalniał, jednak nadal nie mógłby w nim ustać. Nagle żołądek podszedł mu do gardła, zamknął oczy. Nigdy wcześniej nie stracił żadnego psa. Hanna twierdziła, że prędzej czy później musi do tego dojść i że nigdy nie będzie na to gotowy. Miała rację. Stopy ześlizgiwały mu się do lodowatej wody i wraz z nurtem ciągnęły go w dół strumienia. Creed nadal kurczowo trzymał się betonu i nie otwierał oczu.

- Creed! Musisz to złapać.

Wolałby, żeby dała mu spokój. Przynajmniej na chwilę.

- Bolo, po ciebie przyjdę za chwilę. Musisz jakoś wytrzymać.

Creed błyskawicznie uniósł powieki. Czyżby się przesłyszał? Podciągnął się na omdlewających z wysiłku łokciach. Maggie miała utkwione w nim spojrzenie, w rękach trzymała zakończony supłem koniec liny, gotowa rzucić ją Creedowi. Kiedy dojrzała jego pytające spojrzenie, wskazała w górę strumienia. Dotychczas sprawdzał tylko przeciwny kierunek.

I nagle, pośród rozpędzonej wody, dojrzał Bolo. Pies stał spokojnie wsparty czterema łapami na płaskiej powierzchni innej betonowej płyty.

Uchwyciwszy koniec liny, spróbował sforsować strumień. Dwukrotnie usiłował stanąć prosto i za każdym razem woda zbijała go z nóg. Gdyby kurczowo nie trzymał się liny, pozwoliłby się porwać kipieli w dół strumienia, a woda zabawiłaby się jego ciałem niczym plastikową piłeczką.

Miał wrażenie, że dotarcie do brzegu zajęło mu całe wieki. Dochodziły do niego słowa zachęty ze strony Maggie, która równocześnie chwaliła za cierpliwość Bola i namawiała psa, by wytrzymał jeszcze trochę. Za każdym razem gdy odzywała się do psa, Creed miał ochotę się uśmiechnąć.

W końcu poczuł, jak Maggie chwyta go za kołnierz kurtki. Jego stopy szukały oparcia na śliskim zamulonym brzegu, a O'Dell ciągnęła go w górę. Dowlókł się wreszcie w bezpieczne miejsce, przewrócił na bok i próbował złapać oddech. Równocześnie starał się zapanować nad bólem, który rozrywał mu piersi.

W pewnym momencie poczuł na twarzy dotknięcie palców Maggie i otworzył oczy. Klęczała tuż obok i gładziła go po policzku. Dłonią podtrzymywała go za podbródek, a jej kciuk wędrował po jego ustach.

- Bałam się, że cię stracę - wyznała niemal szeptem, a już w następnej chwili, jakby poderwana nagłym sygnałem alarmu, podciągnęła go do pozycji siedzącej. - Musisz mi pomóc wydostać Bola. Myślisz, że dasz radę?

Próbowała pomóc mu się podnieść, ale odpędził ją niecierpliwym gestem. Jego kolana były jak z waty. Kiedy stanął prosto, ból w piersi stał się nie do zniesienia - skrzywił się i czekał, aż minie. Na próżno. Po chwili znów wyczuł na ramieniu dłoń Maggie.

- Może powiedz mi tylko, co mam robić - zaproponowała.

Zebrała już linę, jednak Creed rozglądał się wkoło za grubymi gałęziami. Rzucił spojrzenie w kierunku Bola - nareszcie mógł mu się spokojnie przyjrzeć. Pies dojrzał zainteresowanie pana i zaczął merdać ogonem.

- Bolo, nie ruszaj się. Zostań tam, gdzie jesteś - powiedział spokojnym głosem.

Pies posłusznie podwinął znów ogon, zmienił nieco ustawienie łap i przycupnął na betonowej powierzchni. Dokładnie takie sytuacje, pływanie w wodzie powodziowej i wspinanie się na fragmenty ścian, Creed przerabiał podczas treningów ze swymi psami ratowniczymi, które miały pracować na

terenie katastrofy. Wiedział już, że psu nic nie grozi, ale jak ściągnąć go z tej betonowej wysepki na brzeg? Maggie musiała wyczuć jego rozterki, bo po chwili stanęła znów przed nim.

- Wydostanę go stamtąd, ale musisz mi powiedzieć, jak mam to zrobić.

- Nie uda ci się go przenieść. Bolo waży blisko czterdzieści kilo.

Maggie spojrzała w kierunku psa, jakby oceniała, czy Creed nie przesadza. Po chwili jej spojrzenie powróciło ku niemu.

- Mało brakowało, a porwałby cię nurt. Ty też nie zdołasz go tu przyholować. A jeśli będę musiała ratować i ciebie, i Bola naraz, będzie mi trudno.

- Gdzie jest Logan? - Wcześniej niewiele go to obchodziło, teraz jednak pomoc wojskowego mogłaby się przydać, więc zaczął się za nim rozglądać.

- Dostał czymś w głowę. Stracił przytomność. Zaciągnęłam go do namiotu, kiedy szukałam liny.

Creed zwlekał z odpowiedzią.

- Ryder! Musisz mi pozwolić to zrobić!

Wiedział, że ma rację. Łomot w jego głowie nasilał się i nie słyszał nic innego. Ból w piersi odbierał mu oddech. Mimo wszystko odpychał od siebie myśl, że to Maggie ma schodzić do wody.

- Czy Bolo umie pływać?

- Świetnie pływa, ale nurt jest za silny.

- Mogę obwiązać się w pasie liną. Będę trzymała się Bola, on będzie płynął, a ja tylko nim pokieruję.

- Woda jest zamulona. Pod powierzchnią niesie gruz, którego nawet teraz nie widzimy.

- Długo tam nie ustoi. Pozwól mi przynajmniej spróbować.

Chwyciła go za ramię, popatrzyła mu w oczy. Wyczuwał, że za chwilę poprosi go o coś wyjątkowo cennego i rzadkiego.

- Ryder, musisz mi zaufać.

- Masz rację - odparł w końcu Creed. - Ale musisz zdjąć ubranie.

- Słucham?

Pewnie mu się wydawało, ale dojrzał, jak jej policzki oblewa rumieniec. Twarda agentka FBI, gdy przychodziło do zdejmowania ubrań, zawsze okazywała się odrobinę nieśmiała.

- Będą cię obciążać. Mówię zupełnie serio, jeśli się ich pozbędziesz, łatwiej ci będzie utrzymać się na powierzchni. Butów nie zdejmuj, dzięki temu unikniesz poranienia stóp i zapewnią ci lepszą przyczepność.

Po tych słowach powrócił do poszukiwania wytrzymałego konara, którego Maggie mogłaby użyć jako tyczki. Poruszanie się w wodzie z tyczką pomagało utrzymać równowagę. W najgorszym razie mogła jej się przydać do wyszukiwania niebezpiecznych fragmentów gruzu pod powierzchnią wody. Kiedy znów na nią spojrział, zdążyła już pozbyć się koszulki. Stała teraz w staniku, a po chwili rozpięła też dzinsy. Nagle jednak zamarła i zapatrzyła się w wodę. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, Maggie zapięła z powrotem spodnie.

- Nie pozwolę, by pogryzł mnie jakiś szczur żyjący w ściekach.

Creed skinął głową, próbując powstrzymać uśmiech. Następnie pomógł jej obwiązać się w pasie liną, drugi koniec przymocowali do pnia drzewa. Sam stanął w połowie długości liny i chwycił mocno. Miał popuszczać linę w miarę, jak Maggie będzie się oddalać, albo ją zbierać, gdy tego będzie wymagała sytuacja. Na koniec podał jej znaleziony konar.

- Trzymaj go przez cały czas po tej stronie ciała, którym będziesz zwrócona ku górnemu biegowi strumienia. Dzięki temu będziesz się mogła na nim oprzeć i nie będzie ci uciekał. W przeciwnym razie tyczka okaże się zupełnie bezużyteczna. Prąd będzie to popychał, to znów cię ciągnął. Jeśli zbije cię z nóg, pamiętaj, żeby trzymać nogi wyciągnięte przed siebie. Ważne, by to one zderzały się z kamieniami, a nie twoja głowa.

Maggie chłoneła każde słowo, potakując w milczeniu.

- Pamiętasz te głębokie żłoby przecinające koryto?

Znowu kiwnięcie głową.

- Jeśli zdarzy ci się wejść w któryś, nie panikuj. Woda w nich będzie ci najwyżej sięgać do piersi - zapewnił, choć nie miał wcale pewności, że tak

faktycznie jest. Jednak przy tej prędkości, z jaką waliła woda, było mało prawdopodobne, by Maggie w ogóle dotknęła stopami dna tych szczelin.

Następnie wskazał zejście do rzeki.

- Najłatwiej będzie ci się poruszać, kiedy ustawisz się pod kątem czterdziestu pięciu stopni względem prądu. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale musisz mi zaufać.

Pomógł jej zejść do rzeki i poczuł, jak zadrżała w zetknięciu z lodową wodą.

- O rety. Ależ chłodna! Bolo, trzymaj się! Już po ciebie idę.

Radziła sobie lepiej, niż Creed zakładał. Nie starała się walczyć z prądem, zamiast tego powoli, systematycznie parła do przodu, niekiedy szła po dnie, a chwilami dryfowała. W pewnym momencie wywróciła się do góry nogami - Creed zebrał wtedy szybko linę, aby nurt nie porwał pływaczki dalej. Podziękowała mu machnięciem i podjęła marsz, ani na chwilę nie wypuszczając z rąk konara, który pomagał jej utrzymać się na nogach.

Gdy wreszcie dotarła do Bola, pies merdał w podnieceniu ogonem, wyraźnie gotowy, by wskoczyć za nią do wody. I właśnie wtedy Maggie zrobiła coś, czego ani Creed nie przewidział, ani wspólnie nie omówili. Chwyciła koniec smyczy i obwiązała się nią w pasie, a następnie zawiązała na supeł. Teraz nawet gdyby wypuściła z rąk Bola, pies nadal pozostałby do niej przywiązany. Z drugiej strony pojawiło się ryzyko, że pociągnie ją za sobą w dół strumienia.

Creed ścisnął trzymaną linę i obwiązał ją sobie wokół nadgarstków. Sprawdził też mocowanie liny na pobliskim pniu: trzymało się mocno. Buty ślizgały się na błocie. Wystarczyło niespodziewane szarpnięcie, i mógł wylądować na ziemi. Gdy nagle poczuł, jak prąd wciąga Maggie, instynktownie ugiął nogi w kolanach i przykucnął. Bolo był już razem z nią w wodzie.

Niełatwo przychodziło jej nakłonienie psa, by zachowywał się spokojnie. Bolo musiał być już wyczerpany, ale pozostałe zasoby energii kazały mu ruszyć w szaleńczym tempie do brzegu na spotkanie opiekuna. Maggie jednak nie puszczala go i nadal trzymała blisko siebie.

Gdy pomogła psu zejść z betonowej wysepki, nurt porwał gałąź, która służyła jej do utrzymania równowagi. W efekcie nie mogła już dłużej wspierać się stopami o dno. Zamiast tego zdała się na umiejętności

plywackie Bola, podczas gdy Creed nadawał im kierunek.

Wolną ręką odpychała się od mijanych przeszkód. Umiała przewidzieć, że coś znajduje się na torze ich wędrówki, nawet gdy nie dostrzegał tego stojący na brzegu Creed. Z drogi w drugą stronę zapamiętała położenie mijanych skał i teraz mogła bezpiecznie je omijać, manewrując w kipieli.

Kiedy w końcu zbliżyła się do brzegu, Creed poprosił ją gestem, by poczekała w wodzie jeszcze chwilę. Nie luzując liny, podszedł do drzewa i zamocował ją na nowo, tak by podczas wciągania Maggie i Bola na półkę skalną nadal mogła służyć pomocą.

Gdy Maggie odwiązała opinając ją w talii psią smycz, Bolo zaczął gramolić się na błotnisty brzeg. Creed i Maggie pomagali mu dostać się na górę, ciągnąc i pchając czterdziestokilogramowe zwierzę. Kiedy wreszcie stanął na lądzie, Bolo momentalnie rzucił się na opiekuna i oblizał mu twarz.

- Chwileczkę, kolego. Musimy jeszcze wydostać Maggie.

Bolo ruszył za nim, gdy Creed skierował się do krawędzi półki. Pies położył się na brzuchu, tak że przednimi łapami sięgał za brzeg - wyglądał, jakby naprawdę chciał pomóc. Creed podał mu linę, a ten uchwycił ją w zęby. Kiedy Creed ciągnął, pies wtórował mu w jego wysiłkach. W końcu, gdy Maggie była już bezpieczna, Ryder przytulił ją do siebie, a po chwili oboje upadli na ziemię.

Brakowało mu tchu. Ciężar jej ciała miażdżył mu obolałą pierś, ale nic sobie z tego nie robił. Nadal trzymał ją blisko siebie. Jego usta odnalazły jej policzek, potem poszukały ucha. W końcu odezwał się zachrypniętym głosem:

- Udało ci się!

Maggie dźwignęła się w górę, uważając, by dłońmi wspierać się na ziemi, a nie na nim. Jej twarz rozjaśniał promienny uśmiech. Była zdyszana i wyraźnie zadowolona z siebie. Creed dostrzegł też w jej twarzy wyraz ulgi. Olbrzymiej ulgi.

Tymczasem Bolo sposobził się już do zabawy. Żartobliwie bódł Maggie łbem, aż w pewnym momencie zepchnął ją z Creeda prosto w błoto. Zarzuciła ramiona na wielkie mokre psie ciało i mocno go przytuliła.

Kiedy Creed spróbował uklęknąć, znów poczuł przeszywający ból. Przyjął z powrotem pozycję leżącą. Tym razem leżał twarzą zwrócony do błota, i po

chwili zamknął oczy.

Waszyngton

Ellie starała się skupić na zeznaniach Franka Sadowskiego. Aby nie tracić koncentracji, robiła notatki, jednak myśli wciąż dryfowały ku odnalezionym wśród dokumentów starym zdjęciom uczniów. Widok ojca, który z uśmiechem pozował do jednego z nich, zupełnie wytrącił ją z równowagi.

Zawsze darzyła ojca wielką miłością i szacunkiem. Były mąż często żalił się, jak trudno mu konkurować z mężczyzną, który odszedł z tego świata w glorii bohatera, gdy jego córka miała dwadzieścia dwa lata. Faktycznie ubóstwiała tatę. I nagle rozgorzała w niej burza emocji, których nie rozumiała. Musiała zmierzyć się z faktami - wszystkimi faktami, łącznie z tymi, które przez ostatnie półwiecze niezliczeni urzędnicy państwowi i senatorowie konsekwentnie zamiatali pod dywan.

Czas, który upłynął między wczorajszymi i dzisiejszymi zeznaniami, pozwolił jej dojść do przekonania, że senator Quincy od samego początku zaplanował jej udział w tej komisji. Przypominała sobie teraz, że skłonił ją do tego Carter. Jego zdaniem wzięcie udziału w przesłuchaniach miało być sprytną zagrywką PR-ową, która poprawi notowania w wyborach. To również on zasugerował, by odegrała rolę pełnej współczucia rzeczniczki swych licznych wyborców-weteranów, od których głosów zależeć miała ewentualna wygrana.

Nadal nie wszystko rozumiała, jednak nie wątpiła, że Carter i Quincy wykorzystali ją w swojej gierce. Dlaczego jednak wybrali właśnie ją? Może po prostu założyli, że łatwo będzie nią manipulować. Słusznie przypuszczali, że zgodzi się na udział w komisji i będzie grała w drużynie senatora Quincy'ego. Jeśli zaś chodzi o korzyści, jakie z całej sprawy mógł wynieść Carter - zdobycie nagrody w postaci posady szefa sztabu senatora Quincy'ego bez wątpienia oznaczało większą władzę, większy prestiż, a nawet większe pieniądze. W Waszyngtonie wystarczył jeden z tych czynników, by dopuścić się zdrady.

Ellie rozumiała teraz, że Quincy nigdy nie zamierzał kiwnąć palcem w interesie weteranów, którzy - jak Frank Sadowski - ucierpieli fizycznie i emocjonalnie na skutek realizacji Projektu 112. Chodziło wyłącznie o spektakl, który miał przedstawić senatora Quincy'ego w dobrym świetle

i ukazać go jako człowieka dzierżącego ster władzy. Wynik obrad nie powinien niczym się różnić od wyniku obrad wszystkich wcześniejszych komisji. Koniec końców senator John Quincy będzie udawał, że zrobił wszystko, co w jego mocy, choć tak naprawdę nie miałyby to żadnego przełożenia na rzeczywistość.

Po zeznaniach pana Sadowskiego zarządzono krótką przerwę w obradach. Uczestnicy mogli rozprostować nogi, a dziennikarze zyskali szansę na wydobycie od nich krótkich komentarzy, które mogły znaleźć się w najbliższym wydaniu wiadomości. Ellie spodziewała się, że po wznowieniu obrad Quincy zapewne przystąpi do podsumowywania dzisiejszego spotkania.

W pewnym momencie spośród tłumu wyłuskała postać Amelii Gonzalez. Asystentka pani senator weszła do holu bocznymi drzwiami, rozglądając się niepewnie. Ellie zamachała do swej podwładnej i patrzyła, jak drobna kobietka sunie w jej stronę, manewrując pośród tłumu. Kiedy spotkały się wcześniej, dziewczyna chłonęła z uwagą słowa Ellie i sporządzała notatki, nie chcąc niczego uronić z jej instrukcji. A teraz stała tuż przed nią, ściskając plik kopert. Punktualna i dumna z wykonanego zadania. Jak tylko Ellie pozbędzie się Cartera, Gonzalez stanie się godną następczynią na fotelu szefa sztabu.

Wspólnymi siłami rozdzieliły koperty, układając je na stołach przy miejscach zajmowanych przez wszystkich członków komisji. Ellie wróciła na swoje miejsce, a po chwili salę wypełnił gwar uczestników powracających po przerwie. Kilka minut później głos zabrał Quincy.

- Usłyszeliśmy już zeznania wszystkich naszych świadków - stwierdził. - Jeśli nikt nie zgłasza zastrzeżeń, na tym zakończymy dzisiejsze obrady.

Po tych słowach senator nie pofatygował się nawet, by spojrzeć na zebranych, gotów był odesłać ich do domów. I właśnie wtedy przemówiła Ellie.

- Jeśli pan pozwoli, panie przewodniczący, o ile wiem, każdy z członków komisji ma prawo poprosić świadków o dodatkowe wyjaśnienia. Nie myślę się, prawda?

Wypowiedziała te słowa uprzejmym tonem, a senator posłał zgromadzonym zboliałe spojrzenie, które oznaczało: jasne, możemy chyba wygospodarować chwilę naszego cennego czasu, skoro tego domaga się

jedyna kobieta zasiadająca w komisji.

- Nie myli się pani, pani senator - odparł. - Urzędnicze na pewno uda się jeszcze zawrócić pana Sadowskiego.

- Ależ nie chodzi wcale o pana Sadowskiego.

W tej chwili Quincy wyraźnie stracił rezon, a Ellie spokojnym głosem dodała:

- Chciałabym poprosić o dodatkowe zeznania doktora Abrahama Hessa.

Zanim udało się przywrócić spokój na sali i odnaleźć Hessa, upłynęło ponad pięć minut. W tym czasie Ellie poleciła członkom komisji, by wstrzymali się z otwieraniem dostarczonych im kopert. Quincy mierzył ją wściekłym bezsilnym spojrzeniem.

W końcu, powłócząc nogami, do sali wszedł pułkownik Hess, u boku mając pułkownika Platta. W ostatnich kilku dniach obaj wojskowi sprawiali wrażenie nierozłącznych. W spojrzeniu, jakim Benjamin Platt obdarzał starszego oficera, Ellie dostrzegała ten sam podziw, jaki sama niegdyś odczuwała wobec pułkownika Hessa. Kiedy widziała, z jak wielkim szacunkiem odnoszą się do tego człowieka wszyscy zgromadzeni, sama poczuła, że na nowo zalewa ją fala zachwytu.

Co, do jasnej cholery, przyszło jej do głowy?

Hess zajął miejsce i dostosował położenie mikrofonu do swej przygarbionej postawy. Następnie spojrzął na panią senator, czekając, co powie. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

- Doktorze Hess - odezwała się tym samym uprzejmym tonem, jakim wcześniej zwróciła się do Quincy'ego - opowiedział nam pan o działalności i znaczeniu Projektu 112 oraz Projektu SHAD. Jak sam pan zauważył, lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte były burzliwym okresem w naszych dziejach. Nam, którzy byliśmy wtedy dziećmi albo, w niektórych przypadkach, nie przyszliśmy jeszcze na świat, trudno wyobrazić sobie zagrożenia, przed jakimi wówczas stanęliśmy.

Hess skinął głową, a Ellie odniosła wrażenie, że wszyscy zgromadzeni rozluźnili się nieco, widocznie spodziewając się, że nastąpi teraz nudne podsumowanie obrad i wygłoszona zostanie laudacja ku czci Hessa.

- Nikt z nas nie podejrzewał, że testy, podobne do tych, które realizowano w ramach Projektu 112, wcale nie były jedynymi, jakie przeprowadzano na terenie naszego kraju.

Ellie zamilkła na chwilę i poczekała, aż jej słowa wywrą stosowny efekt. Hess sprawiał wrażenie zaskoczonego, a przynajmniej nieco zbitego z tropu. Mimo to nadal wydawał się nieporuszony, a jego spojrzenie było skupione. Przechylił tylko nieco głowę na bok w oczekiwaniu na to, co powie pani senator.

- Co właściwie próbuje pani powiedzieć, senator Delanor? - wtrącił się Quincy. Głos senatora zdradzał, że to jego obleciał strach. Nie takiego rozwoju wypadków się spodziewał.

- Przeprowadzano też inne testy. Między innymi w aglomeracji Minneapolis-Saint Paul, na terenie St. Louis i Detroit - wyjaśniła niezobowiązującym tonem Ellie, po czym wskazała rozłożone na stołach koperty. - Bardzo proszę przekonać się na własne oczy. Dokumentację tę sporządzono wiele lat temu. Dotychczas jednak nikt nie przedstawił jej komisji. O ile wiem, nie zainteresowała się nią również żadna z wcześniej działających komisji, które badały działalność Projektu 112 oraz Projektu SHAD.

- Testy, o których pani mówi, nie mają żadnego związku z żadnym z tych projektów - odezwał się Hess głosem, w którym znów pobrzmiwały mentorskie nuty. - Jeśli zapoznała się pani z tymi raportami, musi pani o tym wiedzieć.

- Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie w tej kwestii, doktorze Hess. Istnieją rzucające się w oczy analogie. W obu przypadkach armia rozpylała substancje, które nazywano nieszkodliwymi. - Przy tych słowach Ellie udawała, że czyta z notatek, lecz tak naprawdę wszystkie te szczegóły doskonale pamiętała. - Był to chyba siarczek cynkowo-kadmowy, czyż nie, doktorze Hess?

- Nie mam przed sobą tych samych, co pani, dokumentów, dlatego muszę zdać się na pani słowo w tej sprawie.

- Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku jako poligon doświadczalny wykorzystano liczne miasta, a także konkretne obszary w obrębie wytypowanych miast. Owe „nieszkodliwe dla zdrowia” substancje rozpylano z generatorów umieszczonych na pacy ciężarówek, a niekiedy również z dachów budynków. W jednym przypadku była to szkoła podstawowa w Minneapolis. - Ellie zrobiła pauzę i spojrzała pytająco na Hessa. - Czy teraz przypomina pan sobie, o czym mówię?

Pułkownik poruszył się niespokojnie na krześle.

- Siarczek cynku to rodzaj fluorescencyjnej substancji fosforyzującej - ciągnęła pani senator. - Naukowcy wybrali właśnie ją, by móc badać uczniów przy użyciu „specjalnych świateł”. Dzięki nim widzialne stawały się

osady rozpylonej substancji, które przyłgnęły do butów, ubrań, a nawet ciał dzieci. Testy miały dowieść, czy substancja faktycznie osiadła na człowieku i jak długo się utrzyma.

Kiedy Ellie rozejrzała się po sali, zobaczyła, że wszystkie twarze zwrócone są ku niej i wszyscy wydają się zasłuchani. Na żadnej nie dojrzała śladu znudzenia.

- Doktorze Hess, interesuje mnie, kto ustalał dawki rozpylanych substancji.

- Słucham?

- Pytam o siarczek cynku. Wiemy już, że testy przeprowadzała armia oraz Fort Detrick. Kto jednak odpowiedzialny był za ustalanie dawki fluorescencyjnych cząsteczek? Jaką dawkę uznawano za bezpieczną?

- Sprawami tego rodzaju zajmowała się specjalna grupa decydentów.

- Jaka grupa? - spytała, po czym dodała z uśmiechem: - Chce mi pan powiedzieć, że w tamtym okresie w łonie armii decyzje takie podejmowano w demokratycznym głosowaniu?

Po sali rozszedł się nerwowy śmiech, jednak po chwili zapanowała cisza. Hess nie zdołał dłużej ukryć irytacji.

- Zapytam możemy inaczej - powiedziała Ellie. - Kto zdecydował, jaką dawkę siarczku cynkowo-kadmowego należy rozpylić wśród uczniów szkoły podstawowej?

Pułkownik mierzył ją teraz nienawistnym wzrokiem. Dobry Boże, gdyby mógł ją teraz zobaczyć jej ojciec, byłby naprawdę wściekły. Ellie nie zamierzała jednak przestać:

- To pan podjął tę decyzję, prawda, doktorze Hess?

- Byłem naukowcem odpowiedzialnym za ten obszar - oznajmił Hess, a gdy na sali rozległy się szepty, dodał szybko, jakby chciał je uciszyć: - Razem z pani ojcem.

Odczekała chwilę, pozwalając, by przez pomieszczenie przetoczyła się kolejna fala szeptów. Hess zamierzał skojarzyć jej osobę z potwornościami z przeszłości, i tym samym pozbawić ją wiarygodności. Ellie natomiast miała nadzieję, że osiągnie dokładnie odwrotny efekt - zakładała, że jeśli będzie nalegać na ujawnienie całej sprawy, pomimo udziału w niej ojca, być może jej argumenty zyskają tylko na sile.

- Siarczek cynkowo-kadmowy uważany jest za substancję trującą.

Współczesne opracowania dowodzą, że odpowiedzialny jest za defekty płodów i powoduje chorobę nowotworową. Czy to się zgadza?

- W tamtych czasach sądzono, że substancja ta jest nieszkodliwa. Obecność w składzie cząsteczek fosforowych sprawiała, że łatwo ją było wysledzić. Nie dostawaliśmy żadnych sygnałów, że ktoś ucierpiał.

- Doktorze Hess, a jakim cudem ofiary miały wiedzieć, że ich nowotwory lub zniekształcenia rodzone przez nie dzieci są skutkiem wejścia w kontakt z waszą „nieszkodliwą” substancją? Skąd miały o tym wiedzieć, skoro nie były nawet świadome, że zostały nią spryskane.

Odpowiedziało jej milczenie, jednak gniewne spojrzenie Hessa mówiło więcej niż słowa.

- Doktorze Hess, ile takich testów przeprowadzono na terenie naszego kraju?

- Nie znam dokładnej liczby - odparł ze wzruszeniem ramion, jakby nie robiło to żadnej różnicy.

- Armia przyznała, że przeprowadziła ponad sto podobnych testów w wielu miastach na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Chemikaliami spryskiwano niczego niepodejrzewających amerykańskich obywateli.

Nagle sala ożyła, ludzie zaczęli poruszać się na krzesłach, rozległy się dźwięki uwalnianych migawek aparatów. Członkowie komisji poczęli przerzucać strony dokumentacji i zdjęcia, które czekały na nich w przygotowanych kopertach.

- Nie ma pani prawa oceniać tamtych wydarzeń - rozległ się podniesiony głos Hessa. - To były niebezpieczne czasy, mierzyliśmy się z najpotężniejszym w naszych dziejach przeciwnikiem. Rosjanie wyprzedzili nas w wyścigu zbrojeń, zdołali zgromadzić ogromny arsenał broni chemicznej i biologicznej. Za jej pomocą w ciągu paru godzin mogli obrócić w pył każde z naszych wielkich miast. Rosjanie nie mieli skrupułów, by użyć tej broni przeciwko własnym obywatelom.

- Najwyraźniej ani pan, ani mój ojciec, ani armia również nie zawahali się przed użyciem jej przeciwko swym obywatelom.

- Trzeba było poświęcić kilka jednostek, by ocalić miliony - rzekł Hess, po czym potrząsnął głową, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że Ellie nigdy tego nie pojmie.

- Doktorze Hess, poświęcić uczniów podstawówki? - Przy tych słowach

Ellie podniosła zdjęcie przedstawiające Hessa, jej ojca oraz ustawione w rzędzie dzieci w wieku szkolnym. Prezentowała je wszystkim, a zwłaszcza operatorom kamer. - Skoro zrobił to pan tym dzieciom i zataił ten fakt przed opinią publiczną, czemu mielibyśmy wierzyć, że nie uczyniłby pan tego samego marynarzom i żołnierzom, nie pytając ich o zgodę? I nie informując ich o testach, w których biorą udział.

W sali znowu zapadła grobowa cisza.

- Musimy przeznaczyć renty i pomoc dla wszystkich weteranów, którzy jak Frankie Sadowski ucierpieli na skutek tych okropieństw. Jesteśmy im to winni, nawet po pięćdziesięciu latach.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

Woń błota i pleśni została wyparta przez zapach środków odkażających. Każdy oddech sprawiał mu ból. Z żył na ramieniu wystawały igły i rurki. Myślami był przez cały czas przy swoim psie.

Wykręcił szyję i spróbował usiąść, jednak powstrzymał go ból. Opadł na czyste poduszki i prześcieradło poznaczone krwią. Gdzieś zza pleców dobiegało brzęczenie szpitalnych maszyn. Trudno mu było skupić spojrzenie, wizja rozpadała się na kawałki o świetlistych krawędziach. Spróbował unieść nieco głowę i spojrzeć za łóżko. Musiał upewnić się, że jego pies żyje. Że Rufus jest już bezpieczny.

Nigdy ich nie zostawiaj. Pod żadnym pozorem.

Nie mógł powtórzyć błędu, który popełnił z Brodie. Powinien był pójść za nią.

Wtem coś go przestraszyło i usiadł na łóżku. Nie znajdował się w szpitalu, leżał znowu na swoim polowym łóżku w sali sportowej liceum. Grace poruszyła się przebudzona, spojrzała na niego uważnie i nadstawiła uszu. W jej oczach dojrzał niepokój. Na podłodze, w miejscu między jego łóżkiem a tym zajmowanym ubiegłej nocy przez Maggie, leżał Bolo pogrążony w głębokim śnie.

Creed uświadomił sobie, że to jego ciało wydzielało woń środków antyseptycznych. Nie miał na sobie koszuli, pierś owinięto mu, niezbyt mocno, bandażem. Bandaż posłużył do przymocowania woreczka z lodem, długością i szerokością pasującego do jego klatki piersiowej.

Na twarzy, w miejscu, gdzie wcześniej miał przyklejony plaster, pod palcami wyczuwał teraz szwy. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Niemal wszystkie łóżka były puste. Nikt się nie kręcił po sali. Przez niewielkie okienka pod sufitem dojrzał pędzące po niebie szare chmury. A zatem nie była to noc. Na tym jednak kończyła się jego wiedza.

Czuł dziwne odrętwienie, ale przynajmniej mógł znowu oddychać pomimo przeszywającego bólu w piersi. Miał wrażenie, że czaszkę zaraz rozsadzi mu ciśnienie. Spróbował zebrać myśli i przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia. Głaskał Grace, a ona nadal przyglądała mu się badawczo. Kiedy dotknął palcami jej łap, nie drgnęła.

- Jak się czuje moja dziewczynka? - spytał.

Wyczuł, jak wierzgnęła radośnie. Położyła uszy po sobie i całe jej ciało się rozluźniło.

- Ja też całkiem nieźle - powiedział.

Wtem dobiegł go czyjś głos:

- Wszyscy się o ciebie martwili.

Po chwili stanęła przed nim doktor Avelyn i zajęła miejsce na łóżku Maggie, tak by oboje mogli się widzieć.

Powróciło wspomnienie olbrzymiej fali, która zwała go z nóg i sprawiła, że wypuścił z rąk Bola. Creed wpadał, tłukąc się boleśnie, na skały i betonowe odłamki. Rozpędzona woda zafundowała tę samą szaleńczą przejażdżkę również psu. Drgnął na to wspomnienie, a jego oczy momentalnie poszukały miejsca, gdzie spał Bolo.

Avelyn ujęła go uspokajająco za ramię.

- Nic mu nie jest. Nabawił się tylko kilku niegroźnych zadrapań. Jest wyczerpany.

Creed przyglądał się przez chwilę wielkiemu psu, dopóki nie upewnił się, że lekarka mówi prawdę.

- To ty mnie pozszywałaś?

- Obłożyłam ci żebra lodem. Przywiązałam opatrunek niezbyt mocno. Maggie miała rację. Medyk, który zakładał ci pierwszy opatrunek, nie powinien był ścisnąć cię tak ciasno bandażem. Kiedyś zalecano używanie opatrunków uciskowych przy złamaniu żeber. Teraz już wiemy, że utrudniają oddychanie i zwiększają ryzyko zachorowania na zapalenie płuc.

- Mam zapalenie płuc?

- Na razie nie. I mam nadzieję, że nie stanie się to na moim dyżurze.

Skinął głową, a po chwili spytał:

- A więc tak wygląda opatrunek, jakiego użyłabyś w przypadku psa z połamanymi żebrami?

- Nie, ja zawiązałabym bandaż mocniej.

- W takim razie kto...

- Wiedziałaś, że Maggie, zanim skupiła się na medycynie sądowej, uczestniczyła w kursie przygotowującym do studiów medycznych?

Uśmiechnął się na tę myśl. Kręciło mu się w głowie, ale w tej chwili nie doskwierał mu dokuczliwy ból. Spojrzał podejrzliwie na Avelyn.

- Podałaś mi coś przeciwbólowego?

- Gdyby cię bolało, nie mógłbyś brać wystarczająco głębokich oddechów. Ale spokojnie, to nic silnego.

- Dzięki.

Tak naprawdę wcale się tym nie przejmował. Avelyn była jedną z niewielu osób, którym naprawdę ufał, jeśli chodziło o opiekę nad psami. Dlaczego nie miałby powierzyć jej również opieki nad własnym zdrowiem? I wtedy uderzyła go nagła myśl.

- Jak się czuje Maggie?

- Trochę podrapana i posiniaczona, ale poza tym wszystko z nią w porządku.

- Wiesz może, gdzie ją znajdę?

- Takiej informacji ode mnie nie wydobędziesz - powiedziała lekarka, wstając z łóżka i zerkając na zegarek. - Muszę wracać na posterunek. Zaraz pojawią się pierwsze grupy ratowników wracających na noc. Zajrzę do ciebie, kiedy podadzą kolację.

- A wiesz, gdzie jest Jason?

- Wspominał coś o jakimś zleceniu, które wyznaczyłeś mu rano.

Rano wydawało się dosyć odległym momentem. Creed udawał jednak, że wie, o co chodzi. W rzeczywistości nie miał pojęcia, o jakim zleceniu mówiła. Może faktycznie doznał wstrząsu mózgu?

- Obiecujesz, że zostaniesz w łóżku i trochę odpoczniesz? - spytała, a gdy skinął głową, dodała: - Jakoś mnie to nie przekonuje.

- Nigdzie nie ruszę się bez Grace i Bola.

To zapewnienie chyba usatysfakcjonowało lekarkę. Creed odprowadzał ją wzrokiem, gdy zmierzała do drzwi. Nie wspominał przecież, że może zabrać oba psy ze sobą.

- Chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi - zażądała O'Dell, zwracając się do Petera Logana. A widząc jego wahanie, dodała: - Uratowałam ci tyłek. Gdyby nie ja, zostałbyś porwany przez prąd.

Padła ze zmęczenia i miała już serdecznie dość wyklócania się z tym facetem. Odnalezienie Rossa i pozostałych gwardzistów było nie lada wyzwaniem, a przecież musiała jeszcze sprowadzić Logana i Creeda na dół. Avelyn uspokoiła ją, że Creedowi nic poważnego nie dolega, wymaga tylko odpoczynku. Logan, którego upadek pozbawił przytomności, najwyraźniej wrócił już do formy - znowu był tym samym aroganckim typem, za którego go miała.

- Ludzie Rossa sądzą, że znaleźli część zabudowań ośrodka badawczego. Znajdują się wyżej na zboczu. Twierdzą, że odkryli też otwór, przez który mogą dostać się do środka.

- Czy w środku znajdują się kolejne ciała?

Logan potrząsnął głową, a Maggie dojrzała pod jego uśmiechem grymas skrywanej irytacji.

- Chyba zaczynam rozumieć, że nigdy tak naprawdę nie chodziło o ratowanie ludzi - odezwał się, mierząc ją wzrokiem. Wyczuwała, że mężczyzna wciąż zastanawia się, czy może jej zaufać.

Gdy spotkali się po raz pierwszy, uznała, że facet jest typem biurokraty, despota przyzwyczajonym, że wszyscy tańczą tak, jak im zagra. W ciągu ostatnich kilku godzin zaczęła dostrzegać w nim kogoś zgoła innego - mężczyznę, któremu brakowało pewności siebie; człowieka pogrążającego się w rozpacz.

Znała to spojrzenie, widywała je w oczach mężczyzn, którzy uświadomili sobie, że ktoś ich wykorzystał albo że zostali zdradzeni. Ich reakcje bywały niebezpieczne i Maggie zastanawiała się, do czego zdolny jest Logan, jeśli faktycznie został przyparty do muru przez swoich szefów.

Siedzieli na przednich fotelach w jego land roverze. Wybrali to miejsce nieprzypadkowo - Logan nalegał, że tylko tam może mieć pewność, że nie jest podsłuchiwany. Co jakiś czas uruchamiał silnik i włączał nawiew ciepłego powietrza. Przed spotkaniem O'Dell wzięła prysznic i przebrała się w czyste suche rzeczy, jednak na niewiele to się zdało. Zaczynała wątpić, czy

kiedykolwiek uda się przegnać z ciała chłód. Miała wrażenie, jakby w żyłach zamiast krwi toczyły się lodowate fale wód powodziowych.

- Ben wspomniał, że USAMRIID oraz DARPA pracowały nad czymś - odezwała się O'Dell. - O to chodzi?

Logan sprawiał wrażenie zaskoczonego. Na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi.

- Ale nie powiedział ci, nad czym?

- Nie. Zaznaczył, że to ściśle tajne.

- A ty mimo wszystko przyjechałaś tutaj?

- Logan, pamiętaj, że pracuję dla FBI. Zabójstwo tych ludzi objęte jest śledztwem federalnym. Wiem, co znaczy pracować w sytuacjach, gdy nie wszystko jest jawne. Jednak nie lubię, kiedy celowo zataja się przede mną prawdę, zwłaszcza gdy niemal zostałam zabita. - Odczekała, aż dotrze do niego sens słów, a po chwili dodała: - Jeśli nie podzielisz się ze mną informacjami, może się okazać, że na nic się zdało ratowanie ci życia.

- W porządku. Wiem, o co ci chodzi - stwierdził, jednak nadal się wahał. - Najpierw powiedziano mi, że mamy odszukać ocalonych i wydobyć ciała ofiar. Dopiero dziś po południu zrozumiałem, że to tylko jedna z realizowanych tu misji.

- Ciała ofiar morderstw - przypomniała mu Maggie.

Pierwszy z zabitych, zapewne badacz z placówki, zginął od strzału w głowę. O'Dell nie widziała jego ciała. Drugiemu strzelono w plecy. Logan nadal nie pomógł jej zrozumieć, kim byli ci ludzie. Może zbierał się na odwagę, by powiedzieć, kogo podejrzewał o naciśnięcie spustu.

- I oderwaną kobiecą dłoń - dopowiedziała O'Dell.

- Tak, dłoń doktor Clare Shaw - przyznał ze skinieniem głowy. - To ona była dyrektorem tej placówki. Najpierw odnaleźli ciało doktora Richarda Carringtona. Nie mam pojęcia, kim jest ten drugi odnaleziony mężczyzna ani ten, którego jeszcze nie zdążyliśmy odkopać. Podejrzewamy, że ktoś ich zamordował jeszcze przed kataklizmem.

- Naprawdę nie domyślasz się, kto za tym stoi?

- Naprawdę, jednak chyba wiem, czego szukał zabójca.

Czekała w milczeniu, co powie.

- Wiele spośród naszych ośrodków pracuje nad stworzeniem nowych lekarstw i szczepionek, a także metod zwiększania skuteczności wojska.

Kiedy byłem dowódcą plutonu, moi chłopcy testowali na sobie działanie pigułek amfetaminowych *go pills* i *blast briefs*.

- Pigułek? - spytała. Nie bardzo wiedziała, jaki to może mieć związek z tym, o czym teraz rozmawiali.

- Tak je nazywaliśmy.

Najwyraźniej błędnie odczytał jej pytanie. Tak naprawdę nie pytała wcale, czym one były. Dopytywała z grzeczności, starając się zachować cierpliwość.

- Nie wiem, co w nich było. Dzięki nim nie odczuwaliśmy senności podczas długich misji. Po ustaniu działania nie doskwierał kac. Nie zaobserwowaliśmy też żadnych skutków ubocznych. Eksperymenty z pigułkami *blast briefs* przeprowadzano pod otoczką badań nad kevlarom. Chodzi mi o to, że zawsze prowadzone są różne badania i eksperymenty. A ja zawsze chętnie zgadzałem się na wypróbowywanie nowych rzeczy. Chodziło w końcu o sprawę bezpieczeństwa narodowego.

- Ten facet, którego ciało leży w kostnicy, raczej nie znalazł się tam, bo komuś, kto przeprowadzał na nim eksperyment, zależało na jego bezpieczeństwie.

- Eksperyment? O czym ty mówisz? Przecież wspomniałaś, że zginął od strzału w plecy.

- Faktycznie, taka zapewne była przyczyna zgonu. Jednak całe ciało przypomina jeden wielki czerwony siniak. Wygląda to, jakby wszedł w kontakt z czymś toksycznym - poinformowała, po czym przez chwilę przypatrywała się Loganowi. - Chwileczkę, nie wiedziałaś o tym?

- Ludzie Rossa byli oszczędni w słowach. Powiedzieli tylko, że przynieśli oblepione błotem ciało.

- Ale na temat dłoni miałaś wystarczająco szczegółowe informacje, by zorientować się, że należała do Shaw?

- To akurat nie wymagało wielkiej przenikliwości. Powiedzieli mi, że na paznokciach dostrzegli czerwony lakier. No i ta obrączka. - Po tych słowach Logan zrobił niecierpliwy gest, jakby chciał dać do zrozumienia, że są to sprawy bez znaczenia. I jakby zarzucał jej, że odciąga go od właściwego tematu. W końcu powiedział: - Te ciała to kwestia przypadku.

- A zatem nie przejmujesz się, że w jednej z twoich klinik być może prowadzono eksperymenty na ludziach?

- Jeśli faktycznie tak było, eksperymenty przeprowadzano w sposób

cywilizowany. Poddawani im byli wyłącznie ochotnicy, którzy świadomi byli ryzyka. To samo dzieje się w sektorze prywatnym, gdy firmy farmaceutyczne płacą chętnym do wzięcia udziału w ich badaniach. Nasze ośrodki zajmują się opracowywaniem fantastycznych rzeczy. I to na tym powinnaś się skupić.

Owszem, rozumiała, co chce powiedzieć. To tym zajmował się Ben z kolegami w ramach USAMRIID. Jednak mężczyzna na stole prosektoryjnym w sklepie mięsnym Ralpa został poddany działaniu czegoś, co wcale nie wyglądało na typowe. I nie mieściło jej się w głowie, by ktoś z własnej woli godził się na tak drastyczną ingerencję we własne tkanki.

- Prowadzenie tego typu badań niekiedy wymaga korzystania również z próbek... niebezpiecznych substancji.

Umilkł i obrzucił ją uważnym spojrzeniem, chcąc sprawdzić, czy domyśla się, do czego zmierza. Maggie odwzajemniła spojrzenie, czekając, co powie.

Nim znów się odezwał, wziął głęboki oddech.

- Próbkę takie przechowywane są w sejfach. To przenośny pojemnik zapewniający optymalne warunki biologiczne. Przenoszone w nim substancje utrzymywane są w stałej temperaturze, przez co unika się sytuacji, w której mogłyby stanowić zagrożenie.

- Czego próbki są przechowywane w ten sposób?

- Laseczki wąglika, gorączki denga, różnych wirusów stworzonych w warunkach laboratoryjnych przez człowieka.

- Czy w pojemnikach mógł być przechowywany wirus eboli?

- Niewykluczone.

Maggie zaczynała rozumieć, co znaczy ta dziwna zmiana, jaka zaszła w jego zachowaniu. Sama kiedyś odbyła tygodniową kwarantannę, gdy została narażona na kontakt z wirusem eboli. W Fort Detrick oddział z izolatkami nazywano ciupą. Było to jedno z najbardziej przerażających doświadczeń w całym jej życiu. Gdyby okazało się, że podłapała którykolwiek z patogenów z poziomu trzeciego lub czwartego, nie miałyby żadnych szans na przeżycie. Myśl, że ktoś mógł zamordować obsługę placówki badawczej, by zdobyć te próbki, napawała ją grozą.

Creed zdołał zawiązać buty, a teraz trzymał się nad włożeniem przez głowę T-shirtu. Zauważył, jak Grace podnosi łeb. Po chwili wstał też Bolo. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że z przeciwnej strony sali gimnastycznej nadchodzi ku niemu Jason. U jego boku truchtał jakiś niewielki brązowy pies. Była to suczka. Oklapłe uszy położyła po sobie i poruszała gwałtownie głową z jednej strony na drugą, wyraźnie podenerwowana, że znalazła się w nieznanym sobie otoczeniu.

Prawą łapę miała owiniętą bandażem. Szczyt karku został wygolony, a ze skóry sterczały końcówki założonych szwów. Creed pomyślał na jej widok, że suczka wygląda jak on sam - była poobijana, pozszywana, ale nie traciła ducha.

- Cześć, Grace. Cześć, Bolo - rzucił Jason, zatrzymując się trzy metry wcześniej.

Oba psy zerknęły na Creeda, jakby czekały na pozwolenie, by obwąchać nowego psiaka. Creed uniósł do góry rękę, nakazując im, żeby zostały na miejscach.

- Kiedy wspomniałeś, że ten facet może coś dla ciebie mieć, mogłeś od razu powiedzieć, że chodzi o psa - zauważył Jason.

- A więc nie znalazł żadnej rodziny, która przygarnęłaby zwierzaka? - domyślił się Creed.

- Teoretycznie są jeszcze dziadkowie, ale nie mają warunków, by trzymać w domu psa. Podobno odetchnęli z ulgą, kiedy dowiedzieli się, że ma dokąd pójść.

Creed jeszcze raz upomniał Grace i Bola, żeby się nie ruszały, po czym obszedł łóżko i przykłęknął na jednym kolanie. Wyciągnął rękę do nowego psa, tak by mógł ją obwąchać. Trzymał ją nisko, uważając, żeby nie znalazła się nad jego głową. Suczka nie zareagowała na ten przyjazny gest. Jason podprowadził ją bliżej, a Creed cierpliwie poczekał, aż obwącha jego dłoń. I dopiero wtedy pogłaskał ją po grzbiecie.

- Ten facet twierdził, że znalazłeś ją w zagrzebanym w ziemi samochodzie - odezwał się Jason.

- Bolo ją odnalazł, nie ja. Była jedynym pasażerem, który przeżył.

- Nic dziwnego, że jest taka płochliwa. Jak myślisz, co to za rasa?

- Hanna będzie wiedziała. Podejrzewam, że ma w sobie geny golden retrievera.

- Jest mała jak na goldenkę.

- Wiemy, jak ma na imię? - spytał Creed.

- Na identyfikatorze wypisano imię Molly.

Na dźwięk imienia pies zastrzygł uszami.

- Cześć, Molly.

Suczka zamerdała ogonem, jednak nawet wtedy nie odważyła się unieść go wyżej.

- Nowy rekrut? - zainteresowała się Maggie, która nadeszła z tyłu.

- Jeden z ocalałych - wyjaśnił Jason.

Kiedy Creed obudził się i nie zobaczył obok Maggie, był pewien, że wróciła do Waszyngtonu. Dlatego teraz tak bardzo ucieszył się, że została. Od razu zauważył siniak na jej szczęce i stłumił w sobie odruch, by go dotknąć.

- Jak się czujesz? - spytała go Maggie.

- Jak człowiek, który zderzył się z wielką betonową ścianą.

Uśmiechnęła się, a w następnej chwili zauważył, że bada go uważnie wzrokiem, jakby chciała się przekonać, w jakiej jest formie.

- Co powiesz na małą przechadzkę? Pogadalibyśmy trochę - zaproponowała, po czym przeniosła spojrzenie na Jasona. Po chwili to samo zrobił Creed.

- Dam sobie z nimi radę - zapewnił Jason.

Zdążył doprowadzić Molly do łóżka Creeda. Wszystkie trzy zwierzaki obwąchiwały się już nieśmiało.

- Grace - odezwał się Creed i zaczął, aż suczka skupi na nim uwagę. Następnie wyciągnął w jej kierunku palec i powiedział: - Masz być grzeczna.

Też chciał wyjść na zewnątrz. Maggie miała na sobie kurtkę, on sięgnął po swoją. Kiedy ją wkładał, twarz wykrzywił mu grymas bólu. Zauważyła to, ale na szczęście nie zaproponowała, że pomoże.

Powietrze było rześkie. W miejscu, gdzie niedawno za horyzontem schowało się słońce, chmury mieniły się wszystkimi odcieniami fioletu. Pomiędzy chmurami dało się dostrzec przebłyski czystego nieba. W kilku miejscach migotały nawet gwiazdy.

Creed nabierał ostrożnie powietrza. Mając w pamięci słowa doktor Avelyn

o zapaleniu płuc, starał się oddychać powoli, ale głęboko. Ułatwiały to środki przeciwbólowe, choć czuł, że powoli przestają działać.

- Nie podziękowałem ci jeszcze za uratowanie mnie i Bola.

- Jeśli pamięć mnie nie myli, wy też uratowaliście mnie przy innej okazji.

Trzymali się chodnika po drugiej stronie ulicy, tak by nie płatać się pod nogami ratownikom, którzy wracali do budynku liceum. Creed dał jej się poprowadzić z dala od warkotu silników i głośnych rozmów. Na sąsiednich uliczkach panował względny spokój.

- Opowiedz mi o Peterze Loganie - poprosiła, a Creed poczuł się rozczarowany. Nie do końca wiedział, o czym chciałby z nią porozmawiać. Ale na pewno nie o Loganie.

- Odnoszę wrażenie, jakbyś był mu coś winien - ciągnęła Maggie. - A równocześnie wyczuwam między wami niechęć.

- To prawda, nie przepadam za tym facetem.

- A o co chodzi z tą lojalnością względem niego?

- To nie lojalność. Po prostu winny mu byłem przysługę. On postanowił to wykorzystać.

Zauważył, że Maggie drży z zimna. Pokazał rozświetloną neonem witrynę skromnego baru nieopodal. Zajęli miejsce w rogu sali. W barze unosił się zapach smażonego jedzenia. W szkolnej stołówce karmiono ich dobrze, jednak teraz oboje poczuli, że mają ochotę na coś innego. Zamówili cheeseburgery i frytki.

- Skąd się znacie?

- Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś na temat Petera Logana, czemu po prostu nie spytasz swojego przyjaciela Bena?

Maggie odwróciła się i wyjrzała przez okno, a on pomyślał, że najchętniej walnąłby się w czoło.

- Źle to zabrzmiało - przyznał po chwili stropiony. - Chodziło mi tylko o to, że przez ostatnie siedem lat nie miałem kontaktu z Loganem. Niewiele wiem o tym gościu. Odniosłem wrażenie, że Ben pracuje z nim. Dlatego pomyślałem, że pewnie zna go lepiej ode mnie.

- Przesłano mnie tutaj, bym przyjrzała się ciałom ofiar, które mogły zostać zabite. Ośrodek badawczy działał w ramach DARPA i był projektem federalnym. Dlatego morderstwa te zostają objęte śledztwem FBI. Mój szef kazał mi się tym zająć.

Odniosł wrażenie, że cały ten wywód miał w równej mierze jemu, jak też samej Maggie przypomnieć, skąd się tu wzięła i jaka jest jej rola.

W tym momencie ich rozmowę przerwało nadejście kelnerki, która wcześniej przedstawiła się jako Rita. Przyniosła im teraz coca-colę, rozlaną do wysokich kubków z czerwonego plastiku.

Za oknem widać było prawie czyste niebo. Chmury przybrały postać postrzępionych lekkich obłoczków. Spomiędzy nich wyzierał niemal idealny okrąg księżyca.

- Służyliśmy razem w Afganistanie - odezwał się Creed, obserwując, jak

po kolei zapalają się latarnie uliczne, wzmagając jeszcze neonową poświatę w sklepowych witrynach. – Zostałem z psem przydzielony do oddziału Logana. Dowodził wtedy plutonem.

– A więc byliście kumplami w wojsku.

– Nie, jednostki K9, czyli psy tropiące wraz z przewodnikami, są przerzucane między plutonami co kilka tygodni. Zawsze traktowani jesteśmy jako outsiderzy. Na polu bitwy to nas posyła się przodem, to my jesteśmy w pierwszej kolejności narażeni na atak. Żołnierze wiedzą, że nie powinni się do nas przywiązywać. Muszą jednak zdać się na nas, zaufać, że doprowadzimy ich do celu. Nie rozumieją do końca, jak działamy. Dla nich zawsze przypomina to trochę magiczne sztuczki. Nigdy nie wiedzą, czy uratujemy im skórę, czy wpakujemy wszystkich na minę.

– Dlatego Logan nazywa cię „psiarzem”. Nie wiedziałam, że służyłeś w wojsku.

– Zaciągnąłem się, żeby uciec przed życiem. Po porwaniu Brodie zawaliło mi się wszystko.

– Ile miałeś wtedy lat?

Popatrzył na nią bez słowa. Nigdy dotychczas nie rozmawiali o tych sprawach. Domyślał się jednak, że Maggie wie, co popchnęło go do uruchomienia firmy. Odkrycie, że to właśnie zniknięcie jego siostry było przełomowym momentem w życiu Creeda, nie nastęczało wielkich trudności – Jasonowi wystarczyła chwila w internecie. A Maggie pracowała przecież dla FBI, a zatem miała dostęp do lepszych informacji.

Nie wiedziała jednak – zresztą nikt nie wiedział – jak bolesna była dla niego z początku ta nowa praca. Wiele zleceń nadal przysparzało mu bólu. Za każdym razem, gdy natrafiał na niezidentyfikowane zwłoki młodej kobiety, obawiał się, że to ciało Brodie.

– Miałem czternaście lat, a Brodie jedenaście. Mama szukała jej obsesyjnie. Ilekroć docierała do niej wiadomość, że widziano gdzieś dziewczynkę, której wygląd pokrywał się z rysopisem Brodie, rzucała wszystko i gnała w to miejsce. Jednego dnia była w Los Angeles, a już w następnym tygodniu leciała do Houston, potem Portland, Chicago. Istne wariactwo. Po jakimś czasie zaczęło jej naprawdę odbijać. Jednak to mój ojciec najgorzej zniósł stratę dziecka: zastrzelił się. – Przy tych słowach Creed potrząsnął z niedowierzaniem głową.

W tej chwili Rita przyniosła burgery i frytki przybrane solidną porcją warzyw. Było ich tak dużo, że starczyłoby na sałatkę. Postawiła też na stole butlę z keczupem i słoik musztardy. Spytała, czy życzą sobie czegoś jeszcze, po czym się oddaliła. Przy stoliku znów zapadła niezręczna cisza.

- Jak to się stało, że postanowiłeś być przewodnikiem? - spytała Maggie znad swojego burgera.

- Razem z Brodie cały czas opiekowaliśmy się jakimiś psami. Odkąd pamiętam, zawsze przedkładałem ich towarzystwo nad kontakty z ludźmi. - Po chwili dodał kurtuazyjnie: - Z wyjątkiem towarzystwa, jakie mam teraz.

- Przyznaj się: mówisz tak tylko dlatego, że liczysz na frytki, których nie zjem.

- Widziałem cię już wcześniej przy jedzeniu. Jestem pewien, że zmieścisz wszystko z talerza.

Maggie nie zadawała więcej pytań. Przez chwilę jedli w milczeniu. Ciszę przerwał Creed. Może dlatego sam z siebie wracał do tematu wojny, ponieważ czuł się zobowiązany za ocalenie Bola. I za uratowanie jego samego. A zresztą to, co chciał jej powiedzieć, i tak nie miało już znaczenia.

- Kiedy służyłem w jednostce Logana, wiedziałem, że rozprowadza wśród swoich ludzi jakieś prochy - powiedział, a gdy Maggie spojrzała na niego zaskoczona, ciągnął: - Zawsze miał darmowe próbki wszystkiego: poczynając od pigułek, przez oryginalne buty sportowe i okulary przeciwsłoneczne, a kończąc na batonikach proteinowych. Rozdawał to wszystko swoim chłopakom. Podejrzewam, że niektóre rzeczy były prototypami, które należało poddać testom. Część z nich sprzedawał. Był tam z nami afgański chłopak o imieniu Jabar. Logan pozwalał mu wchodzić do obozu i po jakimś czasie wszyscy go znali. Nikt go nie zatrzymywał przy bramie. Nie był sprawdzany.

Creed odsunął pusty talerz i zapatrzył się w okno. Straszne wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że mroczne wspomnienia odżyły. Minęło już siedem lat, a on nadal widział cwaniacki uśmiech tamtego chłopca.

- Pewnego dnia Jabar przyszedł do obozu, lecz zachowywał się dziwnie. W jego zachowaniu było coś nienaturalnego. Wdał się w sprzeczkę z Loganem. Mój pies zareagował nerwowo na ich kłótnię, jakby wyczuł zagrożenie. Byliśmy wtedy w samym sercu obozu. Nie w terenie, gdzie pies mógł wyczuć ładunki wybuchowe. Nie przyszło mi do głowy, że wyczuwał to,

co Jabar przyniósł ze sobą. Dotarło to do mnie dopiero, gdy chłopak sięgnął za pazuchę.

- Boże, miał ze sobą ładunki wybuchowe?!

Creed skinął głową, po czym podjął opowieść:

- Obudziłem się w szpitalu wojskowym. Dowiedziałem się potem, że Logana obwołano bohaterem za to, że rzekomo ocalił swoich ludzi przed atakiem zamachowca-samobójcy. Nikt nawet nie zająknął się, że to przecież on naraził pluton na niebezpieczeństwo.

- Chwileczkę, wspomniałeś, że jesteś winny mu przysługę. Z twojej opowieści wynika raczej, że to on powinien być ci wdzięczny, że trzymałeś język za zębami.

- Dziwne, czyż nie? Kiedy bomba wybuchła, rzuciłem się na psa. Na szczęście nic mu się nie stało. Kochałem go. Przed wypadkiem zamierzałem nawet zaciągnąć się na kolejną misję, byle tylko nas nie rozdzielili. - Umilkł na chwilę, gdy dojrzał jej minę. Domyślała się, co chce powiedzieć.

- Ale psy są traktowane jako część armii.

- Konkretnie jako część wyposażenia wojskowego. W dokumentacji oznacza się je w taki sposób. W każdym razie kiedyś tak było. Rufusowi przydzielono nowego przewodnika. Stawałem na głowie, by sprowadzić go do domu. Przez cztery lata ten zwierzak był dla mnie wszystkim, opoką, fundamentem całego życia. Nikogo to nie obchodziło. Nikogo z wyjątkiem Logana.

- Rufus to ten czekoladowy labrador, który sypia przy twoim łóżku?

Creed skinął głową, mile zaskoczony, że Maggie zapamiętała ten szczegół z krótkiej wizyty, jaką złożyła mu miesiąc temu.

- Logan to załatwił. To on ściągnął do domu mojego psa.

Po posiłku poszli z powrotem do sali sportowej. O'Dell czuła się zmęczona. Domyślała się, że Creed z trudem zdobył się na szczerość. Pod tym względem byli do siebie bardzo podobni – oboje niełatwo otwierali się przed innymi i uparcie bronili swojej prywatności.

Szli tuż obok siebie wąskim chodnikiem i ilekroć stykały się ich ramiona, Maggie czuła, jakby jej ciało przebiegały elektryczne iskry. Wcale jej się to nie podobało. Nagle uświadomiła sobie, że za kilka godzin będą leżeli w łóżkach, wpatrzeni w siebie i oddaleni zaledwie o pół metra. Wyobraziła sobie, jakie by to było uczucie, gdyby mogła położyć dłoń na tych szerokich ramionach albo pięknie wyrzeźbionych mięśniach brzucha. Wyobraziła sobie szorstki dotyk pokrytej szczecina brody na jej skórze.

Potem dotarła do niej dziwna ironia losu, która kazała jej rozmyślać o przeskakujących iskrach, na chwilę zanim ujrzała prawdziwe płomienie. Łuna unosiła się nad sklepem mięsnym Ralpa.

Creed wyszarpnął z kieszeni komórkę i szybko wystukał jakiś numer. Ruszyła przed siebie i nie czekając na niego, skręciła w boczną uliczkę. Podejrzewała, że frontowe drzwi nadal są zamknięte na kłódkę. Jednak te od zalepca mogły być otwarte. Kiedy zbliżyła się do budynku i odkryła, że faktycznie ktoś je otworzył, z nerwów poczuła mdłości. Wewnątrz, tuż przy drzwiach, leżało ciało. W ciemności potknęła się o nie, a gdy upadła, jej dłonie zanurzyły się w czymś mokrym. Zapewne była to krew – jeszcze ciepła i nieco lepka.

Wtem usłyszała bulgot. A więc może ten ktoś jeszcze żył.

Drzwi otworzyły się szerzej i na progu stanął Creed. W świetle wpadającym do środka O'Dell rozpoznała leżące w nienaturalnej pozycji ciało doktor Gunther. Ktoś poderżnął jej gardło.

– Musimy ją wyciągnąć – krzyknął Creed.

W ich kierunku buchały kłęby dymu z wnętrza budynku.

Wspólnymi siłami podźwignęli ciało starszej kobiety. O'Dell miała paskudne wrażenie, że podnosi bezwładną szmacianą lalkę. Creed zaniósł kobietę na parking i ułożył na betonie. Uklęknął i próbował zatamować krwawienie. O'Dell wiedziała jednak, że kobieta nie ma szans – rana była zbyt szeroka.

Z ulicy po drugiej stronie budynku dobiegały krzyki i nawoływania. W pewnym momencie rozległy się też syreny. Ogłuszająco głośne. Coraz bliżej.

Gunther nie żyła od jakiegoś czasu, lecz Creed nie odejmował dłoni od rany na jej szyi. O'Dell uklękła po drugiej stronie i sprawdziła puls. Nie miała pojęcia, co mogłaby jeszcze zrobić. Ilekroć była świadkiem czyjejs śmierci, odnosiła wrażenie, że jest zupełnie bezużyteczna. Dopiero po śmierci ofiary wiedziała, jak postępować - na tym polegała jej praca.

Mężczyźni z ochotniczej straży pożarnej wbiegli do budynku i po chwili od strony pobliskiego hydrantu dobiegł szum przetaczanej węzami wody. Od ognia bił taki żar, że mimo chłodnej nocy po chwili cała była mokra od potu.

Wyobrażała sobie, że płomienie pochłonęły już wszystko to, co znajdowało się w środku - łącznie z ciałem i odgryzioną dłonią. Przepadły wszystkie dowody mogące wyjaśnić, co zaszło w górskim ośrodku badawczym.

Wiedziała też, że nie było zbiegiem okoliczności, iż ogień wybuchł zaledwie kilka godzin po tym, jak opowiedziała Peterowi Loganowi o dziwnej wysypce pokrywającej ciało mężczyzny przechowywane na zapleczu sklepu. Ciało, które właśnie obracało się w popiół.

- Naprawdę sądzisz, że to Logan podłożył ogień? - Creed spytał Maggie, przyglądając się jej w pełgającym świetle płomieni trawiących budynek.

Jeszcze przed chwilą, gdy wyciągali kobietę z płonącego wnętrza, w jej oczach dojrzał szal, w jaki wprawiała ludzi nagła dawka adrenaliny. Teraz wpatrywała się nieobecny spojrzeniem w pożogę, jakby zahipnotyzowana przez tańczące płomienie.

Wkrótce na pomoc strażakom przybyli ratownicy, którzy przez cały dzień pracowali przy usuwaniu skutków obsunięć terenu. Polewali wodą ściany sąsiednich budynków, aby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia. W pewnym momencie z wnętrza ceglanego sklepu dobiegł huk eksplozji. Nikomu nie spieszyło się, by tam wchodzić.

Żar bijący od płonącego budynku był tak wielki, że Creed przez chwilę myślał, że przypalił mu skórę. Nagle poczuł na ciele strumień chłodnej wody. Stali razem z Maggie w tylnej uliczce, pilnując ciała pani doktor, na które ktoś narzucił teraz nieprzemakalną plandekę.

Wcześniej próbował ją ratować jeden z przybyłych na miejsce sanitariuszy. Odepchnął Creeda, ten jednak wiedział, że jest już za późno. Na dłoniach czuł wciąż jeszcze ciepłą krew kobiety, lecz nie widział żadnych oznak życia: powieki miała zupełnie nieruchome, pod palcami nie wyczuwał pulsu, lekarka nie oddychała.

Maggie poinformowała go, że zmarła to doktor Gunther, specjalistka medycyny sądowej. Potem zamilkła, a teraz stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i sprawiała wrażenie wściekłej, że strażacy kazali im się odsunąć i zostać przy ciele zmarłej. A może nie był to gniew, tylko zwyczajna frustracja. Przecież sam doskonale znał to uczucie - frustrację, że nie mógł zrobić nic więcej.

Wtem zupełnie nieoczekiwanie Maggie powiedziała:

- To sprawka Logana.

Odniosł wrażenie, że wypowiedziała te słowa sama do siebie. Chyba nie usłyszała jego pytania. Kiedy już zamierzał je powtórzyć, odezwała się nagle:

- Twoim zdaniem nie byłby do tego zdolny?

- Wydaje mi się, że dla ratowania skóry Logan jest gotów zrobić

cokolwiek. Ale po co posuwałyby się do czegoś takiego? Wydobyć tych ciał wymagało cholernie dużo zachodu.

Maggie rozejrzała się szybko wkoło. Czyżby wypatrywała Logana? A może zaniepokoiła się, że ktoś ich podsłuchuje? Nikt jednak nie zwracał na nich uwagi. Ludzie pospiesznie przemykali się obok nich. W pewnej chwili ktoś zahaczył węzem strażackim o plandekę przykrywającą martwą lekarzkę i pobiegł dalej. Creed schylił się i poprawił ułożenie plandeki na ciele.

- Odkopane wczoraj ciało całe było pokryte dziwnymi wybroczynami - powiedziała Maggie. - Z początku Gunther myślała, że to oparzenia chemiczne.

- Podczas takich katastrof do błota przedostają się różne chemikalia.

Maggie potrząsnęła jednak głową, po czym podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w twarz.

- Te zmiany nie zostały wywołane pośmiertnie.

- Była tego pewna? - dopytał Creed.

- W niektórych miejscach na skórze utworzyły się bąble. Wykluczyłyśmy normalne oparzenia. Przypominało to raczej wysypkę, tyle że wżarło się głębiej w skórę. Coś jak stłuczenie. Miejscami wystarczyło musnąć, a skóra odpadała całymi płatami.

- I nie był to efekt rozkładu?

- Ten facet nie był martwy na tyle długo, by mogły w jego ciele zajść tak daleko posunięte procesy gnilne.

Creed uzmysłowił sobie, że Maggie przemawia coraz ciszej. Właściwie już szepcze.

- Jaką przyczynę podejrzewała doktor Gunther?

- Nie ustaliła dokładnej przyczyny. Prawdopodobnie to właśnie przywiodło ją tutaj tej nocy.

- Ale dlaczego pracowała nocą? Przecież miała po prostu dokonać oględzin wydobywanych ciał, prawda?

- Ktoś założył kłódkę na frontowych drzwiach. Klucz do drzwi na zaplecze zdobyła od Ralpa. W przeciwnym razie nie miałyby dostępu do zwłok, dopóki nie zezwoliły na to Logan.

- Wygląda więc na to, że Logan nie chciał, by ktokolwiek badał te ciała.

- Otóż to. Ale jest w tym wszystkim coś dziwnego: kiedy powiedziałam mu o zmianach skórnych na ciałach denatów, sprawiał wrażenie zaskoczonego.

Wiedział o ranie postrzałowej w plecach ofiary, ale udawał, że nic nie wie o dziwnych sińcach.

- Uważasz, że znalazł taki sposób, by przeszkodzić w zbadaniu zwłok? Maggie skinęła głową, przygryzając w zamyśleniu dolną wargę.
- Jest tylko jeden problem: on wie, że ja wiem.

W ciągu ostatniej doby Creed nie zainteresował się nawet, czy Maggie nosi przy sobie broń. Kiedy usiadła na swoim łóżku i ściągnęła bluzę, dojrzał teraz kaburę pod pachą po lewej stronie. W jej zachowanie wkrađa się jakaś nerwowość. Wyczuwały ją nawet psy.

W drodze powrotnej do szkoły całą uwagę skupiała na telefonie. Zostawiała komuś wiadomości, a potem co chwila sprawdzała, czy przysłała już odpowiedź. Teraz komórka leżała na łóżku koło niej. Creed usiadł naprzeciw Maggie. Ich kolana praktycznie się stykały.

- Co się dzieje? - spytał zaniepokojony.

- Właśnie próbuję się tego dowiedzieć - odparła, nie odrywając oczu od ekranu telefonu. - Logan stwierdził, że wydobycie ciał stanowi zaledwie część ich misji. Wspominał, że na terenie ośrodka znajdowały się próbki patogenów z poziomu trzeciego i czwartego.

- Po co mieliby je tutaj trzymać?

- To placówka badawcza - odparła, wzruszając ramionami. - W gruncie rzeczy nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Może to niezbyt fortunna, ale częsta praktyka. Jeśli pracowali nad stworzeniem szczepionki albo lekarstwa, potrzebowali też próbek prawdziwych patogenów.

- Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że mieli tu laseczki wąglika?

- Tak, wąglika, być może również wirusa ptasiej grypy i eboli.

Creed zaczerpnął głęboko powietrza i wzdrygnął się, gdy poczuł ukłucie bólu. Środek przeciwbólowy, który podała mu Avelyn, przestawał działać.

- Mówił, że próbki przechowywane są w przenośnym hermetycznym pojemniku. Podejrzewa, że ktoś próbował go skraść. Dowody zabójstwa doktor Shaw, doktora Carringtona oraz pozostałych członków personelu miały ulec zniszczeniu w trakcie obsunięcia terenu.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie mówiłaś?

- Mówię ci teraz.

- Kiedy się dowiedziałas?

- Tuż przed tym, jak przyszłam po ciebie do sali.

- I dopiero teraz dzielisz się ze mną tymi wszystkimi informacjami?

- Logan powierzył mi je w sekrecie. To drań... - wymamrotała w zamyśleniu. - Nie wiem już nawet, czy to prawda.

- Czy to możliwe, żeby Ben nie wiedział o tym wszystkim?

Przetarła energicznie twarz dłońmi, próbując przepędzić zmęczenie. Gdy nie odpowiadała, nagle Creed zrozumiał, że to właśnie na wiadomość od Bena Maggie czeka tak niecierpliwie. Uznał, że lepiej będzie nie drażnić teraz tego tematu.

- Myślisz, że ten zabity facet z dziwnymi zmianami na skórze mógł zetknąć się z którąś z tych próbek? - spytał, a jej spojrzenie podpowiedziało mu, że oboje myśleli o tym samym. Po chwili dodał: - A jeśli tak, to czy istnieje szansa, że ty lub Gunther również zostałyście narażone na działanie tych substancji?

- Pracowałyśmy w rękawiczkach i maskach. Nie weszłyśmy w kontakt z żadnymi płynami ustrojowymi zmarłego.

- Jesteś pewna?

Nagle coś zmieniło się w jej spojrzeniu, jakby właśnie zrozumiała jego obawy.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziała, chwytając go za rękę. - Dłonie miałeś umazane w jej krwi. Nie mam stuprocentowej pewności, że nie zostałyśmy poddane działaniu tej substancji, jednak jestem przekonana, że Gunther postępowała bardzo ostrożnie. Była do tego stopnia ostrożna, że nawet nie dokonała żadnych nacięć w skórze denata ani nie pobrała krwi do analizy.

Raptem rozdzwoniła się jej komórka, zaskakując ich oboje.

Chwyciła ją, spojrzała na wyświetlacz i rozpoczęła rozmowę, nie troszcząc się o formalne powitanie.

- Dzięki, że oddzwoniłeś. Jakieś wieści od Logana? - Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani trochę, gdy wysłuchiwała odpowiedzi. - Wspominał wcześniej, że wiecie już, gdzie znajdował się ten ośrodek badawczy. Chcę, żebyś mnie tam zabrał.

O północy O'Dell doczekała się telefonu od Bena.

- W twoim głosie słychać było podenerwowanie. Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. Musisz mi wreszcie powiedzieć, o co tu, do cholery, chodzi.

Maggie mówiła szeptem, by nie obudzić śpiących wokół osób. Zauważyła, że Creed poruszył się niespokojnie na łóżku. Pamiętała jednak, że Avelyn podała mu kolejną dawkę środków przeciwbólowych, po których powinien mocno spać. Mimo to wstała z łóżka i ruszyła ku drzwiom.

Wypogodziło się już całkiem, powietrze było rześkie, lecz nadal unosił się w nim swąd ze zgliszcz stojącego niedaleko budynku.

- Maggie, wiem tylko tyle, że drugie z odkopanych przez was ciał miało w plecach ranę postrzałową. Oraz że wśród ofiar jest zapewne doktor Shaw.

- Musiałeś być świadomy, że w ośrodku znajdowały się patogeny z poziomu trzeciego i czwartego - oświadczyła, po czym wsłuchała się w ciszę, jaka zaległa po drugiej stronie słuchawki.

- Wiesz o tym od Logana?

- Wolałabym, gdybyś to ty raczył mnie o tym poinformować.

- Podejrzewaliśmy to - odparł Ben. - Jednak przysięgam, Maggie, nie wiedziałem o tym, kiedy poprosiłem cię, żebyś się tam wybrała.

- Nie mieści mi się w głowie, że wiedziałeś, co mogą kryć w sobie gruzy, a mimo to pozwoliłeś mi kopać w tym błocie.

- Hermetyczne pojemniki, których używa się w tych placówkach, mają doskonałe zabezpieczenia.

- A wiesz, że siła, z jaką dokonują się obsunięcia terenu, jest tak potężna i gwałtowna, że może dosłownie rozerwać na kawałki ludzkie ciało?

- Nie wiedziałem. Ale domyślam się, że taki właśnie los mógł spotkać doktor Shaw.

- Ben, skoro w trakcie powstawania osuwisk budynki wałają się w gruzy i rozrywane są ciała, może mi wyjaśnisz, dlaczego miałyby się uchować akurat hermetyczny pojemnik?

- Jego zamek nie został naruszony. O ile wiem, nadal odbierają z niego sygnał.

- Nie do wiary, że o takich sprawach muszę dowiadywać się od Logana.

Ben, kiedy zamierzałeś podzielić się ze mną tymi informacjami?

Znowu zapadła cisza. Nie cierpiała tej jego umiejętności zachowywania spokoju w samym środku kataklizmu. Ben operował pacjentów w Iraku i Afganistanie, gdy nad głową śmigły mu pociski mózdzierzowe. W Sierra Leone zajmował się chorymi, u których wykryto zarażenie wirusem marburg. A gdy Maggie i jej dawny przełożony zostali narażeni na kontakt z wirusem eboli, był też przy nich. I zawsze udawało mu się zachować ten sam kamienny spokój, który jednym mógl dodawać otuchy, zaś innych doprowadzać do szewskiej pasji. W tej chwili O'Dell miała po dziurki w nosie jego opanowania.

- Zeszłej nocy razem z doktor Gunther, specjalistką medycyny sądowej, przeprowadziłam oględziny ciała martwego mężczyzny. Zmiany na jego skórze każą przypuszczać, że miał kontakt z jakąś toksyczną substancją o wielkiej mocy.

- Jak oceniła te zmiany ta specjalistka od medycyny sądowej?

- Nie była pewna, z czym mamy do czynienia. Odniosła jednak wrażenie, że widziała już kiedyś coś podobnego.

- To znaczy?

- Miała na myśli incydent w latach sześćdziesiątych, gdy armia amerykańska rozpyliła chemikalia nad bazą wojskową Eglin Air Force Base. Twierdziła, że lotnicy pluli potem krwią, krew sączyła im się też z uszu. Jej zdaniem pęcherze i wysypka, które odnaleźliśmy na skórze odkopanego mężczyzny, przypominały zmiany, jakie pojawiły się przed laty na skórze żołnierzy.

- Jak to możliwe, że skojarzyła to po tylu latach?

- Najwyraźniej zmiany te zrobiły na niej piorunujące wrażenie, gdy zobaczyła je po raz pierwszy.

- Jeśli podeślecie mi tutaj to ciało, przyjrzę się temu osobiście.

- Nie ma na to szans.

- Załatwię to potem z Loganem.

- Ktoś puścił z dymem budynek, w którym było przechowywane. Nic się nie uchowało.

Ben odczekał dłuższą chwilę, nim odezwał się znowu.

- Maggie, nie wiedziałem o tym.

Miała ochotę opowiedzieć mu o swoich podejrzeniach dotyczących Logana,

jednak ugryzła się w język. I dopiero w następnej chwili dotarło do niej, dlaczego to zrobiła - nie ufała już Benowi. Przez cały wieczór wyczekiwała sposobności, by z nim porozmawiać. Liczyła, że uzyska od niego odpowiedzi na kilka pytań, a przynajmniej zrozumie, dlaczego ukrywał przed nią tyle kluczowych dla całej sprawy informacji.

- Maggie, słuchaj, a może mógłbym omówić to z tą Gunther? Gdyby opowiedziała mi dokładnie, jak wyglądały te zmiany na skórze, mógłbym z większą dokładnością odgadnąć, co przydarzyło się denatowi.

- Niestety Gunther nie będzie mogła uciąć z tobą pogawędki, Ben, ponieważ nie żyje. Osoba, która zaproszyła ogień, poderżnęła jej gardło.

I znowu cisza w słuchawce.

- Przylecę do was z samego rana - odezwał się po chwili.

Nie miało to już żadnego znaczenia. O'Dell zakończyła rozmowę, nie wspominając mu, że zanim dotrze na miejsce, jej już tu nie będzie.

Doktor Avelyn podała Creedowi kolejną dawkę środków przeciwbólowych, które miały ułatwić zaśnięcie. Najwyraźniej jednak słabo działały. Zamiast zapaść w głęboki sen, tracił tylko na chwilę świadomość, po czym szybko wracał do przytomności. Podczas dwóch takich przebudzeń widział, że Maggie nie ma w łóżku, jedynie Grace spała zwinięta na poduszce. Przed północą wstał. Słaniał się na nogach z wyczerpania, musiał jednak upewnić się, że Maggie jest bezpieczna.

- W którą stronę poszła Maggie? - spytał, zwracając się do Grace.

Pies spojrzał w kierunku tylnego wyjścia. Po chwili przez okno Creed zobaczył Maggie. Przy uchu trzymała telefon i krążyła nerwowo po chodniku.

Creed wrócił do łóżka, przykrył się kołdrą i czekał na jej powrót. W pewnym momencie musiał znowu przysnąć, bo gdy otworzył oczy, Maggie leżała już na swoim łóżku, zwinięta w kłębek obok Grace. W półmroku dojrzał, że mu się przygląda. Uniósł się na łokciu i po chwili ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? - spytał.

Przez chwilę nie odzywała się, jakby rozmyślała nad jego pytaniem.

- Kilka lat temu razem z szefem zostaliśmy narażeni na kontakt z wirusem eboli - powiedziała, też podnosząc się na łokciu. Przebudzona Grace przytuliła się do niej jeszcze bardziej.

- Cokolwiek jeszcze się stanie, Grace wraca ze mną - zapowiedział, a po chwili zobaczył, jak Maggie uśmiecha się do maleńkiej suczki. - No śmiało. Opowiadaj, co to za sprawa z tą ebolą.

- Dotarł do nas liścik, z którego wynikało, że w pewnym domu przetrzymywany jest zakładnik. Liścik trafił bezpośrednio do Wydziału Badań Behawioralnych, co samo w sobie było już niezwykle. Wicedyrektor wydziału Cunningham potraktował tę sprawę poważnie. Do tego stopnia, że nalegał, by znaleźć się w oddziale oddelegowanym do jej zbadania. - Odgarnęła kosmyk włosów z czoła i zapatrzyła się w jakiś punkt ponad ramieniem Creeda, jakby próbowała odnaleźć tam dalszy ciąg tej historii. Po chwili mówiła dalej: - Kiedy dotarliśmy na miejsce, stworzyła nam dziewczynka. Nadal byliśmy przekonani, że w domu przetrzymywany jest

zakładnik. Dziewczynka miała poplamioną sukienkę i nieuczesane włosy. Wszędzie stały brudne naczynia. Wyglądało to tak, jakby dziecko zostało porzucone i żyło samo w tym domu. W jednej z sypialni odnaleźliśmy jej matkę. Była poważnie chora. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, co jej dolega, a kobieta była zarażona wirusem eboli.

- I w ten sposób oboje zostaliście narażeni na kontakt z wirusem - domyślił się Creed, na co Maggie skinęła głową. - A co z dziewczynką?

- Przeżyła. W przeciwieństwie, rzecz jasna, do matki. Razem z Cunninghamem zostałam natychmiast umieszczona w oddziale z izolatkami w Fort Detrick. Nazywali go ciupą. Zajął się wtedy nami doktor Benjamin Platt.

Creed usiłował nie wzdrygnąć się na dźwięk tego imienia, jednak spojrzenie, jakim obrzuciła go Maggie, świadczyło, że to mu się nie udało.

- Było inaczej, niż myślisz. To nie przypadek pacjentki zakochującej się w lekarzu, który uratował jej życie. Po prostu przez jakiś czas moje życie było w jego rękach. Prawdopodobnie w takiej sytuacji między dwojgiem ludzi tworzy się pewna szczególna więź. I wcale nie musi to być coś złego. Zaprzyjaźniliśmy się. W sumie Ben faktycznie uratował mi życie.

- A co z Cunninghamem?

Uciekła oczami gdzieś w bok i znowu spojrzenie powędrowało ponad jego ramieniem ku przyczajonym tam cieniom.

- Nie przeżył.

Creed wyczuwał, jak wielki ładunek emocjonalny krył się w tym krótkim stwierdzeniu. Może Maggie doskwierało tylko poczucie winy, jakie dręczy osobę, która ocalała z katastrofy. Jednak Creed podejrzewał, że Cunningham był dla niej kimś więcej niż tylko przełożonym. Nie chciał jednak wydać się wścibski.

- Podsumowując, wiem, jak niebezpieczne bywają takie substancje. Chodzi o odzyskanie ich, tak by nie wpadły w niepowołane ręce. Ludzie kierujący tymi placówkami nadal odbierają sygnał wysyłany z pojemnika, w którym powinny się znajdować. Jeśli jednak nie uda nam się odnaleźć tych próbek, kto wie, do czego mogą posłużyć.

- Może więc najrozsądniej byłoby zdać się na ekspertów?

- Ale przecież to właśnie eksperci nawalili, czyż nie? Rozmawiałam z Rossem. Twierdzi, że nie ma pojęcia, gdzie podział się Logan. Obawiam

się, że Loganowi bardziej zależy na zatarciu wszelkich śladów całej tej afery niż na postąpieniu słusznie.

Creed wydał z siebie przeciągły jęk.

- No co?

- Dlaczego zawsze otaczam się kobietami, które pragną postępować słusznie?

Maggie uśmiechnęła się, a wtedy Creed wyciągnął do niej rękę. Zawahała się przez krótką chwilę, lecz wkrótce ich dłonie splotły się ponad głową Bola.

- Zdajesz sobie sprawę - odezwał się Creed, ściskając mocno jej dłoń w swojej - że mężczyzna, który kiedyś uratował ci życie, świadomie naraził cię teraz na równie wielkie niebezpieczeństwo?

Tym razem nie odwróciła spojrzenia. Nic nie odpowiedziała, ale też nie zabrała dłoni z jego uścisku.

Dzień 4.

Wczesny poranek, Waszyngton

Pułkownik Hess nie był zachwycony, gdy pod drzwiami zastał Benjamina Platta.

- Mam nadzieję, że przychodzisz z faktycznie pilną sprawą - warknął gospodarz.

Miał na sobie spodnie, koszulę z kołnierzykiem, rozpinany sweter i drogie skórzane buty. Był środek nocy, przed chwilą ktoś wyrwał go ze snu, jednak mężczyzna prezentował się nienagannie. Jakby nawet w takiej sytuacji chciał sprawiać wrażenie człowieka, który ma wszystko pod kontrolą. Platt ubrany był za to bardzo zwyczajnie - w niebieskie dżinsy i bluzę z kapturem. W pośpiechu zapomniał nawet włożyć skarpetki i narzucić na ramiona kurtkę.

- Sytuacja w Karolinie Północnej jest poważniejsza, niż sądziliśmy - oznajmił Platt.

- Powstało więcej osuwisk?

- Nie. Za to w pożarze spłonął budynek, w którym zorganizowano tymczasową kostnicę.

- Co z ciałami? - spytał Hess, unosząc w oczekiwaniu krzaczaste siwe brwi.

- Wszystko wskazuje na to, że spłonęły.

Hess skinął spokojnie głową. Platt przyjrzał mu się uważnie. Pułkownik nie sprawiał wrażenia, jakby te rewelacje wytrąciły go z równowagi.

- Logan się odzywał? - zainteresował się Platt. - Wspominał w ogóle o całej tej sprawie?

- Logan... - westchnął Hess. Po tonie dało się poznać, że pułkownik stracił już do Bena cierpliwość.

- Osoba, którą tam posłałem - odezwał się Platt - może być w niebezpieczeństwie. To ktoś bardzo dla mnie ważny. Posłałem ją tam, bo prosiłeś, żebym wybrał kogoś, komu bezgranicznie ufam. Zapowiedziałeś, że na terenie ośrodka mogą znajdować się próbki patogenów z poziomu czwartego. Podkreśliłeś przy tym słowo „mogą”. Nigdy nie wspomniałeś o realizowanych tam eksperymentach.

- Benjaminie, uspokój się.

- Słuchaj, Abe, darzę cię dużym szacunkiem. Od wielu lat mam cię za swojego mistrza...

- Któremu odwdzięczasz się - wszedł mu w słowo Hess - wyciągając go w środku nocy z łóżka i każąc wysłuchiwać swoich podejrzeń.

- Po prostu muszę wiedzieć, do cholery, o co tu chodzi. Abrahamie, to nie ma już nic wspólnego z odgrywaniem roli obrońców świata. Jesteśmy odpowiedzialni za to, co się tam dzieje. Ten ośrodek nie podlega nawet pod Fort Detrick. Działa w ramach DARPA, a więc to ty za niego odpowiadasz.

- Masz całkowitą rację. Niepotrzebnie prosiłem cię o pomoc. W każdym razie sytuacja jest już opanowana. Na miejscu działa zespół moich...

- Opanowana? - przerwał mu Platt, gdy nagle poraziła go nowa myśl. - Chodzi ci o to, że to ty odzyskujesz nad nią kontrolę, czyż nie? Twojemu oddziałowi do zadań specjalnych poza odszukaniem pojemnika z próbkami powierzono jeszcze inne zadanie: mają zlikwidować wszelkie dowody mogące wskazywać, co tak naprawdę się tam odbywało.

- Benjaminie, nie wiesz, o czym mówisz.

- Ten pożar zniszczył materiały dowodowe.

Po tych słowach w Hessie zaszła jakaś zmiana. Posłał gościowi przeciągłe spojrzenie, jakby wreszcie wiadomość o pożarze dotarła do jego świadomości.

- Benjaminie, nie tylko ty straciłeś tam kogoś. Ja również posłałem na miejsce kogoś bliskiego. Kogoś, komu wiele lat temu zaufałem. Kobieta ta była żoną mojego serdecznego przyjaciela. Sądziłem, że wciąż mogę jej ufać. - Hess potrząsnął głową, jakby teraz przestało to już mieć znaczenie. - Od każdego ta sytuacja wymaga poświęceń.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Z twojej przyjaciółki jest chyba typ buntowniczkki, co? Przypomina w tym moją rzekomo godną zaufania znajomą.

- Prawdopodobnie Maggie faktycznie ma w sobie ducha buntowniczkki. Jaki to ma związek...

- Warto pamiętać - przerwał mu sędziwy wojskowy - że buntownicy zazwyczaj więcej przeszkadzają, niż pomagają.

- O'Dell postępuje w sposób, który uważa za słuszny.

- Słuszny? Dobrze usłyszałem? Stoimy dziś w obliczu zagrożeń, przy których te z czasów zimnej wojny wydają się dziecinną igraszką. Nikt tego

nie rozumie. Twoja przyjaciółka nie ma pojęcia, co znaczy postępować słusznie w takiej sytuacji. Zresztą skąd miałyby wiedzieć? Benjaminie, idź do domu i się prześpij. A załatwienie tej sprawy pozostaw mnie.

- A co, jeśli okaże się, że to Logan jest buntownikiem?

Hess zamarł na chwilę i wpatrywał się w Platta nieruchomym spojrzeniem, jakby ta ewentualność nie przyszła mu wcześniej do głowy.

- Co, jeśli to Logan niszczy dowody? - ciągnął Platt. - Co, jeśli ma też inne plany?

- Zostaw to mnie - odparł Hess, potrząsając głową. - Idź do domu i trochę się prześpij.

- Z samego rana wylatuję do Karoliny Północnej.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdził Hess, poklepując gościa po ramieniu i delikatnie prowadząc go ku drzwiom. - Rano wszystko będzie już załatwione.

Po tych słowach Platt nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że pułkownik dobrze wie, co się wydarzy.

Hrabstwo Haywood, Karolina Północna

O świcie Creeda przywitało krystalicznie czyste niebo. Prognoza pogody nie pozostawiała jednak złudzeń: ta sielanka nie miała utrzymać się długo. Maggie zareagowała niechętnie, gdy zapowiedział, że wybierze się z nią do miejsca, gdzie ziemia pochłonęła budynek ośrodka. A kiedy wspomniał, że zabierze ze sobą Grace, uznała to za fatalny pomysł. Creed chciał zabrać psa na wypadek, gdyby okazało się, że jest w stanie wywęszyć wirusy lub gdyby sygnał z hermetycznego pojemnika stał się zbyt słaby do wykrycia. Liczył, że Grace będzie umiała go dosłyszeć.

Maggie oznajmiła, że prawdopodobnie większą część drogi będą musieli przebyć pieszo - i że nie całkiem sprawny Creed i Grace będą ich tylko spawalniac.

- Jeśli tak się stanie, nie czekajcie na nas.

- Nigdy nie zostawiłabym Grace - obruszyła się Maggie, przewracając oczami.

Creed ucieszył się, że wraca jej dobry humor. Maggie O'Dell dała mu tej nocy powody do niepokoju. Szczególnie martwił się tym, jakie tak naprawdę motywy jej przyświecały. Kiedy mówiła, że musi postąpić słusznie, jej głos brzmiał, jakby mówiła to od serca. Ale równocześnie Creed wiedział, że Maggie jest wściekła na Logana. Podejrzewał, że jeszcze bardziej zezłościł ją Ben. A z własnego doświadczenia wiedział, że złość potrafi być fatalnym doradcą.

Tęgo ranka przynajmniej on mógł o sobie powiedzieć, że myśli trzeźwo. Miarowe łupanie w czaszce osłabło. Ból żeber nadal doskwierał, lecz udawało mu się już brać głębsze oddechy. Z radością odkrył, że podusieczki na łapach Grace goją się dobrze.

Jason, kiedy przyszedł, miał zaczerwienione oczy. Przyprowadził ze sobą Molly, po chwili suczka przywitała się z Bolem.

- Może Bolo i ja powinniśmy pójść razem z wami? - zaproponował.

Obserwował, jak Creed pakuje do plecaka sprzęt, który miał mu się dziś przydać podczas pracy z Grace. Przygotował też transporter, w którym zamierzał ją umieścić. Pasek przełożył sobie przez głowę i przesunął na bok. Grace ważyła niespełna siedem kilo, więc noszenie jej nie różniłoby się

zbyttnio od wędrowania z plecakiem. Pracował już z nią w ten sposób. Umieszczonemu w transporterze psu było wygodnie i mógł swobodnie węszyć.

Creed rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy Maggie nie usłyszy tego, co ma do powiedzenia. Następnie dosiadł się do Jasona i powiedział:

- Jeśli nie wrócimy przed zachodem słońca, przekaż to Vance'owi - poprosił, wręczając chłopakowi urządzenie lokalizujące.

- A więc z góry zakładasz, że potrzebna wam będzie pomoc - stwierdził Jason.

- Po prostu ubezpieczam się na wszelki wypadek.

W rzeczywistości jednak cała ta sprawa wzbudzała w nim złe przecucia. Jason nie mógł wiedzieć, że nadajnik GPS Creed zamierzał umieścić w kamizelce Grace, żeby ewentualna misja ratownicza natrafiła przynajmniej na jej trop.

Widząc, że Maggie zbiera się już do wyjścia, Creed położył Jasonowi dłoń na plecach.

- Chcę cię prosić o jeszcze jedną przysługę - odezwał się. - Zadzwoń do Hanny i opowiedz, jaka jest sytuacja. Ale odczekaj z dzwonieniem, aż będę daleko.

Ostatnia część tej prośby sprawiła, że twarz Jasona rozjaśnił uśmiech.

- W porządku, zadzwonię do Hanny. Ale ty też musisz coś dla mnie zrobić.

Creed przytaknął, zanim jeszcze dotarło do niego, że chłopak wcale nie żartuje. Jason poszedł do szatni, a po chwili przyniósł z niej coś, co Creed miał zabrać ze sobą do pracy. Wtedy Creed uświadomił sobie, że również Jason uważał wyprawę w góry za zły pomysł.

Cała ich trójka wsiadła do SUV-a Rossa. Grace zajęła miejsce u stóp pana, ale już w następnej chwili utkwiała w nim nieruchome spojrzenie. Mogło to oznaczać tylko jedno - pies dawał znać, że coś jest nie tak.

Jak to możliwe, by wywęszył coś tak szybko?

Maggie usiadła z przodu, obok prowadzącego Rossa, a Creed i Grace zajęli miejsca z tyłu. Creed rozejrzał się po kabinie. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co znajduje się w tylnej części samochodu. Możliwe, że Grace zareagowała tak na przewożony tam sprzęt albo wyczuła jakąś resztkę zapachu czegoś, co ułożono tam wcześniej. Nie znalazł jednak nic podejrzanego. W bagażniku leżał sprzęt jego oraz Maggie, a także jeden dodatkowy plecak, zapewne

należący do młodego gwardzisty.

Ross ubrany był w czysty mundur w kolorze khaki. Creed zauważył też, że na nogach miał nienagannie czyste wojskowe buty. Przez chwilę zastanawiał się, czy to możliwe, by Grace zaalarmowała schowana gdzieś w kabinie broń młodego gwardzisty. Uznał, że to mało prawdopodobne. W pewnym momencie dojrzał, że pies kieruje spojrzenie ku tyłowi głowy Rossa. A już w następnej sekundzie przeniósł je z powrotem na opiekuna.

Ross zapowiedział, że ma dla nich dobrą wiadomość - za sprawą pięknej pogody podróż na miejsce katastrofy miała zająć mniej czasu. Oświadczył, że na rubieżach miasteczka czeka już na nich śmigłowiec.

Grace uspokoiła się w końcu, a widząc to, lepiej też poczuł się Creed. Być może faktycznie wyczuwała tylko resztki jakichś starych woni, które zachowały się w samochodzie. Cieszył się, że unikną brnięcia przez błoto. No i uwiną się z tym szybciej. Creed nie przepadał wprawdzie za śmigłowcami, ponieważ przypominały mu o Afganistanie. Za to Grace uwielbiała latać helikopterem. Creed liczył, że dzięki temu pies się uspokoi.

Wystarczył jednak rzut oka na Maggie, by Creed zrozumiał, że perspektywa lotu śmigłowcem nie napawała jej entuzjazmem.

Śmigłowiec! Na samą myśl o wzbieniu się w powietrze O'Dell zacisnęła nerwowo zęby. Zaraz też poczuła mdłości. Nie cierpiała latania, a lot helikopterem należał do wyjątkowo piekielnych doświadczeń. Założyła okulary przeciwsłoneczne i wyrzała przez okno. Przecież od tyłu dni marzyła, by zobaczyć bezchmurne błękitne niebo.

Uważaj, o czym marzysz.

Kiedy jeszcze raz podpytała Rossa o Logana, ten udzielił jej tej samej odpowiedzi co poprzednio: od wczoraj Logan nie kontaktował się z jego zespołem. Młody gwardzista sprawiał tego ranka wrażenie podenerwowanego, lecz O'Dell wcale nie czuła się lepiej. Przez cały czas doskwierał jej nerwowy ucisk w piersi. Zeszłej nocy nagle naszła ją ochota, by wsunąć się pod kołdrę na łóżku Rydera. Nawet teraz, gdy przypomniła sobie tamten moment, musiała znów zgromić się w myślach: uważaj, o czym marzysz.

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna spróbować odwieść Rossa od pomysłu lotu helikopterem. Nie sprawdzała pogody, co jednak będzie, gdy nagle się zachmurzy? Czy będą mieli jak zejść ze szczytu góry?

W ostatniej chwili ugryzła się w język. Przede wszystkim zależało jej, żeby uporać się jak najszybciej z całą tą sprawą. Nie było czasu do stracenia. Chcąc zmobilizować się do działania, przypomniła sobie, co spotkało doktor Gunther. Niezależnie od tego, kto zaproszył ogień - Logan czy też ktoś inny - pragnął zniszczyć to, co znajdowało się w środku. Teraz przyszła kolej na pozbycie się jej. Wiedziała o tym.

Czekanie na przybycie Kunzego nie wchodziło w grę. Wyjaśniła już szefowi, że w pierwszej kolejności muszą odnaleźć Petera Logana. To, że po pożarze przepadł tak nagle, nie mogło być zbiegiem okoliczności.

Czuwała przez całą noc. Wystarczył najmniejszy szelest, a natychmiast podrywała się i siadała na łóżku. Nie wierzyła, że Logan gotów jest puścić z dymem całą salę sportową i uśmiercić przy okazji kilkudziesięciu ratowników i pomagających im wolontariuszy. Jednak nieraz już widziała zdesperowanych mężczyzn, którzy postępowali w sposób szalony.

Teraz chodziło tylko o to, by dotrzeć na szczyt góry przed Loganem. Musiała odnaleźć próbki śmiertelnej substancji, nim zrobi to człowiek,

który nie zawahał się zamordować kobiety w podeszłym wieku i puścić z dymem dowodów. Nie mogła już liczyć na Bena. Od czasu ich ostatniej rozmowy kilkakrotnie próbował się do niej dodzwonić. W końcu ściszyła telefon i przestała zwracać uwagę na powiadomienia o nagranych wiadomościach.

Doskonale wiedziała, co musi zrobić. Żałowała tylko, że nie udało jej się przekonać Creeda, by został na dole.

W wyższych partiach góry obsunięcie terenu wyrządziło jeszcze większe szkody. Creed postąpił mądrze, zabierając ze sobą uprzęż dla Grace. Za nic w świecie nie pozwoliłby jej biegać po najeżonym ostrymi odłamkami błocie.

To, co ujrzał na szczycie, przypominało mu widok zbombardowanej afgańskiej wioski. Wszystkie zabudowania obróciły się w gruzy. Z ziemi starczały odarte z gałęzi kikuty pni oraz podłużne elementy zerwane z dachów. Przypominały, że pod ich stopami znajdował się jakiś pogrzebany budynek. Oczami wyobraźni Creed ujrzał nienaruszone korytarze, razem z całą resztą odcięte od świata. Może nawet pod ziemią nadal znajdowały się ciała ofiar.

Zewsząd docierała woń ropy i gazu. Ich stężenie w powietrzu było tak duże, że idąc za Rossem i Maggie, Creed odruchowo wypatrywał charakterystycznych oleistych kałuż.

Pilot został przy śmigłowcu. Na razie nie spotkali tu nikogo, kto by na nich czekał. Ross sprawiał wrażenie, że nikogo nie spodziewa się tu spotkać.

- To niedaleko - powiedział, zwracając się do Maggie, po czym spojrzał na Grace i spytał Creeda: - A co właściwie może odszukać taki pies?

- Różne rzeczy. Grace nigdy jednak nie była szkolona do pracy z wirusami, których teraz szukamy.

Creed pomyślał wtedy, że Ross zareagował, jakby informacja o ograniczeniach Grace przyniosła mu ulgę, zamiast go zaniepokoić. Jednak suczka zaczęła właśnie zdradzać objawy zaniepokojenia. Chętnie zgodziła się na założenie uprząży, po chwili jednak wymownie spojrzała panu w oczy i zaczęła się wiercić. Poruszała się teraz bezpiecznie u boku opiekuna, lecz co jakiś czas przystawała i delikatnie skrobała go łapą po nodze. Kiedy Creed na nią spojrzał, zobaczył, że drga jej nos, a oddech gwałtownie przyspieszył. Pies najwyraźniej odnalazł tropiony zapach.

Psy wielozadaniowe to nadzwyczajne zwierzęta, niektóre zaś to prawdziwe fenomeny. Zdarzają się jednak sytuacje, w których się gubią. Najdrobniejsze niezrozumienie oczekiwań opiekuna skutkować może fałszywym alarmem. Właśnie dlatego dla każdego typu zadania Creed wykorzystywał inne komendy oraz odmienne psie uprząże i kamizelki. Musiał absolutnie jednoznacznie dać psu do zrozumienia, jakie wyznaczał mu zadanie.

W przeciwnym razie dochodziłoby do nieporozumień.

Jednakże Grace wcale nie była zdezorientowana.

Creed wiedział, że pies może skojarzyć wyłapywany z powietrza zapach z wonią, którą szkolono go odnajdywać. Gdy jego nos zarejestruje taką zapamiętaną woń, będzie alarmował opiekuna, i to nawet w sytuacji, gdy wcale nie proszono go o odnalezienie jej tym razem. Powstanie osuwiska sprawiło, że całe zbrocze roilo się od przeróżnych zapachów. Było ich tyle, że pies mógł dosłownie zgłupieć. Czyżby Grace wywęszyła smród rozkładającego się ludzkiego ciała?

Dopóki jechali samochodem, Creed podejrzewał, że pies reaguje na jakiś zapach w kabinie. Teraz jednak byli na zewnątrz, a mimo to Grace znowu próbowała go o czymś zaalarmować i spoglądała panu w oczy. Jedynym wspólnym mianownikiem obu tych sytuacji był Ross.

Creed przyjrzał się uważnie plecakowi gwardzisty. Następnie obrzucił spojrzeniem jego kurtkę. Czy funkcjonariusze gwardii zawsze noszą przy sobie broń?

Nos Grace nadal pracował. Schylił się i pozwolił jej wysunąć się z uprzęży, żeby psu łatwiej było węszyć.

- Grace chyba coś znalazła - zauważyła Maggie.

Kiedy Ross znów zerknął w kierunku psa, Creed wychwycił w jego spojrzeniu coś, co umknęło mu wcześniej - gwardzista spoglądał na zwierzę z ledwo ukrywaną niechęcią.

Creed poklepał się po kieszeni kurtki i powiedział, próbując posłać porozumiewawcze spojrzenie Maggie:

- Przy wysiadaniu ze śmigłowca musiała mi wypaść specjalna obroża dla Grace.

- Obroża? - zainteresował się Ross.

- Nic dziwnego, że jest taka niespokojna. Dopóki nie ma jej na szyi, nie wie, czego tak naprawdę ma szukać. Maggie, może cofnęłabyś się do helikoptera i jej poszukała, co ty na to? Trochę jestem poobijany po ostatnich przygodach i ruszam się jak mucha w smole.

Jej niepewna mina natychmiast powiedziała mu, że Maggie nie rozumie, o co chodzi. Wiedziała co prawda, że Creed używa różnych typów kamizelek i obroży, żeby zakomunikować Grace, czego od niej oczekuje. Teraz pragnął zasugerować Maggie, że coś nie gra. Przede wszystkim chciał jednak, żeby

oddaliła się z tego miejsca.

- Jasne, nie ma sprawy - powiedziała.

- Nie ma takiej potrzeby - odezwał się nieoczekiwanie Ross, a już w następnej sekundzie wymierzył z pistoletu w pierś Creeda. - Agentko O'Dell, proszę oddać mi służbową broń.

Dziura wykopana w ziemi kojarzyła się O'Dell z wejściem do piwniczki, gdzie ludzie chronią się przed nadejściem huraganu: głęboka, mroczna i wąska. Ze ściany zwieszała się drewniana drabinka, prócz niej nie było innego sposobu dostania się na dół. W świetle latarki dojrzała szczątki sprzętów, które niegdyś mogły znajdować się na wyposażeniu biura lub laboratorium. Podłoga zasłana była potrzaskanymi przeszklonymi gablotami. Z sufitu zwieszały się na kablach resztki lamp. Ściany wyrzuciły się do środka pod naporem ton ziemi.

Nie mogła sobie darować, jak głupio dała się podejść. Wystarczył mundur Rossa, by zupełnie zatraciła czujność. Była taka pewna, że głównym podejrzanym jest Peter Logan. Przez myśl jej nie przeszło, że powinna bacznie przyrzeć się mężczyznom, którzy od początku pracowali razem z nią, pomagając odkopać ciała ofiar.

Ben nazywał ich „zespołem od brudnej roboty”, przysłanym do pomocy przez pułkownika Hessa. Dopiero teraz dotarło do niej, dlaczego pułkownik użył takiej nazwy. Ona i Kunze mieli rację: Hess, a zapewne także inni ludzie z Departamentu Obrony, nie życzył sobie, by ktokolwiek dowiedział się o całym tym bałaganie. Szczególnie teraz, gdy musieli walczyć w Kongresie o utrzymanie w tajemnicy innych swoich sprawek.

- A więc twoją misją nie było odszukanie ciał - zgadła, wręczając Rossowi swojego glocka. - Przysłali cię tu, żebyś zatuszował ten bajzel. Istnieje w ogóle jakiś pojemnik z próbkami?

- Moi ludzie odnaleźli go dzisiaj rano. Obecnie znoszony jest w dół zbocza i zaraz zostanie zapakowany do bagażnika mojego SUV-a. Jeszcze przed zmierzchem znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

- Rozumiem, dlaczego musisz się mnie pozbyć - oznajmiła O'Dell. - Na własne oczy widziałam, do czego doprowadziły eksperymenty przeprowadzane w ośrodku. To dlatego zamordowałeś doktor Shaw i innych?

- Nie zabiłem ich - zaprzeczył Ross, marszcząc brwi. - I nic mi nie wiadomo na temat żadnych eksperymentów. Przyjechałem tu, gdy powstało już osuwisko. Kto wie, co działo się tu wcześniej. Mojemu zespołowi powierzono proste zadanie: mieliśmy odkopać ciała i odnaleźć sejf.

- A przy okazji dopilnować, żeby nikt się o tym wszystkim nie dowiedział -

dopowiedziała O'Dell, zerkając w kierunku Grace i Creeda. Natychmiast poczuła, jak coś ściska ją w dołku. - Oni nie widzieli tych ciał, możesz ich wypuścić.

- Nie zapraszałem ich tutaj.

Jego słowa ścisnęły ją za gardło. Miała wrażenie, że zaraz się udławi. Boże, on ma rację. W następnej chwili dojrzała w jamie coś jeszcze - mignięcie jasnych włosów, pobrudzonych krwią w miejscu, gdzie kula wwierciła się w czaszkę. Patrzyła na ciało Petera Logana.

Gdy Ross wyszarpywał pistolet, Creed widział, że razem z nim z kieszeni wysunęło się coś jeszcze. Przedmiot ten bardzo przypominał detonator.

I nagle pojął, przed czym próbowała go przestrzec Grace. W jamie musiały znajdować się ładunki wybuchowe, przy których rozkładaniu zapewne pomagał Ross. To dlatego pies wyczuwał na jego dłoniach lub ubraniu resztki zapachu. Przez cały czas Creed trzymał dłoń w transporterze Grace, głaszcząc ją i na wszystkie sposoby dodając otuchy.

- Przeprowadziłeś nas tak daleko tylko po to, żeby z nami skończyć? - spytała Maggie.

Próbowała zachować spokój, lecz Creed dojrzał w jej oczach wyraz paniki.

Cieszył się, że Ross mierzył teraz do niego zamiast do Maggie. Po tym jak strzeli, będzie miała kilka sekund na podjęcie walki.

- Całe to miejsce lada moment wyleci w powietrze - odparł Ross. - Takie wypadki się zdarzają. Wszędzie wkoło pełno jest rozlanego paliwa, uszkodzonych rur gazowych. Szkoda, że kręciliście się w okolicy, gdy akurat nastąpił wybuch.

- To ty podłożyłeś ogień zeszłej nocy - domyśliła się Maggie.

Gwardzista skwitował oskarżenie wzruszeniem ramion.

- I zabiłeś doktor Gunther. Ten pożar to nie był wypadek.

- No cóż, straty uboczne.

Jego słowa wyprane były z emocji. Creed słyszał ten ton u wielu innych wojskowych. Wpajano go im na drodze treningu. Tyle że w tej chwili nie znajdowali się na polu bitwy. I wtedy nagle zaświtała mu pewna myśl.

- Wczorajsze ruszenie wód powodziowych również nie wydarzyło się samo z siebie, prawda? - zgađł.

- Gdybyście oboje wtedy zginęli, zaoszczędziłoby to nam sporo trudu.

- Oboje, czyli ja i Logan - uściśliła Maggie.

Stoicki spokój Rossa nie pozostawiał złudzeń, że Logan również został zaliczony w poczet strat ubocznych.

- Dla kogo konkretnie pracujesz? - spytał Creed.

- A przede wszystkim, dla kogo zabijasz, Ross? - dopytała Maggie, a gdy nie doczekała się żadnej odpowiedzi, dodała: - Dla pułkownika Abrahama Hessa, zgadza się?

Creed domyślał się, że gdyby nie zeszedł do jamy o własnych siłach, Ross bez mrugnięcia okiem zastrzeliłby ich, a następnie zrzucił na dół ciała. Prawdopodobnie zastrzeliłby też Grace. Ta myśl obudziła w nim złość.

- Puszczam Grace - oznajmił, pochylając się do psa w taki sposób, by między zwierzęciem a wylotem lufy broni znalazło się jego ciało.

- Nie ruszaj się - warknął Ross. - Przestań natychmiast albo postrzelę cię i każę ci patrzeć, jak zabijam twojego psa.

Creed znieruchomiał, lecz nadal pochylał się nad transporterem zwierzaka, chroniąc Grace przed strzałem. Dłoń wsunął do nosidelka. W pewnym momencie spojrzał w kierunku Maggie i znowu ich spojrzenia się skrzyżowały. Spodziewał się, że w jej oczach odnajdzie smutek i żal. Jeśli nie z powodu losu, jaki czeka Creeda, to przynajmniej z powodu Grace. Tymczasem odnalazł w nich coś zupełnie innego - złość i wolę walki. Ross, skupiając całą uwagę na kucającym Creedzie, najwyraźniej na chwilę zapomniał o Maggie.

Akcje poszukiwawcze i ratownicze, jakich się podejmował, nierzadko prowadziły go w osobliwe i niebezpieczne miejsca. Zazwyczaj był na to przygotowany, choć niekoniecznie chodziło o chronienie siebie. Zawsze na pierwszym miejscu stawiał bezpieczeństwo psów. W dziczy na każde zwierzę czyhało wiele niebezpieczeństw. Creed co prawda nigdy nie nosił przy sobie broni palnej, ale pamiętał o zabraniu broni, która mogłaby się przydać na wypadek spotkania z kojotem czy niedźwiedziem.

Gdy wsunął dłoń do transportera, po chwili w wewnętrznej kieszonce odnalazł pojemnik z gazem pieprzowym. Grace wierciła się coraz bardziej, lecz zdołał zacisnąć palce na pojemniku.

- Wstawaj! Natychmiast!

Creed zsunął pasek transportera z ramienia i odłożył go na ziemię. Musiał tylko psiknąć gazem prosto w twarz Rossowi, tak by część nie doleciała do Grace. Zaczynał już się prostować, gdy wtem rozległ się potężny huk wystrzału.

Siła uderzenia powaliła go na ziemię. Pocisk ugodził go w pierś. Momentalnie poczuł eksplozję bólu, który wysłał mu z płuc całe powietrze. Creed upadł, przykrywając swoim ciałem Grace. Jego jedyną myślą było w tej chwili, by choć w ten sposób ją ochronić. Dokładnie tak samo jak siedem lat temu, gdy w ten sposób chronił przed wybuchem Rufusa.

W następnej sekundzie ujrzał rozbłysk, gdy oddano drugi strzał. Tym razem nie słyszał nawet huku.

O'Dell rzuciła się na ziemię, próbując dosięgnąć porzuconego tam pistoletu. Spodziewała się, że Ross skieruje broń na nią. On jednak strzelił Creedowi prosto w pierś.

Usiłowała wyprzeć ze świadomości to, co właśnie rozgrywało się przed jej oczami.

Mijały drogocenne sekundy. Jej palce zacisnęły się na rękojeści. W tym samym momencie usłyszała zduszone sapnięcie Creeda, a po chwili głucho uderzenie ciała padającego na ziemię. Maggie obróciła się na plecy, a jej palec rozpaczliwie szukał spustu. Ross skierował na nią broń.

Za późno. Nie ma szans, żeby jej się udało.

Jej świadomość zarejestrowała huk drugiego wystrzału i równocześnie wiedziała, że to nie ona strzeliła. Nim zdążyła nacisnąć spust, zobaczyła, że krew tryska z boku głowy Rossa. Wpatrywała się oniemiała, jak gwardzista wypuszcza z dłoni pistolet. Padł na kolana, a nim całe ciało runęło na ziemię, miał już martwe spojrzenie.

O'Dell chwiejnie stanęła na nogach.

Około trzech metrów dalej stał jakiś mężczyzna. W ręce trzymał wycelowaną teraz w ziemię strzelbę. Nie należał do zespołu Rossa. Ubrany był w coś przywodzącego na myśl lekarski kitel, uwalany ziemią i poszargany. Stopy miał owinięte bandażami.

O'Dell ostrożnie zbliżyła się do Creeda, nie spuszczając z oka przybyłego.

- Nic wam nie jest? - upewnił się mężczyzna.

- Jeszcze nie wiem - odparła.

Chciała jak najszybciej sprawdzić, co z Creedem. A równocześnie nie umiała się zmusić, by przekonać się, jak poważne odniósł rany. By zyskać pewność, że nie umiała go przed nimi uchronić.

A może już nie żył.

Uklękła tuż obok niego. Grace wyrwała się w końcu z transportera i biegła w kółko. Obwąchiwała swojego opiekuna. O'Dell tymczasem wypatrywała śladów krwi. Gwardzista postrzelił go prosto w tors.

Wtem Grace zaczęła lizać go po twarzy.

- Tak mi przykro, Grace - powiedziała do maleńkiej suczki.

W następnej chwili pies zaczął merdać ogonem.

O'Dell usłyszała jęk. Po chwili dojrzała ruch. Creed leżał na plecach - miał otwarte oczy i przyglądał się jej.

- Jakim cudem...

- Dzięki Jasonowi - wyjaśnił przez zaciśnięte zęby, próbując się podnieść.

- Poleż przez chwilę - poradziła, kładąc mu dłoń na piersi, i dopiero wtedy wyczuła to, co przez cały czas ukrywał pod kurtką. - Jason dał ci kamizelkę kuloodporną?

- Podobno najnowszy, najlżejszy model - wysapał, próbując złapać oddech.

- Załatwił mu ją jego koleżka Tony. Kawał paranoika z tego chłopaka.

- Proszę, uspokój się - powiedziała Maggie, kładąc mu palec na ustach. Tak naprawdę kierowała te słowa do swojego serca, które puściło się w dziką galopadę. - Kamizelka zatrzymała kulę, ale nie wiemy, jak uderzenie zniosły twoje żebra. Musimy się upewnić, że nie przebijesz sobie płuc.

- Zastrześliś go? - spytał Creed. - Nie żyje?

Odgarnęła kosmyk z czoła, po czym odparła:

- Nie żyje, ale to nie ja go zastrześliłam.

Spojrzała w kierunku człowieka w łachmanach, a ten powoli zbliżył się do nich.

- Nic mu nie jest? - spytał przybysz.

Creed wykręcił szyję i spojrzał na mężczyznę.

- Ci goście kręcili się tu od wczoraj. Wiedziałem, że coś knują. Umieszczali ładunki wybuchowe w tunelu - oznajmił, po czym uniósł strzelbę i dodał. - Zapomnieli o tym.

- Kim pan jest? - spytała wreszcie O'Dell.

- Nazywam się Daniel Tate.

- Jak to możliwe... - zaczęła Maggie, jednak Tate wszedł jej w słowo.

- Groził, że zabije tego psa. Tak się nie robi - powiedział mężczyzna, po czym pochylił się i dał swoje palce do powąchania Grace. - Tak się po prostu nie robi.

Z początku pilot niechętnie zareagował na pomysł wracania śmigłowcem bez Rossa. Zmienił zdanie, gdy O'Dell pokazała mu swoją odznakę. Pilot nie należał do zespołu Rossa, był stąd i pracował na zlecenie. Bardziej niż nieobecnością gwardzisty przejmował się pogodą i tym, żeby bezpiecznie dostarczyć ich z powrotem na dół. Z daleka dobiegały pierwsze grzmoty nadciągającej burzy.

Podczas przeszukiwania ubrań Rossa prócz kluczyków do SUV-a Maggie znalazła też w kieszeni kurtki detonator. Creed powiedział jej wtedy, że od momentu, gdy wsiedli do samochodu, Grace alarmowała go, że coś jest nie tak.

- A ja nie mogłem wpaść, o co jej chodzi.

Maggie wspomniała mu o zabójstwie Petera Logana. Wspólnie doszli do wniosku, że gdy byli niedaleko jamy, Grace musiała wyczuwać właśnie jego ciało. Biedny pies trafił do miejsca, gdzie roilo się od przeróżnych tropów.

Daniela Tate'a Maggie zawiozła do Vance'a. Gdy ich niedawny wybawca opowiedział im swoją historię, Maggie zrozumiała, że pułkownik Hess wcale nie liczył, że ekipa ratownicza odnajdzie ocalonych - a na pewno nie kogoś, na kim w ośrodku przeprowadzano eksperymenty. Tate wspominał ciągle o jakimś astronautcie i jego walizce, co kazało się jej zastanowić, ile chemii musiało wciąż płynąć w jego żyłach. Skąd miała wiedzieć, co z jego opowieści wydarzyło się naprawdę, a co stanowiło tylko wytwór jego umysłu.

Zaprowadziła Creeda i Grace do sali sportowej i pomogła im odnaleźć ich łóżko polowe. Creed nie stawiał nawet specjalnie oporu, był zbyt wyczerpany. Maggie wiedziała, że dokucza mu potworny ból. Mogła tylko liczyć, że rany nie okażą się zbyt poważne. Myślami uczepiła się tego, że przeżył. Podczas szarpaniny na szczycie góry przez parę sekund myślała, że go straciła.

Zostawiła go pod opieką doktor Avelyn i Jasona, po czym zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Jakie masz plany? - spytał Creed.

- Niedługo wrócę - obiecała. - Muszę sprawdzić, czy Ross nie okłamał nas, gdy mówił o nienaruszonym sejfie.

Na zewnątrz przywitał ją deszcz. Skierowała się do SUV-a, lecz nagle przystanąła w pół kroku. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie widzi. Na chodniku zajęty rozmową z ratownikami stał Benjamin Platt. W pewnym momencie obrócił się w jej stronę. Po chwili spojrzął raz jeszcze, po czym powiedział coś do ratowników. Jego słowa sprawiły, że oni również przenieśli na nią wzrok.

- Boże, tak się cieszę, że nic ci nie jest - powiedział na powitanie.

Jego uścisk był tak mocny, że niemal zabrakło jej tchu. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo obolałe ma ciało po wczorajszej wodnej akcji ratowniczej. A więc to wydarzyło się dopiero wczoraj?

- Zostawiłem ci mnóstwo wiadomości na skrzynce głosowej.

- Byłam nieco zajęta.

- Odzywał się do ciebie Logan?

- Logan nie żyje.

- Co takiego?

O'Dell zreferowała Benowi wypadki ostatnich godzin. Opowiadała, nie pomijając żadnych szczegółów, a przy okazji ignorując wyraz paniki, jaki rysował się na jego twarzy. Nadal była na niego zła.

- Mój Boże, tak mi przykro, Maggie - oznajmił, gdy opowieść dobiegła końca. Następnie niczym wzorowy naukowiec i karny żołnierz, niemal zbyt ochoczo dorzucił: - Przyjechałem tak szybko, jak było to możliwe. Mam ze sobą furgonetkę do przewozu substancji niebezpiecznych. Na wypadek gdybyśmy odnaleźli te próbki.

Maggie przysłuchiwała się swoim uczuciom. Jej reakcja dla niej samej była zaskoczeniem - czuła się rozczarowana, że Ben brzmiał jak urzędnik państwowy i dyrektor USAMRIID, nie jak jej chłopak. Bardziej niż jej bezpieczeństwem przejmował się śmiertelnością substancją zamkniętą w jakimś pojemniku. Oczywiście próbki były ważniejsze i głupotą byłoby robienie mu z tego powodu wymówek. Nie mogła jednak nic na to poradzić, że w tej chwili znacznie bardziej potrzebowała wsparcia na ramieniu ukochanego mężczyzny niż wysłuchiwać zapewnień dyrektora państwowej agencji.

- Może będę mogła zaprowadzić cię do miejsca, gdzie znajdują się te próbki.

Ben zrobił zdumioną minę, lecz Maggie, jakby tego nie zauważając,

zaprowadziła go po prostu do ubłoconego SUV-a stojącego w odległym kącie parkingu. Otworzyła klapę bagażnika i odsunęła gumową matę przykrywającą posadzkę. Po chwili ich oczom ukazała się klapa luku służącego do przewozu koła zapasowego. To, co odnaleźli pod spodem, było wielkim zaskoczeniem zarówno dla niej, jak i dla Bena. Niewinnie wyglądająca metalowa walizka znajdowała się dokładnie w tym miejscu, które wskazał Ross.

Creed cierpliwie wysłuchał przemowy doktor Avelyn na temat konieczności odpoczynku. Tym razem nie obeszło się bez prześwietlenia. Wykazało, że żadne narządy wewnętrzne nie zostały uszkodzone, ale kilka żeber jest złamanych. Lekarka uznała też, że pacjent cierpi na wstrząs mózgu. Informacje, którymi się z nim podzieliła, nie nastrojały zbyt optymistycznie. Z wyjątkiem tej, że Avelyn nie życzy sobie, by Creed ruszał się teraz w podróż. To z kolei niezbyt mogło spodobać się Hannie, która chciała jak najszybciej ściągnąć go do domu, gdzie mogłaby się do woli zamartwiać jego ranami.

Nie mógł przecież wyjechać teraz, gdy pojawił się tu Benjamin Platt.

Zerknął na trzy psy przycupnięte w rogu kawiarni, niedaleko jego stołu. Jason namówił Creeda, by czas oczekiwania na niego spędził na krześle.

Zwierzaki zjadły już i teraz wylegiwały się jeden obok drugiego. Molly zdążyła zaprzyjaźnić się z pozostałymi dwoma. W pewnym momencie Creed z bólem serca zauważył, że suczka przygląda się bacznie wszystkim przechodzącym w nadziei, że któryś z nich okaże się jej dawnym właścicielem. Nachylił się i pogłaskał ją po grzbiecie.

Po chwili w drzwiach kawiarni stanęła Maggie. Ucieszył się, że przyszła sama. Spokoju jednak nie dawała mu myśl, że najbliższej nocy może nie zobaczyć jej na polowym łóżku obok siebie, ponieważ będzie ją spędzała w ramionach Bena Platta.

Dostrzegła go na drugim końcu sali. Podchodząc, przez cały czas miała utkwione w nim spojrzenie. Nie spuściła oczu, nawet gdy zajmowała miejsce przy stoliku naprzeciw niego. Przysunęła się bliżej na krześle i oparła łokcie o blat stołu. Przez cały czas nie odezwała się ani słowem, pozwalając przemawiać oczom. Oboje wywoływali w sobie nawzajem istną burzę uczuć. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin Maggie dwukrotnie uratowała mu życie.

W końcu uciekła spojrzeniem w bok, przenosząc je na psy. Przywitała uśmiechem Grace, gdy suczka podbiegła do niej w podskokach.

- Jake i Harvey momentalnie by się w tobie zakochali - powiedziała suczce, drapiąc ją za uszami, po czym szybko przeniosła spojrzenie na Creeda.

- Wciąż nie masz co liczyć, że ją dostaniesz - oświadczył, na co Maggie wybuchła śmiechem.

A po chwili z jej ust padły słowa, których zupełnie się nie spodziewał.

- Do ciebie też Jake i Harvey zapałaliby z miejsca uczuciem.

Zanim Creed zdążył jakoś zareagować, w stronę ich stolika począł przepychać się Oliver Vance.

- Świetnie, że jesteście - przywitał się Vance. - Moi ludzie wczoraj wydobyli samochód z zalanego jaru.

Gdy szli do kawiarni, Creed z Jasonem minęli tablicę suchościeralną, na której Vance zapisywał na bieżąco liczbę zaginionych i ofiar. Liczba osób zaginionych spadła do trzech, podniosła się natomiast liczba ofiar katastrofy - wynosiła już siedemnaście osób. Creed obawiał się, że Vance zaraz poinformuje ich o kolejnych ciałach.

- Z iloma pasażerami? - spytał.

- Tylko jednym. Rozpoznałem ofiarę - rzekł Vance, spoglądając na Creeda.

- To Isabel Klein, kobieta pracująca dla rządu, która przywiozła cię tutaj.

- Klein? - zainteresowała się Maggie.

- Była asystentką Logana - wyjaśnił Creed. - Nie widziałem jej od dnia, w którym tu dotarliśmy. Co się stało? Samochód ześlizgnął się z drogi?

- Mało prawdopodobne - potrząsnął głową Vance. - Chyba że pędziła na złamanie karku do szpitala.

- To znaczy? - dopytała Maggie.

- W plecach odnaleźliśmy ranę postrzałową.

- Czyżby sprawka Rossa? - zastanowił się Creed.

- Niewykluczone - powiedziała Maggie.

- To jeszcze nie wszystko - podjął po chwili Vance. - Od wysokości nadgarstka brakowało jej dłoni. Ratownicy szukali jej w kabinie samochodu, ale bez skutku.

Gdy Creed spojrział na Maggie, zobaczył, jak z jej twarzy odpływa krew.

- To ta sama dłoń, którą wcześniej odnaleźli Jason z Bolem - powiedziała.

- To była lewa dłoń. Doktor Gunther twierdziła, że należała do kobiety. Logan upierał się, że musiała zostać oderwana od ciała osoby kierującej placówką badawczą, doktor Shaw.

- Po co ktoś miałby zabijać Isabel Klein, odrąbać jej dłoń i podrzucić na miejscu, gdzie wdarty się wody powodziowe? - powiedział

z powątpiewaniem Vance. - Brzmi to jak kolejny chorobliwy wytwór umysłu Daniela Tate'a. Ten facet opowiada różne niestworzone historie.

- Na kciuku odnalezionej dłoni był pierścionek z diamentem - powiedziała Maggie, a Creed wyłapał jej przerażone spojrzenie. Po chwili zwróciła się do Vance'a: - Logan był pewien, że pierścionek należał do doktor Shaw. Może to zabrzmiało dziwnie, jednak muszę spytać: czy przypadkiem zwrócił pan uwagę na paznokcie na drugiej dłoni Isabel Klein? Czy może były pokryte jasnoczerwonym lakierem?

Vance odezwał się po dłuższym namyśle.

- Przyjrzałem się tej dłoni. Miała niepomalowane paznokcie.

- Po co Ross zabierałby dłoń Isabel i udawał, że należała do Shaw? - zastanowił się Creed.

- Wątpię, żeby była to sprawka Rossa - rzekła Maggie.

Creed spojrział na nią zdezorientowany. Dopiero po chwili go olśniło.

- Doktor Shaw żyje.

Platt chciał się upewnić, że Maggie nic nie dolega. Domyślał się, że jest na niego wściekła. Zasłużył sobie. Gdy uporają się z tą sprawą, będzie musiał w jakiś sposób wynagrodzić jej piekło, przez które przeszła. Na razie wiedział, że nic jej nie grozi. A to było najważniejsze.

Niemal godzinę trwał transport pojemnika z próbkami do podstawionego laboratorium na kółkach. Kolejne trzydzieści minut pochłonęło przywdziewanie specjalnego kombinezonu do pracy z substancjami niebezpiecznymi, który przywiózł ze sobą. Chwilę po tym, jak się w niego wbił, cały był spocony. Szybka w kasku zaczęła zachodzić mgłą, przez co praktycznie nic nie widział.

Laboratorium na tyłach furgonetki okazało się niezwykle ciasne i niezbyt nowoczesne. Nie był przyzwyczajony do pracy w takich warunkach. Laboratoria USAMRIID w Fort Detrick dysponowały najnowocześniejszą aparaturą i sprzętem. Archaiczne metody pracy, o których wspomiano podczas ostatnich kilku dni przesłuchań przed Kongresem, należały już do przeszłości. Wynieśli niejedną lekcję z popełnionych niegdyś błędów. Platt musiał jednak niechętnie przyznać, że niektóre sprawy się nie zmieniły. Nadal istniały różnorakie zagrożenia, tak jak przedstawił to Hess w swojej mowie. Nie zmieniło się jeszcze jedno: nadal w imię bezpieczeństwa zatajano przed opinią publiczną zbyt wiele faktów.

Platt wiedział jednak, że cała ta sprawa ze zniszczeniem ich ośrodka badawczego mogła skończyć się gorzej. Znacznie gorzej. Jeszcze tym razem Hess zdołał się wymigać.

Musiał się upewnić, że wewnątrz pojemnika nie doszło do uszkodzenia fiolek z próbkami. A jeśli zostały naruszone, to czy nie nastąpił wyciek.

Wpisał na klawiaturze kod zamka, zapamiętany z rozmowy z Hessem. Żadnej reakcji. Pomyślał, że musiał pomylić cyfry kodu. Wtem migające czerwone światło zmieniło się na zielone. Rozległ się dźwięk mechanizmu zwalniającego zamek.

Ostrożnie unióś ciężkie wieko pojemnika. Z wnętrza powiało chłodem. Mimo upływu tylu godzin w środku najwyraźniej nadal panowała niska temperatura. Był to pomyślny znak - najwidoczniej nie doszło do uszkodzenia pojemników z próbkami. Platt natychmiast poczuł, jak ustępuje

nerwowe napięcie w ramionach.

Jego oczom ukazały się ustawione w rzędzie zapieczętowane fiołki. Żadna nie była naruszona.

Nagle zobaczył puste miejsce. Po chwili odnalazł jeszcze jedno. I kolejne. Wokół żadnych śladów wycieku, żadnych drobinek stłuczonego szkła. Wnętrze hermetycznego pojemnika zostało zaprojektowane w taki sposób, że fiołki nie mogły wypaść z przegródek. Ktoś musiał je po prostu wyjąć.

Wpatrywał się bezradnie w puste przegródki. Brakowało trzech fiołek z zabójczymi wirusami.

Memphis, w stanie Tennessee

Doktor Shaw przesiadła się z terenówki do sedana. Podczas rozmowy z facetem z wypożyczalni samochodów miała już podać mu kartę kredytową, lecz w ostatniej chwili się zawahała. Wcześniej musiała jeszcze na nią zerknąć, żeby sprawdzić, za kogo się dzisiaj podaje. W ciągu ostatnich kilku dni zbierała cały stosik kart kredytowych i dowodów osobistych. Oprócz nich weszła też w posiadanie innych potrzebnych rzeczy, między innymi telefonów komórkowych i gotówki.

Pamiętała moment, gdy dotarło do niej, że musi przygotować plan ucieczki. Było to tego dnia, kiedy z powodzeniem przeprowadziła replikację wirusa H5N1. Skoro dała radę rozmnożyć szczep wirusa ptasiej grypy, otwierało to praktycznie niezmiernie możliwości. Wprawdzie DARPA zapewniała jej badaniom oraz całemu ośrodkowi niezależność, lecz teraz nagle jej przełożeni zaczęli napomynać o wprowadzeniu w niedalekiej przyszłości dodatkowych środków ostrożności. To wtedy zyskała pewność, że ci ludzie nigdy nie zaufają jej geniuszowi i nie zapewnią swobody niezbędnej do prowadzenia badań. W ostatnim okresie nawet Richard zaczął czepiać się jej metod badawczych. Uważał, że są zbyt drastyczne.

Biedny Richard, mężczyzna bez charakteru. Zabicie go okazało się banalnie proste. Trudniej przyszło jej poświęcić życie ludzi, którzy byli jej królikami doświadczalnymi. No i pozbawić życia tę kobietę działającą z ramienia rządu.

Jej plany, choć zakładała każdą ewentualność, nie uwzględniały obsunięcia terenu. Trwające tydzień ulewne deszcze i będące ich wynikiem powódzie były jej bardzo na rękę. Nie spodziewała się jednak, że dojdzie do powstania osuwiska, które zmiecie z powierzchni ziemi ośrodek. Mało brakowało, a nie dotarłaby do pogrzebanego pod gruzami pojemnika z próbkami. Wkrótce jednak w okolicy zapanował chaos, dzięki czemu zyskała sporo czasu niezbędnego do poszukiwań.

Siedziała teraz w niewielkim biurze wypożyczalni i przeglądała się w szybie, za którą znajdował się garaż pełen pojazdów. Ścięła włosy, ale zostawiła dłuższą grzywkę. Uznała, że dobrze jej będzie z rudymi włosami. Facet z wypożyczalni aut dawał do zrozumienia swoim zachowaniem, że jest

tego samego zdania.

Po załatwieniu formalności oddał jej kartę kredytową i wręczył kluczyki do sedana.

- Może pomogę pani przenieść bagaże? - zaproponował.

- Dziękuję, poradzę sobie.

Podniosła z podłogi torby, starając się przy tym nie zdradzić, jak ciężka jest jedna z nich. Zbyt wiele już zaryzykowała i przyszło jej za to zapłacić wygórowaną cenę. Kolejny głupi błąd kosztowałby za dużo. Nie mogła pozwolić, by ktokolwiek obcy wziął do ręki niewielką szarą walizeczkę, z którą tu przyszła. Walizka ważyła niemało, mieściła przecież miniaturowy hermetyczny sejf. Podjęła już decyzję - sama się nią zajmie.

Od autorki

Gdy kończyłam pracę nad niniejszą powieścią, moją uwagę przykuły raporty napływające z National Disaster Search Dog Foundation^[6]. Dowiedziałam się z nich, że w ciągu ostatniej doby ziemia zatrzęsała się w Himalajach. Wstrząs miał magnitudę 7,8 w skali Richtera; szacuje się, że pochłonął 2500 ofiar. Na skutek wstrząsów wtórnych w tym wysokogórskim regionie nadal schodzą lawiny i dochodzi do obsunięć terenu, które zmiotły już z powierzchni ziemi całe wioski. Do akcji poszukiwawczej i ratowniczej angażowane są teraz amerykańskie zespoły psów i ich opiekunów. Moja wyobraźnia wzdraga się na myśl, co zastaną po przybyciu na miejsce. Będę modliła się o ich szczęśliwy powrót. I z niecierpliwością będę wyczekiwać momentu, gdy podzielę się swoimi opowieściami z miejsca katastrofy. Ponieważ realne życie zaskakuje nas historiami znacznie dziwniejszymi niż te, które wydają na świat jako pisarka.

Wielu moich czytelników zdążyło się już zorientować, że mają do czynienia z autorką uzależnioną od aktualnych doniesień medialnych. Kiedy oglądam relację z dotkniętego trzęsieniem ziemi Nepalu albo czytam o ptasiej grypie, sporządzam od razu notatki. Zapewne nie przypominam w tym większości odbiorców wiadomości. A jako miłośniczka historii nierzadko przemycam też w swych powieściach nawiązania do rzeczywistych wypadków, które rozegrały się w czasach współczesnych lub w przeszłości. Pragnę powiedzieć teraz kilka słów o tych szczegółach pożyczonych z prawdziwego życia, które wplotłam w świat powieściowy.

Testy, na których trop przypadkowo wpada senator Ellie Delanor, faktycznie przeprowadzono. Co najmniej jednemu spośród nich poddano dzieci w wieku szkolnym. Byli to uczniowie szkoły podstawowej Clinton Elementary School w Minneapolis, a test przeprowadzono w 1953 roku. W latach 1952-1969 na terenie Stanów Zjednoczonych przeprowadzono blisko trzysta eksperymentalnych ataków, rozpylając w powietrzu całe tony siarczku cynkowo-kadmowego. Testy te przeprowadzano między innymi w: Fort Wayne, w stanie Indiana (1964-1966); w St. Louis, w stanie Missouri (1953, 1963-65); w San Francisco, w Kalifornii (1964-1968); w Corpus Christi, na terenie Teksasu (1962); czy też w Oceanside, w Kalifornii (1967).

Armia utrzymywała, że stężenie niebezpiecznych substancji użytych podczas tych eksperymentów było obojętne dla zdrowia. Przeczą temu ostatnie badania, z których wynika, że kadm jest pierwiastkiem rakotwórczym, a kontakt z nim grozi uszkodzeniem nerek, wystąpieniem chorób wątroby, niewydolnością układu nerwowego, a być może również uszkodzeniem narządów rodnych.

Również Projekt 112 oraz Projekt SHAD istniały naprawdę, a za ich realizację w latach 1962-1973, a więc w szczytowym okresie zimnej wojny, odpowiadał Departament Obrony USA. Poszczególnym testom nadawano kryptonimy, przykładowo: Autumn Gold, Flower Drum, Night Train czy Shady Grove. Żołnierze i wojskowi służący w marynarce wojennej nie mieli pojęcia, że narażono ich na kontakt z niebezpiecznymi substancjami. Przez cały czas wierzyli, że wdychane przez nich trujące opary są w rzeczywistości zupełnie nieszkodliwe dla zdrowia. W niektórych przypadkach w skład testowanych substancji biologicznych i chemicznych wchodziły również: gaz VX, sarin oraz bakterie pałeczki okrężnicy.

Dopiero w 2002 roku doczekaliśmy się odtajnienia niektórych szczegółów dotyczących działalności Projektu 112. Czemu aż tyle to trwało? Otóż Departament Obrony dowodził, iż gros informacji musi pozostać tajne ze względu na ich wagę dla bezpieczeństwa narodowego. Tymczasem weteranom skarżącym się na dolegliwości będące efektem tych testów odmawiano prawa do renty oraz pomocy medycznej. Jakim cudem mieli zachorować z powodu testów, które przecież rzekomo nigdy nie miały miejsca?

Pełna jestem szczerego podziwu dla mężczyzn i kobiet - oraz psów - którzy służyli, i nadal służą, broniąc naszego kraju. Ich poświęcenie jest ogromne, ryzykują własnym życiem. Zasługują na to, by państwo, któremu służą, zaopiekowało się nimi. I tu dochodzimy do kolejnego faktu zaczerpniętego przeze mnie z życia podczas pisania niniejszej powieści.

Na mocy ustawy H.R. 5314, zwanej Prawem Robby'ego, psy wykorzystywane w wojsku po przejściu na emeryturę nie muszą już być usypiane, lecz mogą trafiać do nowych właścicieli. Trudno sobie wyobrazić, jaki los zgotowaliśmy naszym czworonożnym bohaterom przed wejściem w życie tej ustawy. Dotychczas psy służące na froncie po tym, jak ocaliły tylu ludzi, mogły liczyć tylko na jedną nagrodę - śmierć. Prawo Robby'ego

stanowi również, że pierwszeństwo w kolejce do adopcji konkretnego psa ma jego wcześniejszy opiekun.

Jest w tym wszystkim jednak pewien haczyk - otóż armia nadal nie jest w obowiązku zapewnić transportu psa z frontu do Stanów Zjednoczonych. Jako argument przywoływany jest zbyt wysoki koszt takiego przedsięwzięcia. Przedstawiciele armii twierdzą, że najzwyczajniej w świecie nie stać ich na zapewnienie transportu psa do kraju. W rezultacie najczęściej z własnej kieszeni musi zapłacić za to osoba przygarniająca zwierzę. Obecnie w Kongresie zapanowała atmosfera sprzyjająca uchwaleniu odpowiednich zapisów prawnych, które wymagałyby od armii najpierw sprowadzenia psa z powrotem do kraju, dopiero potem zwolnienia go ze służby, a w dalszej kolejności doprowadzenia do ponownego spotkania z poprzednim opiekunem, ewentualnie osobą z długiej kolejki chętnych do przygarnięcia takiego czworonoga.

Zadziwiająco, że potrzebujemy specjalnego rozporządzenia prawnego, by zatroszczyć się o coś, co z natury rzeczy powinno przysługiwać naszym czworonożnym bohaterom. Doprawdy życie w swej dziwności przerasta fikcję.

Podziękowania

Podczas pisania każdej powieści zaciągam dług wdzięczności u wielu osób. Nie inaczej było też tym razem, dlatego chciałabym serdecznie podziękować przyjaciółom i rodzinie za to, że tolerowali moje częste zniknięcia, a mimo to nie przestali mnie kochać i przez cały czas dawali oparcie. Jestem ogromnie wdzięczna Patricii Kavie, Marlene Haney, Sandy Rockwood, Ameer Rief, Patti oraz Martinowi Bremmerom, Patricii Sierra, Sharon Kator, Mariceli oraz José Barajasom, Patti El-Kachouti, Diane Prohasce, Annie Belatti, Nancy Tworek, Cari Conine, Lisie Munk, Luann Causey, Patti Carlin oraz doktor Elvirze Rios.

Podziękowania niechaj raczą też przyjąć koledzy i koleżanki po piórze, dzięki którym łatwiej mi się odnaleźć w zwariowanym świecie wydawniczym i których mam za swoich przyjaciół: Sharon Car, Erica Spindler oraz J.T. Ellison.

Jestem szczególnie wdzięczna ekspertom, z którymi zetknął mnie los: Leigh Ann Retelsdorf, Melissie Connor, Gary'emu Plankowi i Johnowi Beckowi. Wiedziałam, że mogę drogą elektroniczną lub telefonicznie zwrócić się do was z najdziwniejszymi pytaniami i prośbami.

Tradycyjnie już chciałabym podziękować Rayowi Kunzemu za to, że zgodził się na użyczenie swego imienia i nazwiska jednej z postaci. I dla uniknięcia nieporozumień wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze - prawdziwy Ray Kunze to przemiły facet, który nigdy nie kazałby Maggie szukać wiatru w polu.

Nieocenioną pomocą moim psom służyli zawsze wspaniali weterynarze, którzy podczas prac nad tym cyklem powieściowym okazali się niezwykle cennym źródłem zawodowej mądrości. Specjalne podziękowania w tej grupie moich dobroczyńców należą się: doktor Enicie Larson oraz jej zespołowi w Tender Care Animal Hospital, a także doktor Tonyi McInay oraz jej współpracownikom w Veterinary Eye Specialist of Nebraska.

Jestem szczególnie wdzięczna, zresztą kolejny już raz, doktor Larson, która zgodziła się, bym imię i nazwisko mojej fikcyjnej doktor weterynarii pożyczyła od jej dzieci: Avelyn Faye oraz Aydena Parkera. Obiecuję też, że doktor Avelyn Parker powracać będzie we wszystkich tomach cyklu opowiadającego o przygodach Creeda.

Słowa podziękowania kieruję też do mojej agentki przygotowującej kampanię promocyjną: Megan Beatie z Megan Beatie Communications, która wciąż znajduje nowe i pomysłowe sposoby, by zainteresować moimi książkami odbiorców.

Prócz tego szczerze podziękowania niech przyjmą zespoły redakcyjne przygotowujące tekst powieści do druku: w wydawnictwie G.P. Putnam's Sons - Sara Minnich, Ivan Held i Christine Ball, zaś w oficynie Little Brown/Sphere - David Shelley, Catherine Burke i Jade Chandler.

Jestem też ogromnie wdzięczna mojemu agentowi, Scottowi Millerowi, oraz jego współpracownicze z Trident Media Group, Claire Roberts.

Dziękuję wszystkim księgarzom, autorom blogów literackich oraz bibliotekarzom, którzy namawiają czytelników do sięgnięcia po moje książki. Wielkie dzięki dla członków mojego fanklubu VIR Club, znajomych z Facebooka i wiernych czytelników. Czuję się zaszczycona, że w sytuacji gdy rynek księgarski pełen jest znakomitych utworów, nadal pochylacie się nad moimi powieściami. Bez was nie miałabym komu opowiadać swoich nieco pokręconych historii.

[1] W skrócie DARPA, ang. *Defense Advanced Research Projects Agency* (przyp. tłum.).

[2] W skrócie USAMRIID, ang. *United States Army Medical Research Institute of Infectious Diseases* (przyp. tłum.).

[3] Ang. *Veterinarian Disaster Response Assistance* (przyp. tłum.).

[4] Ang. *Shipboard Hazard and Defense* - Zagrożenia dla marynarki wojennej i przeciwdziałanie (przyp. tłum.).

[5] Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego, ang. *Federal Emergency Management Agency* (przyp. tłum.).

[6] Państwowa Fundacja Psów Ratowniczych oraz ich Opiekunów (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: Silent Creed

Pierwsze wydanie: G.P. Putnam's Sons, An Imprint of Penguin Random House LLC,

Nowy Jork 2015

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Joanna Morawska

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2015 by S.M. Kava

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Trevillion Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1727-9

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com